www.polska-zbrojna.pl

Polska Zbrojna

DODATEK FILM O UTWORZENIU SKW

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 8 (856) SIERPIEŃ 2017
INDEKS 417 459 ISSN 0867-4523

CZEKALIŚMY NA NICH

Dlaczego powstanie warszawskie zostało pozbawione wsparcia brygady spadochronowej?

SZARE EMINENCJE

Kulisy niecodziennej służby loadmasterów

BÓJ Z BOLSZEWIKAMI

NIEŚMIERTELNI BOHATEROWIE

MIESZKAŃCY PORĘBY PAMIĘTAJĄ O UCZESTNIKACH BITWY WARSZAWSKIEJ

SZKOŁA ORLĄT

WYSOKIE LOTY

JAK ZDOBYĆ INDEKS DĘBLIŃSKIEJ UCZELNI?

ISSN 08674523 08
9 770867 452700

#RycerzeBialoCzerwonej

O wolność, ale i możliwość dumnego eksponowania flagi polskiej w powstaniu warszawskim bił się żołnierz Batalionu AK „Gustaw”, 16-letni kpr. „Czarny” – dziś 89-letni ppłk prof. n. med. Jerzy Majkowski, kawaler Krzyża Walecznych. On i tysiące jemu podobnych, nosząc na rękawie biało-czerwoną opaskę, byli i są rycerzami barw narodowych.

My też możemy do nich dołączyć!

ST. CHOR. SZTAB. MAR. ARKADIUSZ DWULATEK

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

DRODZY ŻOŁNIERZE – Z OKAZJI ŚWIĘTA WOJSKA POLSKIEGO PRZEDE WSZYSTKIM PRAGNIEMY POWIEDZIEĆ WAM – DZIĘKUJEMY!

Za to, że czuwacie nad naszym bezpieczeństwem, że doskonalicie swoje umiejętności kosztem czasu poświęconego rodzinom, za Waszą ofiarną służbę. Za to, że macie poczucie obowiązku, że wiecie, dlaczego tak ważne są pamięć i historia. Chcielibyśmy, aby każdy Polak miał świadomość, jaka jest cena Waszego poświęcenia.

Sierpień to czas, kiedy często myślimy o zniszczonej, krwawiącej Warszawie z 1944 roku. Stolicę chcieli wtedy wspierać nie tylko wojskowi i cywile w kraju, lecz także oficerowie i żołnierze na emigracji. Nieprzeprowadzony desant 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, mający wesprzeć powstanie warszawskie, uzmysławia nam, jak strasznym uczuciem dla żołnierza jest jednoczesna chęć walki i obezwładniająca niemoc, poczucie bezsilności wobec decyzji krzyżujących te plany. Gorąco zachęcam do zapoznania się z artykułem przedstawiającym plany gen. bryg. Stanisława Sosabowskiego i dramat jego żołnierzy, którym nie było dane pomóc wyczekującym rodakom.

Pilot wojskowy to brzmi dumnie. Podniebne asy mają pasję, która determinuje całe ich życie. Bez względu na to, na jakich maszynach latają, muszą być odważni, zdecydowani, precyzyjni, w pełnej gotowości. Nasi lotnicy są doceniani i wzbudzają zachwyt nie tylko w Polsce, lecz także za granicą. Tak jak chociażby kpt. Adrian Rojek, który dwa lata temu podbił serca widzów na pokazach lotniczych Royal International Air Tattoo. Pilotowany przez niego odrzutowiec MiG-29 wzbił się w powietrze jak rakieta, a pochwał nie szczędzili naszemu pilotowi eksperci z całego świata. „Polscy piloci są najlepsi” – dla nas to oczywiste. Takie są też komentarze osób z całego globu, które widziały wyczyn kpt. Rojka, zresztą nie pierwszy, bo wraz z zespołem prezentował się on na pokazach RIAT również w 2012 roku, gdzie zdobył wyróżnienie za najlepszy pokaz w powietrzu w wykonaniu załogi zagranicznej. Nasi piloci dbają również o pamięć o bohaterach narodowych, asach przestworzy, którzy służyli w słynnym Dywizjonie 303. To patrioci z poczuciem misji.

Kuźnią polskich kadr jest Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych w Dęblinie, jedyna taka uczelnia w Polsce i jedna z najlepszych w Europie. W tym miesiącu najważniejsze strony poświęcamy właśnie im – pilotom. Przybliżamy również metody selekcji i szkolenia, przez które muszą przejść kandydaci na wojskowego lotnika.

Prezes Rady Ministrów

Beata Szydło

Szanowni Oficerowie i Żołnierze!

Dziękując Wam za służbę i solidarną ofiarność Waszych rodzin, życzę Wam żołnierskiego szczęścia oraz pomyślności. Dzięki Waszemu poświęceniu możemy dziś czuć się bezpiecznie, cieszyć się niepodległością oraz pokojem. 97 lat temu polscy żołnierze dali odpór bolszewickiej agresji, chroniąc rodaków i zatrzymując ekspansję rewolucji na Zachód. Sprawdzili się na frontach najcięższych wojen. Dziś, służąc na misjach poza granicami kraju, wsławiacie się swoim męstwem w wielu zakątkach globu. Jestem dumna, że godnie reprezentujecie Polskę. Wasza służba budzi najwyższy szacunek. Jesteście wzorem umiłowania Ojczyzny i patriotyzmu.

Minister obrony narodowej

Antoni Macierewicz

Żołnierze! Przed niemal stu laty rozstrzygnęły się losy jednej z najważniejszych bitew w dziejach świata. To tu nad Wisłą w 1920 roku polscy Żołnierze, Wasi przodkowie, wygrali wojnę z Sowietami. Polska obroniła Zachód przed straszliwą bolszewicką nawałą. Chcę z przekonaniem podkreślić, że jesteście pełnoprawnymi spadkobiercami tej wielkości!

To na pamiątkę męstwa Waszych przodków, w imię przelanej polskiej krwi, ustanowiono święto, dzięki któremu Naród może czcić chwałę polskiego oręża i polskiego Żołnierza. Syn oficera wojny 1920 roku, św. Jan Paweł II, przypominał nam, że „wolność jest zadana", że nie jest dana raz na zawsze. To zobowiązuje Żołnierzy i wszystkich Polaków, którzy muszą pamiętać, jak wielką odpowiedzialnością jest obrona Ojczyzny. Życzę Wam, Żołnierze, by każdy Polak, widząc polski mundur, darzył Was szacunkiem i pamiętał o Waszym poświęceniu i o tym, jak wielką siłą Narodu jest zaangażowane, wyszkolone i uzbrojone wojsko.

Życzę Wam indywidualnej wielkości, którą zdobywa człowiek, decydując się na służbę Ojczyźnie i Narodowi, by z Waszych żołnierskich, oficerskich rodzin wywodziła się patriotyczna elita naszego Kraju. Życzę Wam przynoszącego satysfakcję życia rodzinnego.

Polskie Państwo, polski Naród i polska Rodzina zasługują na najlepsze wojsko! Zasługują na Was!

Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego

Gen. broni Leszek Surawski

Święto Wojska Polskiego upamiętnia jedno z największych zwycięstw oręża polskiego. W tym dniu wspominamy heroizm sierpnia 1920 roku. W rocznicę Bitwy Warszawskiej kieruję wyrazy uznania i podziękowania do żołnierzy, którzy, nosząc polski mundur wojskowy, dobrą służbą potwierdzają przywiązanie do patriotycznych tradycji. Doceniam Wasz codzienny trud w koszarach i na poligonach, w kraju i poza jego granicami – w sojuszniczych dowództwach, sztabach oraz instytucjach. Dziękuję za Wasze zaangażowanie i oddanie. Życzę wytrwałości oraz kolejnych osiągnięć.

Serdecznie pozdrawiam polskich żołnierzy w Afganistanie, na Bałkanach, Bliskim Wschodzie i w Afryce, w państwach bałtyckich oraz Rumunii, służących na lądzie, morzu i w powietrzu. Życzę zadowolenia z realizacji zadań i powrotu do kraju w pełnym zdrowiu.

Żołnierskie pozdrowienie kieruję do weteranów oraz kombatantów. Reprezentują Państwo pokolenie, które w obronie Rzeczypospolitej nie szczędziło własnej krwi. Jesteście przykładem dla młodych Polaków, jak godnie i pięknie służyć Ojczyźnie.

Dziękuję za służbę i pozdrawiam żołnierzy rezerwy. Pracownikom wojska życzę zawodowej satysfakcji oraz dalszych sukcesów w wypełnianiu obowiązków.

Wszystkim żołnierzom i rodzinom wojskowym składam serdeczne życzenia zdrowia, szczęścia oraz wszelkiej pomyślności.

Dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych

Gen. dyw. Jarosław Mika

Obchodzone w rocznicę Bitwy Warszawskiej Święto Wojska Polskiego jest wyrazem hołdu dla chlubnych tradycji i dorobku polskiego oręża. To również doskonała okazja do przypomnienia heroicznych czynów pokoleń Polaków walczących o wolność i suwerenność naszej Ojczyzny.

W tym szczególnym dniu przekazuję żołnierzom w służbie czynnej, żołnierzom rezerwy i w stanie spoczynku, kombatantom, weteranom, pracownikom resortu obrony narodowej oraz tym wszystkim, którym bliski jest żołnierski mundur, życzenia satysfakcji z dokonań służbowych oraz wszelkiej pomyślności w życiu zawodowym i osobistym.

Dziękując za Wasze zaangażowanie w rozwój naszej armii oraz profesjonalne wykonywanie zadań związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa państwa, życzę powodzenia w osiąganiu wyznaczonych celów i zadowolenia z wypełniania powinności dla dobra Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych

Gen. dyw. Sławomir Wojciechowski

Święto Wojska Polskiego jest wyrazem hołdu dla tradycji, dorobku polskiego oręża i poświęcenia w służbie Ojczyzny.

Składam gorące podziękowania wszystkim żołnierzom – będącym w stałej gotowości do wykonywania zadań w przypadku wystąpienia sytuacji kryzysowych, zaangażowanym na co dzień w operacje pokojowe, ratownicze, humanitarne oraz prowadzone w celu zapobiegania aktom terroru, którzy zapisują chlubne karty historii sił zbrojnych.

Słowa uznania i najwyższego szacunku kieruję do żołnierzy i pracowników wojska wykonujących zadania w polskich kontyngentach wojskowych, a także do weteranów i poszkodowanych w misjach poza granicami kraju. Wasza postawa jest przykładem najlepszych żołnierskich cnót – honoru, patriotyzmu i poświęcenia.

Wszystkim żołnierzom i pracownikom resortu obrony narodowej życzę wszelkiej pomyślności, zdrowia, hartu ducha i wielu sukcesów zawodowych oraz żołnierskiego szczęścia.

Dowódca wojsk obrony terytorialnej

Gen. bryg. Wiesław Kukuła

Po raz pierwszy Święto Wojska Polskiego obchodzimy jako rodzaj sił zbrojnych. Stoimy w jednym szeregu wraz z żołnierzami wojsk lądowych, sił powietrznych, marynarki wojennej i wojsk specjalnych. Kadrę wojsk obrony terytorialnej tworzą oficerowie, podoficerowie i szeregowi wywodzący się właśnie z tych formacji. Realizują oni bezprecedensową dla polskiej wojskowości misję tworzenia nowego rodzaju sił zbrojnych, przygotowując terytorialsów do walki o suwerenność Polski ramię w ramię z żołnierzami innych komponentów.

Ten szczególny dzień to dobra okazja, by podziękować wszystkim żołnierzom, którzy niestrudzenie wspierają proces tworzenia WOT-u. Wyrażam swój podziw dla rodzin żołnierzy wojsk obrony terytorialnej. Oddaję honor naszym dzielnym poprzednikom – żołnierzom AK i Wyklętym, których drogą współcześnie kroczymy. Moim wspaniałym żołnierzom i pracownikom dziękuję za zaangażowanie i ofiarną służbę, życząc, by realizowane przez Was zadania były zawsze źródłem satysfakcji. Pozostańcie zawsze gotowi, zawsze blisko!

Zdjęcie na okładce: Michał Wajnchold

NR 8 (856)
SIERPIEŃ 2017

TEMAT NUMERU

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
12 / Szkolenie wysokich lotów
Zmiany w systemie rekrutacji i szkolenia w Szkole Orląt.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
20 / Trzy stopnie swobody
Pilot myśliwca por. Ryszard Seiler o zaletach latania na F-16.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
22 / Gdzie morze, gdzie niebo?
Specyfika latania na śmigłowcu morskim SH-2G według kmdr. ppor. Sebastiana Bąbla.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
24 / Transportowiec z wyboru
„Latanie na C-295 poszerza horyzonty”, czyli mjr pil. Sławomir Byliniak opowiada o swojej służbie.

ANNA DĄBROWSKA
26 / Pilot akrobacyjny musi być zadziorą
Rozmowa z mjr. pil. Dariuszem Stachurskim z Zespołu Akrobacyjnego „Orlik”.

KRZYSZTOF KUSKA
28 / Szare eminencje
Niecodzienna służba loadmasterów.

MICHAŁ NIWICZ
32 / Dzięki nim śpimy spokojnie
Para dyżurna w gotowości.

ARMIA

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
36 / Ogień Agatu
Szkolenie gliwickich komandosów.

KRZYSZTOF WILEWSKI
42 / Autostrada do Wisły
Kolejny etap zakupów rakiet Patriot.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
44 / Pod parasolem brygady
„Combat Alert”, czyli współpraca wojska z organizacjami proobronnymi.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
48 / Cień ropuchy
Misja „Czernickiego”.

KRZYSZTOF WILEWSKI
51 / Czyny, nie słowa
Rozmowa z gen. bryg. Krzysztofem Motackim, dowódcą Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód w Elblągu.

MICHAŁ ZIELIŃSKI
54 / Gotowi do służby
Szesnastodniowe szkolenie dla terytorialsów.

PIOTR RASZEWSKI
58 / Można na nas liczyć
1 Batalion Drogowo-Mostowy w cyklu „Wojsko od kulis”.

BOGUSŁAW POLITOWSKI
64 / Saperzy na tropach zbrodni
Szukają śladów mordu popełnionego na żołnierzach wyklętych.

PIOTR ZARZYCKI
68 / Razem dla weteranów
Kampania „W boju i potrzebie krwi nie szczędząc”.

MAGDALENA MIERNICKA
70 / Jak zdobyć ostrogi?
Amerykanie świętują w Polsce.

Znajdziesz nas tutaj:

ARSENAŁ

TADEUSZ WRÓBEL

74 / Uzbrojeni po zęby

Katar potentatem zbrojeniowym.

KRZYSZTOF WILEWSKI

80 / Płynne pancerze

Polskie pomysły na kamizelki kuloodporne.

STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

84 / Katarowi przytyczka w nos

Kryzys w relacjach między państwami arabskimi.

WITOLD REPETOWICZ

90 / Mosul wyzwolony, wojna trwa

Dobiegła końca najdłuższa bitwa z tzw. Państwem Islamskim w Iraku.

ROBERT SENDEK

94 / Kroczek w przód, kroczek w tył

Trudna droga Macedonii do NATO i UE.

HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

98 / Liczyliśmy na przybycie naszej brygady

Dlaczego brygada Sosabowskiego nie udzieliła wsparcia powstańcom warszawskim.

MACIEJ CHILCZUK

106 / Ta opowieść naprawdę wciąga

Anna Putkiewicz rekomenduje nowy kwartalnik historyczny.

ROBERT SENDEK

109 / Jugosłowiański Dżejms Bond

Jeden z najlepszych szpiegów z okresu II wojny światowej.

HORYZONTY

ANNA DĄBROWSKA

124 / Bój z bolszewikami

Pamięć o uczestnikach Bitwy Warszawskiej.

DOMINIK SIERZBUTOWSKI, JACEK ŻUREK

132 / Żołnierska nuta

Historia pierwszej pieśni reprezentacyjnej Wojska Polskiego.

MAGDALENA MIERNICKA

134 / Dżentelmeni w mundurach

Niczym przedwojenni kawalerzyści.

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska, tel.: 261 840 222;
ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Ewa Korsak, Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel, tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221; Maciej Chilczuk, Rafał Ciastoń, Andrzej Fąfara, Piotr Korczyński, Krzysztof Kubiak, Tomasz Otłowski, Piotr Raszewski, Witold Repetowicz, Robert Sendek, Dominik Sierzbutowski, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński, Jacek Żurek

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski,
tel.: 261 845 502

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Jaszczuk (kierownik), Agnieszka Karaczun,
Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska,
Piotr Zarzycki, tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 25.07.2017 r.

DRUK ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej" można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.prenumerata.ruch.com.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej", dostępna na: http://e-kiosk.pl, www.egazety.pl

PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna" materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

KADR

W TYM ROKU INSCENIZACJA BITWY POD GRUNWALDEM odbyła się dokładnie 15 lipca. Było to jedno z wielu wydarzeń zorganizowanych z okazji Dni Grunwaldu.

FOT. ADRIAN STASZEWSKI / 15 GIŻYCKA BRYGADA ZMECHANIZOWANA

ANNA JAKUBCZYK/CO MON

Sztafeta pokoleń

Wojska obrony terytorialnej przejęły tradycje Armii Krajowej.

Dowództwo najmłodszej formacji polskich sił zbrojnych przejmuje wasze tradycje, wasz dorobek, wysiłek, waszą dzielność i nieustępliwość", mówił minister obrony Antoni Macierewicz podczas uroczystości przejęcia przez Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej tradycji Komendy Głównej Armii Krajowej. Jak podkreślił gen. bryg. Wiesław Kukuła, dowódca WOT-u, widzi w Armii Krajowej i powojennych organizacjach niepodległościowych wspaniałych polskich bohaterów, niezłomnych wojowników walki o niepodległość. „Chcemy kontynuować waszą misję i przekazywać ją kolejnym pokoleniom polskich żołnierzy", mówił generał. Podczas uroczystości dowódca WOT-u dostał od żołnierzy AK dwa projekty: flagi WOT-u oraz orła z kotwicą – znaku Polski Walczącej. Wojska obrony terytorialnej będą mogły oficjalnie otrzymać tarczę z orłem oraz flagę po nowelizacji przez parlament ustawy z 1993 roku o znakach Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej oraz podpisaniu jej przez prezydenta. PZ, PG ■

PRZEŁOM W FINANSOWANIU

Będziemy więcej wydawać na obronność.

Rada Ministrów przyjęła projekt nowelizacji ustawy o przebudowie i modernizacji technicznej oraz finansowaniu sił zbrojnych. Zgodnie z dokumentem wzrost wydatków z budżetu państwa na obronność do 2,1% PKB nastąpi w 2020 roku. Potem wydatki będą dalej stopniowo rosnąć, aby docelowo osiągnąć 2,5% PKB w 2032 roku. Zgodnie z nowelizacją wskaźnik wysokości wydatków na obronność będzie obliczany na podstawie wartości PKB na dany rok, a nie PKB z roku poprzedniego. AD ■

Gość zza oceanu

Donald Trump mówił w Polsce o bezpieczeństwie.

Polska to ważny sojusznik USA. Jesteśmy szczególnie zadowoleni z waszej aktywnej roli mającej na celu pokonanie tzw. Państwa Islamskiego i innych organizacji terrorystycznych", mówił w Warszawie Donald Trump, prezydent USA. Jak dodał prezydent Andrzej Duda, podczas spotkania politycy rozmawiali m.in. o obecności amerykańskich żołnierzy w Polsce i bezpieczeństwie na wschodniej flance NATO. Nie omawiali jednak konkretnych gwarancji dotyczących wojsk USA w Polsce. Andrzej Duda zapowiedział, że takie rozmowy będą się toczyły w przyszłym roku podczas jego planowanej wizyty w Stanach Zjednoczonych. Tematem rozmów były także kontrakty związane z modernizacją polskiej armii, w tym porozumienie Polski i USA dotyczące zakupu rakiet

ROBERT SUCHY/COMBAT CAMERA DORSZ

Zdeterminowani i zjednoczeni

W Brukseli obradowali ministrowie obrony państw NATO.

Ministrowie obrony państw wysyłających i goszczących wojska sojuszu: Polski, USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Litwy, Łotwy i Estonii podpisali w Brukseli deklarację, w której potwierdzono, że cztery batalionowe grupy bojowe rozmieszczone na wschodniej flance NATO są gotowe do działania. Ich poczynaniami pokieruje międzynarodowe dowództwo z siedzibą w Elblągu. Jednocześnie szef polskiego MON-u Antoni Macierewicz podkreślał, że obecność wojsk sojuszu na wschodniej flance stanowi odpowiedź na coraz bardziej agresywną postawę Rosji.

Mówiono też o misji „Resolute Support" w Afganistanie. „Mamy tam około 13 tys. żołnierzy, ale zapewnienie temu krajowi bezpieczeństwa pozostaje wyzwaniem niezwykle trudnym. Dlatego zdecydowaliśmy o przedłużeniu misji poza rok 2017", poinformował Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO. Sojusz zwiększy też obecność w tym kraju. Polskę będzie reprezentowało 250 żołnierzy – obecnie w Afganistanie jest około 200 wojskowych.

Stoltenberg mówił też o zacieśnieniu współpracy z Unią Europejską w walce z cyberzagrożeniami i terroryzmem oraz coraz mocniej akcentowanej obecności sojuszu w rejonie Morza Czarnego. „Została aktywowana nasza kwatera Międzynarodowej Brygady Południowo-Wschodniej w Bukareszcie. Wszystko to ma stanowić jasny sygnał dla potencjalnych agresorów: NATO jest zdeterminowane i zjednoczone", stwierdził sekretarz generalny NATO. PZ, ŁZ ■

Patriot w ramach programu „Wisła" (więcej na ten temat na str. 42–43). Amerykański gość podkreślił jednocześnie, że Polska daje przykład w NATO, realizując swoje zobowiązania finansowe. Odniósł się w ten sposób do wydawania obecnie przez nasz kraj 2% PKB na obronność: „Czas najwyższy, by wszystkie kraje NATO ponosiły właściwe koszty".

Z kolei podczas publicznego wystąpienia na placu Krasińskich w Warszawie amerykański przywódca mówił m.in. o roli artykułu 5 traktatu północnoatlantyckiego. Prezydent USA zachęcał też Rosję, aby wstrzymała swoją działalność na rzecz destabilizacji Ukrainy oraz wsparcie dla wrogich reżimów, w tym Syrii i Iranu, a zamiast tego przyłączyła się do wspólnoty narodów walczących przeciwko wspólnym wrogom. PZ, AD ■

Nowa akademia

Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych będzie akademią.

Zgodnie z rozporządzeniem ministra obrony od 1 października 2017 roku najstarsza polska uczelnia wojskowa rozpocznie funkcjonowanie jako Akademia Wojsk Lądowych. Jak informuje MON, to podniesienie statusu wrocławskiej szkoły pozwoli stworzyć w niej podwaliny elitarnej uczelni dla wojsk lądowych, wiodącej wśród europejskich ośrodków akademickich kształcących profesjonalnych dowódców. Ponadto w przyszłości status akademii umożliwi ukształtowanie w niej silnego ośrodka naukowego z zapleczem badawczym w dziedzinie nauk społecznych i technicznych. AD ■

Uprawnienia po misji

Od 30 marca 2012 roku obowiązuje ustawa o weteranach działań poza granicami państwa. Zyskali oni m.in. uprawnienia socjalne, pracownicze, honorowe, dotyczące opieki zdrowotnej i psychologicznej. Przepisy jednak nie w pełni odpowiadają potrzebom weteranów, dlatego w resorcie obrony powstała nowelizacja ustawy uwzględniająca wiele z propozycji żołnierzy. „Wprowadza ona dodatkowe uprawnienia oraz zwiększa wysokość świadczeń przysługujących osobom najbardziej potrzebującym", mówi Bartłomiej Grabski, podsekretarz stanu w MON-ie.

Jedną z najważniejszych zmian są rozszerzone świadczenia dla weteranów poszkodowanych. Dla tych, którzy mają co najmniej 30-procentowy uszczerbek na zdrowiu, wydatki na leczenie wszystkich schorzeń byłyby finansowane z budżetu resortu obrony. Ci z uszczerbkiem zdrowia powyżej 30% otrzymają natomiast wyższy dodatek, uzależniony od stopnia poszkodowania. Propozycja MON-u zakłada też udział weterana w bezpłatnych turnusach leczniczo-profilaktycznych, a także 50-procentowe dofinansowanie kosztów uczestnictwa w nich członka najbliższej rodziny żołnierza. PZ, PG ■

TEMAT NUMERU

/ **LOTNICTWO**

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

SZKOLENIE WYSOKICH LOTÓW

Zdobycie indeksu Szkoły Orląt to trudne zadanie, ale osiągalne. W tym roku kandydaci na pilotów musieli dodatkowo zaliczyć zorganizowane przez uczelnię szkolenie selekcyjne.

MICHAŁ WAJNCHOLD

Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych w Dęblinie to jedyna polska uczelnia kształcąca pilotów wojskowych. W ostatnich kilku latach w placówce zaszło wiele zmian. Pojawił się nowy sprzęt, otwarto nowe kierunki studiów dla przyszłych oficerów oraz studentów cywilnych. Zgodnie z planami Ministerstwa Obrony Narodowej sukcesywnie jest zwiększana liczba podchorążych. Do szkolenia lotniczego uczelnia wykorzystuje, oprócz lotniska w Dęblinie, lądowisko w Sochaczewie, wkrótce też będzie używała lotniska w Nowym Mieście nad Pilicą. To konieczne, bo tylko w 2016 roku słuchacze WSOSP wylatali 9,5 tys. godzin.

„Przeobrażenia i inwestycje w Szkole Orląt to rzecz bezprecedensowa. Dokładamy wszelkich starań, by naszym studentom zagwarantować najlepsze warunki kształcenia i innowacyjne programy nauczania", mówi mjr Agnieszka Kossowska z Wydziału Wychowawczego WSOSP. Bez wątpienia przełomowym momentem było uruchomienie przed ośmioma laty Akademickiego Ośrodka Szkolenia Lotniczego (AOSL) oraz wprowadzenie nowego systemu kształcenia i szkolenia przyszłych wojskowych pilotów. To jednak nie koniec zmian. W tym roku wprowadzono obowiązkową selekcję lotniczą dla wszystkich kandydatów na kierunki lotne.

PILOT TYLKO PO SELEKCJI

„Takie rozwiązanie zaproponował nowy rektor-komendant WSOSP. Przedstawiliśmy projekt ministrowi obrony narodowej, który zaakceptował pomysł, by szkolenie selekcyjne prowadziła Szkoła Orląt", mówi płk dr inż. Adam Wetoszka, prorektor do spraw kształcenia i studenckich. Dotychczas odbywało się ono w regionalnych aeroklubach i choć było finansowane przez MON, nie całkiem się sprawdzało. Problemem było chociażby to, że objęte nim były tylko te osoby, które zdążyły przejść badania lekarskie i otrzymały pozytywne orzeczenie komisji lotniczo-lekarskiej. Ci natomiast, którzy do ostatniej chwili zwlekali ze złożeniem wniosków o przyjęcie do uczelni i na badania lekarskie zgłaszali się tuż przed egzaminami wstępnymi, do selekcji nawet nie stawali. A to, zdaniem przedstawicieli szkoły, nie było dobre. Właśnie ten etap rekrutacji bowiem najlepiej pozwala określić predyspozycje kandydata do zawodu pilota wojskowego. Dlatego od tego roku, po raz pierwszy w historii, za ocenę predyspozycji do służby w powietrzu ma odpowiadać dęblińska uczelnia.

Zdaniem gen. bryg. pil. dr. Piotra Krawczyka, rektora-komendanta Szkoły Orląt, podstawową zaletą przyjętego rozwiązania jest to, że weryfikacją zajmuje się teraz uczelniana organizacja – Akademicki Ośrodek Szkolenia Lotniczego – z udziałem większości pilotów-instruktorów z doświadczeniem wojskowym. „Znają oni doskonale wymagania, potrzeby i realia szkolenia wojskowego, które w zasadniczy sposób różni się od tego, które jest prowadzone na potrzeby lotnictwa cywilnego, a już diametralnie od właściwego dla lotnictwa sportowego – to z kolei jest domeną aeroklubowych ośrodków szkolenia lotniczego", wyjaśnia generał.

KANDYDAT IDEALNY

Zaliczenie uczelnianej selekcji stało się warunkiem dopuszczenia do egzaminów wstępnych. Zanim jednak kandydaci do niej przystąpili, musieli przejść badania lekarskie. Podzielono je na dwa etapy. W pierwszym o zdolności fizycznej i psychicznej do zawodowej służby wojskowej oraz o braku przeciwwskazań psychologicznych orzekała rejonowa wojskowa ko-

MICHAŁ WAJNCHOLD

UCZYMY, ŻE LATANIE NIE JEST CELEM SAMYM W SOBIE, A JEDYNIE NARZĘDZIEM W OSIĄGNIĘCIU CELU BOJOWEGO CZY OPERACYJNEGO

misja lekarska. W drugim etapie prowadzono badania specjalistyczne w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej. Dopiero pozytywne wyniki otwierały furtkę do szkolenia w powietrzu.

Ono również składało się z dwóch etapów. Pierwszy był sprawdzający na symulatorze lotu. „Lot wirtualny trwa maksymalnie półtorej godziny. To niezbyt długo, ale nam wystarcza, by już obiektywnie zweryfikować podstawowe predyspozycje kandydata do utrzymywania zadanych parametrów lotu", mówi Stanisław Lizak, instruktor AOSL. „Możemy ocenić też podzielność uwagi, świadomość sytuacyjną i koordynację".

Ci, którzy pozytywnie przeszli test na symulatorze, zostali dopuszczeni do drugiego etapu, obejmującego szkolenie teoretyczne oraz praktyczne w powietrzu, prowadzone w Sochaczewie. Kandydaci siadają za sterami samolotu o napędzie tłokowym i wykonują serię lotów po okręgu oraz do sfery pilotażu. Oceniana jest tutaj szybkość nabywania umiejętności techniki pilotowania, tj. wykonania bezpiecznego startu i lądowania oraz podstawowych figur pilotażu, jak lot po prostej, wznoszenie, zniżanie czy zakręty. „Oczywiście na ocenę ogólną składają się także inne istotne elementy, jak odporność na stres, poziom świadomości sytuacyjnej, podzielność uwagi, koordynacja wzrokowo-ruchowa czy też motywacja", mówi ppłk pil. Tomasz Słomczyński, zastępca kierownika AOSL.

Oficer przyznaje, że także kandydaci z doświadczeniem lotniczym uczestniczą w szkoleniu sprawdzającym. „Oczywiście nie podajemy w wątpliwość licencji oraz uprawnień uzyskanych w lotnictwie cywilnym, ale musimy pamiętać, że uczelnia kształci kandydatów do służby w lotnictwie SZRP, którzy będą wykonywać zadania w warunkach dyscypliny wojskowej oraz stresu bojowego, mogącego wystąpić w strefie działań wojennych. A nie każdy kandydat z licencją cywilną ma predyspozycje do takiej służby".

Uczelnia przyznaje, że na ocenę efektywności szkolenia sprawdzającego należy poczekać około trzech lat, kiedy obecni kandydaci na studentów – później podchorążowie – rozpoczną szkolenie na wojskowych statkach powietrznych w bazach lotnictwa szkolnego. Już teraz można jednak zaobserwować, że liczba kandydatów z oceną negatywną jest większa niż w dotychczasowym systemie selekcji.

W sumie szkolenie w powietrzu obejmuje do dziesięciu godzin i jedną przeznaczoną na sprawdzający lot samodzielny. „Podczas nauki prowadzenia auta zawsze można dokupić dodatkowe godziny jazdy. W trakcie selekcji lotniczej nie ma takiej możliwości. Jedenaście godzin i ani jednej więcej. Robimy tak celowo, bo zakładamy, że jeśli kandydat opanował pilotaż na poziomie bezpiecznym w założonym przez nas czasie, to może iść dalej. Jeśli nie zmieści się w tym limicie, →

oznacza to, że nie spełnił naszych wymogów", dodaje instruktor.

A takich podczas selekcji nie brakowało. W jednej z pierwszych grup na 36 osób bez doświadczenia lotniczego dwie nie zostały dopuszczone do lotu samodzielnego. Z kolei z grona 22 kandydatów, którzy mogli się pochwalić takim doświadczeniem, odpadła jedna osoba. „Mimo uprawnień okazało się, że jej umiejętności są, w naszej ocenie, niewystarczające", tłumaczy Stanisław Lizak. „Nie zależy nam na ludziach, których trzeba pilnować, a potem długo uczyć, zanim zaczną bezpiecznie latać. Chcemy takich, którzy szybko chłoną wiedzę, potrafią się dostosować i spełnić nasze wymagania. Kładziemy nacisk na jakość, na faktyczne predyspozycje do zawodu".

W efekcie tylko ci, którzy się sprawdzą w powietrzu, otrzymują przepustkę do kolejnych etapów rekrutacji: konkursu świadectw maturalnych, sprawdzianu ze znajomości języka angielskiego, testu sprawności fizycznej i rozmowy kwalifikacyjnej.

Kadra WSOSP przyznaje, że nowe rozwiązania mają wiele zalet. Po pierwsze, to uczelnia decyduje, jacy kandydaci trafią na studia; po drugie, nabór odbywa się według jednolitych dla wszystkich standardów. Jak mówi ppłk Słomczyński, „istotne jest także to, że dzięki takiemu rozwiązaniu kandydat na pilota już od momentu rekrutacji aż do ukończenia trzeciego roku studiów będzie miał zachowaną ciągłość szkolenia z tymi samymi instruktorami".

Szkolenie selekcyjne w AOSL pozwoli również zminimalizować ryzyko przepuszczenia osób, które nie nadają się na pilotów. „Doświadczenia z ubiegłych lat pokazywały, że około 5–7% podchorążych, którzy wcześniej pozytywnie przeszli szkolenie selekcyjne prowadzone przez aerokluby, nie miało odpowiednich predyspozycji do dalszego szkolenia w powietrzu", zaznacza rektor WSOSP.

Zaletą jest także to, że nowe rozwiązania mają być tańsze. Dotychczas koszt szkolenia jednego kandydata wynosił około 15 tys. zł (szkolenie teoretyczne oraz praktyczne – 20 godzin lotu na osobę). Uczelnia szacuje, że po zmianie przepisów to będzie około 8,5 tys. zł (przy nalocie 11 godzin na osobę).

TEST SYSTEMU

Bieżący rok będzie ważny dla uczelni też z innego powodu. Przyjdzie bowiem czas na pierwsze oceny tego, jak sprawdza się wprowadzony pięć lat temu nowy system szkolenia kandydatów na pilotów. „Odpowiedzialność za szkolenie pilota wojskowego spoczywa na dwóch instytucjach", podkreśla płk pil. dr inż. Konrad Madej, szef szkolenia 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego (4 SLSz).

KOMENTARZ

PIOTR KRAWCZYK

Współczesne środowisko pracy pilota wojskowego jest raczej wyrafinowanym stanowiskiem operatorskim niż typową jeszcze do niedawna kabiną samolotu. Często się okazuje, że jest spora rozbieżność w poziomie przygotowania kandydatów w sferze fizycznej i intelektualnej. Zdarza się, że ci, którzy z powodzeniem przeszli kwalifikację medyczną, mają niewystarczające wyniki maturalne czy niską sprawność fizyczną. Zauważalny jest zmniejszający się z roku na rok odsetek młodzieży z optymalnymi wymaganymi predyspozycjami psychofizycznymi do służby w lotnictwie. W tym kontekście dało się zauważyć w ostatnim czasie, że to kategoria zdrowia zaczęła być zasadniczym kryterium predysponującym kandydata do służby w danym rodzaju lotnictwa czy w powietrzu w ogóle. Z pewnością tę tendencję należałoby zmienić. Selekcja kandydatów na pilotów wojskowych jest ukierunkowana

„W pierwszym etapie na Akademickim Ośrodku Szkolenia Lotniczego, ale w drugim na jednostkach podległych 4 Skrzydłu".

W 2012 roku zamiast systemu przemiennego, polegającego na tym, że jesienią i zimą podchorążowie szkolili się na symulatorach, a wiosną i latem trenowali w powietrzu, uczenia wprowadziła dwa etapy nauki (siedem semestrów trwa nauka w WSOSP i trzy semestry w 4 Skrzydle). Przez pierwsze trzy i pół roku podchorążowie szkolą się w Dęblinie na samolotach cywilnych. W ciągu tego czasu kandydaci na pilotów samolotów odrzutowych mają otrzymać licencję pilota turystycznego PPL(A) wraz z uprawnieniem do lotów według wskazań przyrządów. Pilot śmigłowca uzyskuje licencję pilota śmigłowcowego PPL(H), a pilot samolotu transportowego – licencję zawodową CPL(A), a także uprawnienia do lotów według wskazań przyrządów IR(A) oraz na samolotach wielosilnikowych (ME).

Dopiero po tym etapie przychodzi czas na praktyczne szkolenie na wojskowych maszynach. Podchorążowie kierunków lotnych szkolą się na śmigłowcach i samolotach w WSOSP oraz w dwóch bazach lotniczych: w Dęblinie i Radomiu. Podczas dwuletnich praktyk w jednostkach zdobywają umiejętności podstawowe z pilotażu wojskowych maszyn (Mi-2, SW-4, Orlik,

na wyeliminowanie tych, którzy w trakcie dalszego szkolenia nie będą w stanie sprostać coraz to większym wymaganiom. Trzeba przy tym zauważyć, że ten proces nie jest i może nigdy nie będzie doskonały. Świadczy o tym odsetek osób dyskwalifikowanych na etapie służby kandydackiej do zawodu pilota, na poziomie szkolenia podstawowego, a także, niestety, przypadki popełnianych błędów i dyskwalifikacji na etapie szkolenia podstawowego już na wojskowych statkach powietrznych.

Dążąc do usprawnienia procesu weryfikacji predyspozycji do służby w powietrzu na etapie służby kandydackiej, poszukuje się błędów w tym systemie. Nie znaczy to jednak, że one rzeczywiście w nim są. Analiza różnych zdarzeń lotniczych pokazuje, że np. podczas szkolenia lotniczego wiele osób świetnie opanowuje potrzebne im umiejętności, a niedomagania ujawniają się dopiero na późniejszym etapie szkolenia. Należy zatem nadal szukać takich rozwiązań, które pozwolą na bardziej skuteczne odkrywanie właściwych predyspozycji do służby w powietrzu. ■

Gen. bryg. pil. dr PIOTR KRAWCZYK
jest rektorem-komendantem Wyższej Szkoły Oficerskiej
Sił Powietrznych w Dęblinie.

W DĘBLINIE WPROWADZONO OBOWIĄZKOWĄ SELEKCJĘ LOTNICZĄ DLA WSZYSTKICH KANDYDATÓW NA KIERUNKI LOTNE

Iskra, M-28) i zaawansowane, takie jak wykonywanie lotów operacyjnych na rzecz lotnictwa transportowego, a także taktycznych dla lotnictwa bojowego i śmigłowcowego. Średnio co roku szkolenie w dwóch bazach podległych 4 Skrzydłu Lotnictwa Szkolnego przechodzi od 55 do 85 podchorążych. Nalot uzyskany podczas nauki to 240 godzin na samolotach odrzutowych i turbośmigłowych, 100 godzin na transportowych i 150 godzin na śmigłowcach.

„Na wszystkich etapach nauki podchorążowie są oceniani i obserwowani. Zdają egzaminy roczne i sprawdziany po każdym bloku tematycznym”, tłumaczy płk pil. dr inż. Konrad Madej, szef szkolenia 4 SLSz. „Studenci są traktowani indywidualnie. Dokładnie opisujemy ich predyspozycje, wskazujemy braki. To jest kosztowna nauka, dlatego trzeba zrobić wszystko, by wydane pieniądze były dobrą inwestycją”.

Na zakończenie praktyk podchorążowie zdają egzamin i uzyskują tytuł pilota wojskowego trzeciej klasy. Płk Madej przyznaje, że przyjęte rozwiązania mają wiele zalet: „Przede wszystkim szkolimy w powietrzu nieprzerwanie przez dwa lata, co jest efektywniejsze, np. co roku nie musimy zaczynać od wznawiania nawyków. Zmniejszają się też koszty”.

Przyjęty system kształcenia pozytywnie ocenia ppłk Słomczyński: „Jest on bardziej efektywny, ale i zdecydowanie tańszy. Według już nieobowiązującego systemu przemiennego większość etapów szkolenia była realizowana z użyciem wojskowych statków powietrznych. Teraz w szkoleniu z podstaw pilotażu, w lotach nawigacyjnych czy tych według wskazań przyrządów korzysta się z cywilnych statków powietrznych. Generuje to podwójną wartość dodaną: wzrost efektywności szkolenia oraz redukcję jego kosztów. Podchorąży po krótkim przeszkoleniu na nowy typ statku powietrznego w bazie lotnictwa szkolnego przystępuje do szkolenia zaawansowanego, w tym z elementów zastosowania bojowego i procedur obowiązujących w lotnictwie taktycznym”.

Zdaniem płk. Madeja, absolwenci WSOSP są dobrze przygotowani do pracy w jednostkach liniowych. „To naturalne, że muszą się później jeszcze wyszkolić na konkretny typ statku powietrznego, ale nie zajmuje to wiele godzin. Młody pilot idzie do jednostki z pakietem umiejętności, znajomością procedur, nawigacji, aerodynamiki”, podkreśla szef szkolenia 4 Skrzydła. Przyznaje również, że programy szkoleniowe obowiązujące w bazach szkolnych powstały z dużym udziałem pilotów z jednostek liniowych. „Dostajemy informacje z jednostek, że w czasie nauki powinniśmy kłaść nacisk bardziej na szkolenie zbliżone do operacyjnego i bojowego wykorzystania pilota. I my te treści staramy się przemycać. Zresztą jest teraz ogólnoświatowy trend, by jak najszybciej do szkolenia podstawowego wprowadzać elementy taktyki stosowane w jednostkach wojskowych. Staramy się być pragmatyczni. Uczymy, że latanie nie jest celem samym w sobie, a jedynie narzędziem w osiągnięciu celu bojowego czy operacyjnego”. Płk Madej tłumaczy też, że najłatwiej sprawdzić efektywność szkolenia zaraz po rozpoczęciu służby w jednostce. Im krótszy czas jest potrzebny na przeszkolenie na nowy typ statku powietrznego, tym lepiej. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

CASA W LOCIE KOSZĄCYM

Takie szkolenie transportowców to już nie kaprys, lecz konieczność. Załogi C-295M systematycznie ćwiczą taktykę na kursach międzynarodowych. Teraz do europejskiego programu szkoleniowego dołączyły herculesy.

JERZY FIJOŁEK

Lataliśmy nad Oceanem Atlantyckim i górami Portugalii, działaliśmy w symulowanym konflikcie zbrojnym, na terenie kontrolowanym przez nieprzyjaciela. Musieliśmy się mierzyć z lotami na małych wysokościach, walką z samolotami F-16 i manewrować w taki sposób, by unikać zagrożenia zestrzelenia z ziemi", opisuje pilot C-295M kpt. Piotr Żemojtel, który kilka tygodni temu wrócił z treningu taktycznego w Portugalii. Wzięły w nim udział załogi z ośmiu krajów. „Poziom trudności wykonywanych zadań wzrastał. Zaczęliśmy od lotu zapoznawczego, podczas którego przekonaliśmy się o położeniu przygotowanych do treningu lądowisk i zrzutowisk". To był jednak dopiero początek, bo już kilka dni później sześć samolotów transportowych osłanianych przez F-16 musiało się zmierzyć w powietrzu z dwoma efami wrogich sił. „Współpracowaliśmy z różnymi rodzajami lotnictwa, działaliśmy w powietrzu w formacji wielu maszyn. W kraju wykonujemy głównie loty logistyczne w przestrzeni kontrolowanej, dlatego w sytuacji zagrożenia trudno nam było na podstawie kodowanej korespondencji radiowej właściwie zinterpretować bieżącą sytuację taktyczną. Walczyliśmy ze skomplikowanymi zadaniami w powietrzu, deficytem czasu i natłokiem informacyjnym", dodaje kpt. Żemojtel. Dzięki tego typu szkoleniom piloci różnych krajów mogą wymieniać się doświadczeniami, wspólnie ćwiczyć taktykę, procedury i techniki obowiązujące w lotnictwie transportowym NATO. Udział polskich załóg w międzynarodowych treningach wprowadza także pewną unifikację umiejętności w naszych siłach powietrznych. To z kolei daje gwarancję działania lotnictwa transportowego na najwyższym poziomie.

PRZETARTE SZLAKI

Ćwiczenia taktyczne transportowców przypominają kursy Tactical Leadership Programme (TLP) dla pilotów samolotów odrzutowych Unii Europejskiej i NATO. Są to cykliczne spotkania, na których lotnicy trenują taktykę według jednolitych standardów szkoleniowych. Do czerwca 2017 roku za szkolenie odpowiadała Europejska Agencja Obrony, teraz prowadzi je Europejskie Centrum Taktyczne Lotnictwa Transportowego (European Tactical Airlift Center – ETAC). Placówka organizuje dwa rodzaje ćwiczeń – zaawansowany kurs tak-

INSTRUKTORZY TAKTYCZNI

Dwóch polskich pilotów uzyskało uprawnienia pokładowych instruktorów taktycznych: mjr Robert Mieszaniec i kpt. Michał Zychowicz. Ich zadaniem jest przygotowanie własnego scenariusza zagrożeń dla załogi na podstawie ogólnego planu misji. Instruktor pokładowy ingeruje w przebieg lotu, wprowadzając utrudnienia, np. w postaci ostrzału przez pociski rakietowe albo przechwycenia przez myśliwce. Załoga musi określić, w jakim promieniu trzeba ominąć dane zagrożenie i czy w ogóle jest w stanie wykonać misję w nakazanym czasie. ■

tyki lotnictwa transportowego oraz trening taktyczny lotnictwa transportowego.

Lotnicy z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego na europejski zaawansowany kurs taktyki lotnictwa transportowego pierwszy raz polecieli w lutym 2016 roku. Przez dwa tygodnie w hiszpańskiej Saragossie szkoliła się jedna załoga, technicy załadunku oraz oficerowie operacyjni odpowiedzialni za planowanie misji, a także żołnierze 6 Brygady Powietrznodesantowej, którzy zajmowali się przygotowaniem ładunków do zrzutu i desantowaniem.

„Uczestnictwo w pierwszym kursie wiązało się z wieloma obawami. Nie wiedzieliśmy na przykład, jak nasze załogi poradzą sobie z realizacją zaplanowanych misji oraz jak wypadną na tle innych krajów. Udział w kursach, a potem treningach taktycznych jest pewnego rodzaju egzaminem dla pilota, tak jak matura dla licealisty. Tutaj personel, który szkoli się w działaniach taktycznych, potwierdza nabyte umiejętności oraz zdolność do działania we wrogim środowisku”, mówi ppłk pil. Krystian Lebda, dowódca 12 Eskadry Lotniczej (gdy zespół wyjeżdżał na szkolenie w 2016 roku, był koordynatorem programu w Inspektoracie Sił Powietrznych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych). Oficer przyznaje jednocześnie, że polscy piloci zaprezentowali się bardzo dobrze, a poziom ich wyszkolenia nie odbiegał od standardów przyjętych w europejskim lotnictwie transportowym.

Uczestnicy pierwszego kursu przyznają, że nie wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. „To było rozpoznanie bojem. Już na szkoleniu uczyliśmy się, w jaki sposób przygotowywać się do zadań, jak należałoby sformować komponent lotniczy”, opisuje kpt. pil. Michał Zychowicz. „Ale najtrudniejsze było to, by dobrze zaprezentować polskie siły powietrzne w środowisku międzynarodowym. Stres był, ale stanęliśmy na wysokości zadania”, uzupełnia. Dodaje, że wyzwanie dla żołnierzy stanowiło dopasowanie się do cyklu obiegu dokumentów i samej organizacji szkolenia. Podczas takiego kursu lotnicy pracują przez 12 godzin na dobę: kilka godzin poświęcają na przygotowanie do lotu, dwie, trzy godziny trwa powietrzna misja, a później jest czas na omówienie zadań i przygotowanie do kolejnego dnia w powietrzu.

HERCULES NAD SARAGOSSĄ

W takich szkoleniach nie każdy pilot może wziąć udział. Delegowana załoga musi spełniać pewne wymagania, tzn. lotnicy mają być wyszkoleni w desantowaniu ludzi i towarów, w lotach na małych wysokościach, we współpracy z innymi rodzajami lotnictwa oraz lądowaniu na pasach szutrowych i walce powietrznej z myśliwcami.

W tym roku europejskim programem lotnictwa taktycznego zainteresowała się także 33 Baza Lotnictwa Taktycznego z Powidza. „Szkolenie w Hiszpanii jest alternatywą dla kosztownych kursów tego typu organizowanych za oceanem. Na poziomie krajowym nie jesteśmy w stanie przeprowadzić tak intensywnego, zaawansowanego, dwutygodniowego doszkolenia taktycznego załóg samolotów transportowych, personelu planistycznego i zabezpieczającego z zaangażowaniem również znacznych sił na ziemi”, mówi ppłk pil. Artur Fijołek, dowódca komponentu z Powidza, a na co dzień zastępca dowódcy Grupy Działań Lotniczych w 33 Bazie. Podczas szkolenia piloci m.in. lądowali na pasach nieutwardzonych i gruntowych, prowadzili desantowanie i załadunek oraz wyładunek personelu. „Ćwiczyliśmy manewry obronne przed zagrożeniem przeciwlotniczym i myśliwskim. Większość lotów odbywała się w terenie górzystym na wysokości lotu koszącego”, opisuje ppłk Fijołek. Lotnicy z Powidza przyznają, że pod pewnymi względami kurs w Hiszpanii można porównywać do cyklicznych szkoleń taktycznych, jakie w 33 Bazie odbywają się z lotnikami amerykańskimi w ramach rotacji pododdziału Aviation Detachment, ale trening hiszpański jest bardziej zaawansowany.

Polskie siły powietrzne będą się angażować w program europejskich szkoleń do 2021 roku. Z jaką częstotliwością załogi mają wyjeżdżać na kursy i szkolenia – tego nie wiadomo. W tej sprawie głos decydujący ma organizator powietrznych ćwiczeń, czyli Europejskie Centrum Lotnictwa Taktycznego. ■

ARCH. R. ARDA SEILERA

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Trzy stopnie swobody

Pilot myśliwca musi być pewny siebie. Chęć bycia najlepszym to naturalna cecha każdego, kto chwyta za stery F-16.

Wielozadaniowe samoloty F-16 pilotuje od półtora roku. Por. pil. Ryszard Seiler w powietrzu spędził ponad 700 godzin, z czego przeszło 200 za sterami efów. „On lubi być najlepszy i daje z siebie wszystko, by coraz więcej się uczyć i podwyższać swoje kwalifikacje. Może pomaga mu to, że jest cholernie uparty?", zastanawia się por. Piotr Parczewski z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. Piloci razem studiowali na Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych, razem odbywali praktyki lotnicze, w tym samym czasie polecieli też na szkolenie do Stanów Zjednoczonych, a teraz służą w jednej eskadrze w Krzesinach. „Mówimy na niego »Ocho«, co z hiszpańskiego znaczy »osiem«. Ten jego »callsign« nawiązuje do oceny lotów szkoleniowych myśliwcem. Tak jak wszyscy, wykonywał dość skomplikowane zadanie w powietrzu i zgarnął najwyższe noty – dwie czwórki. Instruktorzy byli zdziwieni, bo naprawdę nie mieli się do czego przyczepić. Taki jest właśnie »Ocho«", przyznaje por. Parczewski z uśmiechem.

LATANIE EKSTREMALNE

„Mój tata zawsze chciał być pilotem, ale zdrowie mu na to nie pozwoliło. Przejąłem jego zamiłowanie do lotnictwa. Gdy byłem dzieckiem, zabierał mnie m.in. na różnego rodzaju imprezy lotnicze", opowiada por. Ryszard Seiler. Przełomowy moment w jego życiu, w którym zdecydował się włożyć mundur pilota, przypadł w okresie nauki w gimnazjum. „Wtedy w ręce wpadła mi książka »S-kadra« Toma Wolfe'a. To opowieść o pilotach oblatywaczach, którzy później zostali kosmonautami. Wciągnęło mnie na dobre".

Skończył gimnazjum i opuścił rodzinny Koszalin, by uczyć się w Ogólnokształcącym Liceum Lotniczym w Dęblinie. Szkołę średnią wspomina bardzo dobrze, zwłaszcza latanie szybowcami i awionetkami. „Miałem

PILOT MYŚLIWCA MA WALCZYĆ W POWIETRZU. MUSI WYGRYWAĆ, BYĆ NAJLEPSZY!

szczęście, bo w ramach szkolnego programu spędziłem pięć godzin z mistrzami akrobacji na samolocie Extra 300", wspomina. „Skosztowałem ekstremalnego latania, jeszcze zanim skończyłem 20 lat. To było coś".

W trzeciej klasie liceum dostał propozycję wyjazdu na studia do Colorado Springs, ale odmówił. Wolał zostać w Polsce, bo wiedział, że dęblińska uczelnia daje możliwość szkolenia w powietrzu już po pierwszym roku studiów (w USA studenci nie latają na samolotach wojskowych, taki trening mają dopiero jako oficerowie w jednostkach). Do Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie dostał się na kierunek lotnictwo i kosmonautyka, specjalność pilot samolotu odrzutowego. „Na początku każdy dostał broń, nową fryzurę i trafił na dwumiesięczną unitarkę. Wtedy poczuliśmy wszyscy, co znaczy być studentem i żołnierzem", opowiada.

Szkolenie lotnicze rozpoczął od PZL-130 Orlik, potem przesiadł się za stery TS-11 Iskra. Sam przyznaje, że wówczas nauczył się wojskowego latania. Kilkanaście godzin dziennie spędzał na lotnisku, przygotowując się do zadań w powietrzu, później wykonywał loty, a następnie uczestniczył w debriefingach, czyli omawianiu lotów. „Oczywiście jako młody chłopak chciałem każdą sekundę spędzać w powietrzu, choć tak się nie dało. Szczęście mi jednak sprzyjało. Byłem nieformalnym członkiem zespołu akrobacyjnego Biało-Czerwone Iskry i pomagałem w przygotowaniach do lotów, komentowałem pokazy lotnicze w Radomiu. Dodatkowo kilka razy miałem okazję lecieć w drugiej kabinie z liderem zespołu podczas przelotów, kiedy samoloty wykonywały flagę polski ze smugaczy".

Studia kończył z nalotem około 200 godzin, z czego połowę spędził w iskrach. „Każdy z nas chciał trafić do baz wyposażonych w F-16. Kandydatów było zdecydowanie więcej niż miejsc, więc zostaliśmy poddani kolejnej selekcji. Ostatecznie władze uczelni wybrały pięciu najlepszych i tak 31 grudnia 2012 roku zameldowałem się w Krzesinach", wspomina. Jak każdy z zasiadających za sterami F-16, jest pewny siebie. Żartuje, że piloci myśliwscy muszą być trochę aroganccy. To cecha, która pozwala im dobrze wypełniać swoje zadania. „Pilot myśliwca ma walczyć w powietrzu. Musi wygrywać, być najlepszy!".

F-16 DLA NAJLEPSZYCH

Do samolotu F-16 jak magnes przyciągała go możliwość rywalizacji. Wyzwaniem było również to, że do baz w Krzesinach i Łasku najtrudniej się dostać, a efy są najbardziej wymagającymi maszynami. „F-16 daje poczucie wolności. To są trzy stopnie swobody, bez ograniczeń można się poruszać w górę, w dół i na boki", dodaje porucznik.

Wielozadaniowe F-16 wymagają od pilota nie tylko zawziętości i mocnego charakteru. Jastrzębie są dla ludzi spełniających wyśrubowane normy zdrowotne. Oprócz bardzo dobrego wzroku i słuchu trzeba mieć także zdrowe układ nerwowy i serce. Mocny musi być też układ mięśniowo-kostny, bo F-16 potrafi na małej wysokości w zakręcie utrzymać przeciążenie 9G. Dlatego zdarza się, że w trakcie walk powietrznych i dużych przeciążeń piloci F-16 doznają urazów kręgosłupa. „Po każdym takim locie wysiada się z samolotu na miękkich nogach i jest się lżejszym przynajmniej o kilogram – bo tyle z siebie czasami można wypocić. Potrzebne są też mocne nerwy i stabilne emocje, bo po agresywnej walce trzeba się nagle uspokoić. Dolecieć do formacji innych maszyn, bezpiecznie wylądować i spędzić przynajmniej dwie godziny w sali odpraw na omówieniu lotu", opowiada por. Seiler. Oficer wyjaśnia, że najważniejsze podczas kwalifikacji pilotów do F-16 są jednak zdolności umysłowe. „Samo latanie to zaledwie 15% tego, co robi się w powietrzu. Reszta to zbieranie i przetwarzanie informacji, praca na dwóch radiostacjach, loty w formacjach. Dużo rzeczy trzeba przyswoić w krótkim czasie. A do tego dochodzi prędkość, z jaką porusza się samolot, i na przykład użycie realnego uzbrojenia", dodaje.

Zanim jednak por. Seiler znalazł się w kabinie F-16, musiał przejść szkolenie w USA. Tam na początku wsiadł do cesny 172, potem do T-6 Texan II, wreszcie do odrzutowca T-38C Talon i ostatecznie do F-16. „Talon zrobił na mnie ogromne wrażenie, ale to lot w F-16 zapamiętam do końca życia. Nie spodziewałem się, że samolot będzie się wznosił z takim przyspieszeniem".

Do przeżyć, które najbardziej zapadły mu w pamięć, zalicza lądowanie w Arizonie tuż przed burzą, gdy trafił w nagły uskok wiatru, a obok samolotu uderzały pioruny, a także gdy na dużej wysokości rozhermetyzowała się kabina. „Ale najważniejszy był dla mnie ten pierwszy lot. To stres i nerwy", przyznaje porucznik. „Bałem się, bo wiedziałem, że w tym samolocie błąd dużo kosztuje. Do tej pory, kiedy siadam w kabinie, czasami czuję niepokój. Nie boję się o siebie, ale o to, że wykonam źle jakieś zadanie. Wiem, że mam jeszcze przed sobą dużo pracy i nauki, ale zawsze chcę być w gronie najlepszych". ■

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Gdzie morze, gdzie niebo?

Margines błędu jest bardzo mały. Tak mały, że można go zmierzyć odległością trzech kroków. Jeśli pilotowi zadrży ręka, śmigłowiec wpadnie do wody.

CZESŁAW CICHY

Lądowisko ma wymiary 11x15 m, a fregata przez cały czas porusza się z prędkością 15 w., czyli 30 km/h. Śmigłowiec leci 100–140 km/h (choć potem konsekwentnie zwalnia). Do tego dodajmy średnicę jego wirnika nośnego (13 m), panujące wokół ciemności, rozpraszane tylko przez punktowe światła na pokładzie okrętu, wreszcie fale, które kołyszą lądowisko w górę i w dół. I jeszcze to, że pilot nie korzysta z gogli noktowizyjnych, ponieważ śmigłowiec nie został do tego przystosowany, kabinę wypełnia zaś jazgot silników oraz nieustannie prowadzonej korespondencji. A teraz zadanie: załoga śmigłowca musi bezpiecznie wylądować na fregacie.

Kmdr ppor. Sebastian Bąbel, pilot śmigłowca morskiego SH-2G, laureat Buzdygana, nagrody „Polski Zbrojnej”: „Kiedyś wykonywaliśmy taki manewr w czasie rzęsistego deszczu. I już po wszystkim mój kolega rzucił: »Ty, my musimy być nieźle popierd…, że taką robotę sobie wybraliśmy«”.

MUZYK ZA STERAMI

Ale czy można postąpić inaczej, jeśli ta robota była wielkim marzeniem? „Ja sam do latania doszedłem bardzo dziwną drogą”, przyznaje kmdr ppor. Bąbel. Początkowo chciał zostać muzykiem w rodzinnym Olsztynie. Nauczył się grać na klarnecie, ukończył liceum i szkołę muzyczną II stopnia. Kolejnym krokiem miały być studia w akademii muzycznej. I wtedy na jego drodze stanął pilot. „Zasiadał za sterami odrzutowca. To był przyjaciel rodziny. Potrafił świetnie opowiadać, choć nigdy nie namawiał. A ja zacząłem bić się z myślami”, wspomina kmdr ppor. Bąbel. Wreszcie postanowił, że zrobi specjalistyczne badania lekarskie. „Jeśli wypadną dobrze, będę zdawał do Szkoły Orląt w Dęblinie, jeśli nie, sprawa jasna: spokojnie mogę zostać muzykiem. Wypadły dobrze”, opowiada. Następnym progiem były egzaminy wstępne. „Jeśli zdam, to Dęblin, jeśli nie, nie będę więcej próbował...”. Dostał się. „No to nie miałem już wyjścia”, śmieje się oficer.

Początkowo, tak jak ów przyjaciel rodziny, chciał zostać pilotem odrzutowca. Już w trakcie nauki okazało się jednak, że ma drobną wadę słuchu. Przerzucił się na śmigłowce. Studia ukończył i wylądował w Gdyni. Jak? „Kiedy ostatni rocznik kończy naukę, na uczelni pojawiają się przedstawiciele jednostek i rozpoczynają się »zakupy«. Miałem kilka możliwości, ale to Gdynia mnie pociągała. Po pierwsze, duże miasto, po drugie magia służby w marynarce. O tym marzy chyba każdy chłopak. OK, prawie każdy...”, wspomina kmdr ppor. Bąbel.

W 1997 roku trafił do Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej i zaczął latać jako drugi pilot w załodze śmigłowca ratowniczego Anakonda. Robi to zresztą do dziś. Całkowicie nowy rozdział w życiu zaczął jednak

w 2003 roku. Wówczas to do Polski zostały sprowadzone śmigłowce morskie SH-2G, ściśle współpracujące z dwoma fregatami typu Oliver Hazard Perry, które pozyskaliśmy od Amerykanów. „W naszych siłach morskich już wcześniej mieliśmy okręty przystosowane do przyjmowania na pokład śmigłowców. Operacje związane ze startami i lądowaniami prowadzone były jednak okazjonalnie. A tutaj po raz pierwszy helikopter i okręt miały się stać ściśle zespolonymi organizmami. To była zupełnie nowa jakość”, podkreśla komandor podporucznik.

GWIAZDY NA WODZIE

Swojego pierwszego lotu nad morzem nie pamięta. „Lotnisko w Gdyni jest położone w taki sposób, że nawet latając po okręgu, zahacza się o Bałtyk”, tłumaczy. Pewne jest jedno: bardzo szybko przekonał się, jak wyjątkowo specyficzna jest to służba. „Pilotom morskim najbardziej brakuje punktów odniesienia. Kiedy leci się nad lądem, z kabiny widać miasta, lasy, wzgórza, kominy fabryk. Tutaj jedynie od czasu do czasu mijamy statki i platformy wiertnicze. A kiedy znikną z oczu, pozostaje zlewający się z horyzontem błękit morza”, zaznacza kmdr ppor. Bąbel.

Przez większość czasu załoga jest zdana na wskazania przyrządów. Sytuacja jeszcze się komplikuje, kiedy zapadną ciemności. „W pogodne noce gwiazdy odbijają się na powierzchni morza i mieszają ze światłami pozycyjnymi jednostek pływających. W takich warunkach błędnik może oszaleć. Pilot musi się mocno pilnować, by nie stracić orientacji przestrzennej”, tłumaczy oficer. Dodatkowe ryzyko stwarza również awaria maszyny. „Pilot może wodować, ale nawet jeśli ten manewr się uda, nie ma gwarancji, że przeżyje. Ze śmigłowca, po pierwsze, trzeba się szybko wydostać, po drugie – mocno liczyć, że służby ratunkowe dotrą do rozbitków, zanim ci zaczną odczuwać skutki hipotermii”, podkreśla komandor podporucznik. Dlatego, by zwiększyć szanse przeżycia, lotnicy przechodzą regularne treningi w gdyńskim Ośrodku Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego. „Pamiętam lot po pierwszym takim kursie i poczucie, że wreszcie wiem, jak postępować w razie wypadku, że jestem w stanie zrobić wszystko, co w danej chwili zrobić można”, wspomina.

Kmdr ppor. Bąbel jest dziś zastępcą dowódcy eskadry w Grupie Działań Lotniczych. Jako pilot został wyszkolony do poziomu „combat ready”, co oznacza, że może brać udział w działaniach bojowych. Ma status instruktora przygotowanego do szkolenia w każdych warunkach. Jest też pilotem doświadczalnym drugiej klasy. Brał udział w dziesiątkach międzynarodowych ćwiczeń. Latał zarówno nad norweskimi fiordami, jak i na południu Europy, w temperaturze poniżej zera i powyżej 40ºC. Ale chyba najważniejsza dla niego była misja „Active Endeavour” na Morzu Śródziemnym. Polegała ona na monitorowaniu szlaków żeglugowych, by uniemożliwić przemyt broni i ludzi, a także zahamować nielegalną migrację. SH-2G operował z pokładu fregaty ORP „Gen. Kazimierz Pułaski”.

„Pamiętam, jak pewnego dnia na pełnym morzu namierzyliśmy łódź z dziewięcioma mężczyznami na pokładzie. Usiłowali przedostać się z Afryki do Europy. Brakowało im wody, mieli jedynie niewielki zapas paliwa i chyba równie niewielkie szanse na przetrwanie. Przekazaliśmy tych ludzi hiszpańskiej straży przybrzeżnej, najpewniej ratując im życie”, wspomina kmdr ppor. Bąbel. Dodaje też, że tego rodzaju misje dają najlepszą odpowiedź na pytanie, po co marynarce lotnictwo morskie. „Polska, posiadając śmigłowce pokładowe, staje w pierwszym szeregu obok państw z tak znaczącymi siłami morskimi, jak Wielka Brytania, Francja czy Niemcy. Choć mamy starszy sprzęt niż oni, jesteśmy w stanie wykonywać takie same zadania i wiele naszym sojusznikom zaoferować”, podsumowuje oficer. ■

KMDR PPOR. BĄBEL JAKO PILOT ZOSTAŁ WYSZKOLONY DO POZIOMU „COMBAT READY”. MOŻE BRAĆ UDZIAŁ W DZIAŁANIACH BOJOWYCH, MA STATUS INSTRUKTORA PRZYGOTOWANEGO DO SZKOLENIA W KAŻDYCH WARUNKACH. JEST TEŻ PILOTEM DOŚWIADCZALNYM DRUGIEJ KLASY

ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

TRANSPORTOWIEC Z WYBORU

O lotnictwie marzył od dziecka. Miał być pilotem myśliwca, ale ostatecznie postawił na samoloty transportowe. Mjr pil. Sławomir Byliniak za sterami C-295 M spędził ponad 4 tys. godzin.

Wychowywałem się w pobliżu lotniska, na warszawskim Żoliborzu. Głowa sama podnosiła się do góry, gdy nad osiedlem przelatywały samoloty. Zapatrzyłem się też na wujków, którzy służyli w lotnictwie. I tak to się zaczęło", wspomina mjr Sławomir Byliniak, zastępca dowódcy 13 Eskadry w 8 Bazie Lotnictwa Transportowego.

Oficer jest dziś jednym z najbardziej doświadczonych pilotów transportowych w kraju. Pilotował An-2, An-26, a od 13 lat zasiada za sterami Casy C-295M. W powietrzu spędził ponad 4800 godzin, z tego hiszpańskim transportowcem wylatał ich około 4 tys. „Sławek to postać nietuzinkowa. Łatwo zjednuje sobie ludzi, ma charyzmę, jest dobrym kumplem i doskonałym pilotem. Z pewnością może być wzorem dla młodych lotników", opowiada ppłk Robert Turek, zastępca dowódcy Grupy Działań Lotniczych w 8 Bazie.

PRZESIADKA Z MYŚLIWCA

„Jeszcze jako dzieciak sklejałem z kolegami modele samolotów, a później z czwartego piętra zrzucaliśmy je przez okno. Bawiliśmy się w wojnę, zderzając ze sobą podpalone modele. Kto wie, może te dziecięce zabawy dały początek miłości do lotnictwa…", wspomina z uśmiechem mjr Byliniak.

Uczył się w Ogólnokształcącym Liceum Lotniczym w Dęblinie, a po maturze zdał do Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych. Początkowo nauka w Szkole Orląt bardzo go rozczarowała. Uczelnia przechodziła wówczas różnego rodzaju modyfikacje programowe i zamiast kierunku „lotnego" uruchomiono kierunek ogólnowojskowy. „Kilkadziesiąt osób zrezygnowało już po pierwszym roku albo po prostu nie zdało egzaminów na koniec semestru. Ten czas jednak nie osłabił mojego entuzjazmu do latania", wspomina. Po rocznej przerwie, gdy w Dęblinie ponownie uruchomiono kierunek pilot samolotów odrzutowych, udało mu się dostać indeks. Nauka nie sprawiała przyszłemu dowódcy większych trudności. Dziś z rozrzewnieniem wspomina zajęcia praktyczne z pilotażu oraz lotniczą atmosferę tworzoną przez instruktorów Szkoły Orląt.

„W 1994 roku 1 czerwca otrzymałem z okazji Dnia Dziecka najlepszy prezent. Wykonałem swój pierwszy samodzielny lot na TS-11 Iskra", wspomina i dodaje: „Moim największym marzeniem – jak każdego studenta Szkoły Orląt – było latanie na odrzutowcach. Na piątym roku studiów jego plany jednak pokrzyżowało zdrowie". Wyniki badań zdyskwalifikowały go jako pilota MiG-21. Tymczasowo dostał przydział do 13 Pułku Lotnictwa Transportowego w Krakowie. „W 1996 roku trafiłem do eskadry wykonującej zadania na An-2, niewielkich transportowcach, z których wszyscy podchorążowie śmiali się na studiach. Nawet wykładowcy niekiedy żartowali na zajęciach i mówili »jak nie będziecie się uczyć, to skończycie w Krakowie na antonowach«. Wtedy śmiałem się z nimi. I na co mi przyszło?", żartuje. Służba w Krakowie bardzo mu się jednak spodobała. I choć poprawił się stan jego zdrowia i Sławomir Byliniak mógł się przenieść na odrzutowce, to wybrał lotnictwo transportowe. Początkowo latał na An-2, później przesiadł się na większy samolot, czyli An-26.

JEST PIERWSZYM W PEŁNI WYSZKOLONYM W BALICACH PILOTEM C-295M. ZDOBYŁ ZAUFANIE ZARÓWNO PODWŁADNYCH, JAK I PRZEŁOŻONYCH

Przełomem w karierze mjr. Byliniaka było przeszkolenie na C-295M CASA. „Byłem w trzeciej grupie pilotów, którzy w Hiszpanii ukończyli kurs dla drugich pilotów i dowódców załóg. Mieliśmy zajęcia teoretyczne, symulatorowe i szkolenie praktyczne w powietrzu. Po kilkudziesięciu godzinach treningowych wróciłem do kraju. Od razu dostaliśmy zadanie: trzeba było polecieć do Afganistanu i do Iraku. Nigdy tego nie zapomnę", opowiada major.

Przesiadka z An-26 na Casę jest jak zamiana malucha na mercedesa. „Mieliśmy w Balicach najnowszy samolot w siłach powietrznych. Nowe maszyny dały nowe możliwości. Na pokładzie C-295M transportowaliśmy ładunki po Polsce i świecie. Przewoziliśmy ludzi, uzbrojenie, żywność, wszystko, co potrzebne naszym żołnierzom. Desantowaliśmy żołnierzy i platformy towarowe", opowiada pilot. Mjr Byliniak wykonywał także loty deportacyjne na rzecz MSWiA, a także te o statusie HEAD – z prezydentem, premierem – oraz z VIP-ami. Latał też z Zespołem Ewakuacji Medycznej, którego zadaniem jest ratowanie rannych i poszkodowanych żołnierzy z rejonu PKW, oraz transplantologami w ramach „Akcji serce". „Z miejsca pokochaliśmy tę maszynę. Jest po prostu zgrabna i ładna. W porównaniu z An-26 jest też bardzo zwrotna. Niemal z każdej pozycji można wylądować", uzupełnia.

Z AFGANISTANU DO AFRYKI

„Mjr Byliniak jest pierwszym w pełni wyszkolonym w Balicach pilotem C-295M. Zdobył zaufanie zarówno podwładnych, jak i przełożonych. Dowodził polskimi komponentami lotniczymi w Afganistanie i Republice Środkowoafrykańskiej", opisuje ppłk Turek, zastępca dowódcy Grupy Działań Lotniczych 8 BLTr.

Prawdziwym sprawdzianem dla pilotów z Balic był Afganistan. Podczas misji ISAF utrzymywali oni most powietrzny, zapewniali łączność pomiędzy Polską i polskim kontyngentem wojskowym. Przez dwa lata, od 2010 do 2012 roku, także stacjonowali w Afganistanie, gdzie wykonywali loty taktyczne. „To było wyzwanie pod względem pilotażowym i organizacyjnym. Lataliśmy w wysokich temperaturach, na dużych wysokościach i w ogromnym zapyleniu powietrza. Wykonywaliśmy taktyczne podejścia do lądowania, a przy tym musieliśmy wpasować się w duży ruch lotniczy. Każdego dnia w Kabulu czy Bagram wykonywano około 300 startów i lądowań", opowiada mjr Byliniak. Wspomina m.in. wymagające afgańskie lotniska. Opowiada np. o tym w Szaranie, które jest położone w wysokich górach (ok. 2 tys. m n.p.m.) i ma bardzo wąski i krótki pas startowy.

„Latanie na C-295M poszerza horyzonty – dosłownie i w przenośni", przyznaje z uśmiechem. „Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będę latał do Azji i Afryki! A byłem m.in. w Czadzie, Kongu, na Wyspach Zielonego Przylądka, no i w całej Europie", wylicza.

Mjr Byliniak jest jednym z pierwszych pilotów, którzy otrzymali gapę z zielonym wieńcem, czyli najważniejsze odznaczenie pilotów wykonujących zadania w strefie działań wojennych. Na swoim koncie ma aż 380 takich lotów. Trzy lata temu został dowódcą PKW w Republice Środkowoafrykańskiej. Polacy stacjonowali w bazie lotniczej francuskich sił powietrznych w Orleanie, około 100 km od Paryża, i stamtąd latali do Bangi, stolicy RŚA. Na pokładzie C-130 Hercules przewozili ludzi, towary i różnego rodzaju sprzęt. Nasi żołnierze przeprowadzili kilkadziesiąt zadań, przetransportowali ponad 80 t ładunku i 41 osób. W powietrzu spędzili 211 godzin, pokonując blisko 100 tys. km. Wsparli misję „Sangaris" wojsk francuskich, udzielających pomocy Misji Międzynarodowego Wsparcia Sił Afrykańskich w Republice Środkowoafrykańskiej (MISCA). Jednym z ważniejszych zadań Polaków było przetransportowanie z Afryki do Europy francuskiego radaru nazywanego żyrafą. Urządzenie ważyło ponad 12 t i ledwo zmieściło się do ładowni herculesa. ■

PILOT AKROBACYJNY MUSI BYĆ ZADZIORĄ

Z Dariuszem Stachurskim

o specyfice latania akrobacyjnego, polskich orlikach i lądowaniu na brzuchu rozmawia Anna Dąbrowska.

Co w lataniu jest najwspanialsze?

Spełnienie marzeń z dzieciństwa. Dla pilotów wojskowych latanie to nie tylko praca, lecz także pasja. Nie znam nikogo, kto byłby pilotem i tego nie lubił. Samo przebywanie w powietrzu jest trochę jak narkotyk. Kiedy jestem zmęczony i idę na urlop, już po tygodniu zaczynam tęsknić za samolotem i myślę tylko o tym, aby znów zasiąść za sterami.

Dlatego został Pan pilotem?

Kiedy kończyłem szkołę podstawową, chciałem robić coś szczególnego. Lubiłem mechanikę i prędkość, więc wymarzyłem sobie zawód pilota. Pojechałem do liceum lotniczego w Dęblinie na badania lekarskie i egzaminy. Dostałem się i tak zaczęła się moja przygoda z lotnictwem. Potem była Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych, a od 1998 praca jako instruktor w 42 Bazie Lotnictwa Szkolnego w Radomiu, która kształci dęblińskich podchorążych.

Pamięta Pan swój pierwszy raz za sterami samolotu?

Oczywiście. To był 1995 rok, Radom i PZL-130 TC-1 Orlik. W Radomiu obserwowałem podniebne akrobacje zespołu Orlik i marzyłem o znalezieniu się w jego składzie. Po dwóch latach pracy z podchorążymi koledzy zaproponowali mi odbycie kilku lotów zapoznawczych w składzie orlików. Udało się i w 2001 roku byłem już pełnoprawnym pilotem zespołu, a od 2005 roku jestem jego prowadzącym.

Jakie cechy musi mieć przyszły pilot akrobacyjny?

Odporność na stres, wytrwałość, opanowanie. To jednocześnie trochę prymus, na którym zawsze można polegać i który przygotowuje się perfekcyjnie do lotu, a z drugiej strony chuligan i zadziora. Nie może być to człowiek do końca grzeczny i ułożony, musi umieć podejmować szybkie decyzje, być pewnym siebie i swoich umiejętności. Taka mieszanka luzu i dokładności. Musi też zostać zaakceptowany przez pozostałych członków zespołu. W lataniu grupowym, gdy odległości między samolotami są bardzo małe, a prędkości duże, ważne jest wzajemne zaufanie. Dlatego to grupa zaprasza chętnych, wykonuje z nimi po kilka lotów i obserwuje. Musi nam pasować ich charakter, sposób latania. Obserwujemy, jaki kto ma sposób pilotażu i ustalamy, na jakiej pozycji powinien latać.

ARCH. PRYWATNE

Czyli to, gdzie kto trafi, nie jest przypadkowe?

W żadnym wypadku. Widzimy, na której pozycji pilot będzie dobry i cały trening ustawiamy pod tym kontem. Dlatego dla bezpieczeństwa nie ma u nas pilotów zapasowych i nie zastępujemy siebie nawzajem w formacji. Jeśli ktoś nie może lecieć, odrobinę zmieniamy ustawienia ugrupowania i lecimy w niepełnym składzie. Każdy jest przypisany do określonej pozycji i ma inne zadanie. Na przykład rolą lidera jest koordynacja całego pokazu, dbanie o kwestie bezpieczeństwa, wykonywanie figur z takim wyliczeniem, aby bez względu na warunki atmosferyczne zaprezentowały się najlepiej, współpraca z instruktorem – pilotem, który stoi z radiostacją na ziemi. Z kolei np. skrzydłowy lecący za prowadzącym musi pilotować bardzo spokojnie, powoli poprawiać ewentualne błędy, aby nie rozproszyć kolegów lecących za nim. Rolą solisty natomiast, który leci na końcu ugrupowania, jest zaprezentowanie możliwości pilotażowych samolotu i własnych umiejętności. On lata z temperamentem, dynamicznie, wyciska z maszyny siódme poty.

W lataniu przydaje się też wyobraźnia przestrzenna?

Nazywamy ją świadomością sytuacyjną. Każdy z nas musi wiedzieć, co robi jego samolot, gdzie są koledzy, jak wygląda cała sytuacja w powietrzu i jak ją widać na ziemi, oczami widzów. Biorąc pod uwagę, że wszystko dzieje się z prędkością nawet ponad 400 km/h, a odległości między samolotami wynoszą czasem poniżej metra, skupienie musi być stuprocentowe. Dlatego przed lotem spotykamy się, omawiamy elementy pokazu i wyciszamy. Kiedy zamykamy kabinę, wszystko inne poza lotem zostawiamy na ziemi.

Czy w powietrzu jest czas na strach?

Nie ma, nawet jeśli dzieje się coś złego. Kilka lat temu wykonywałem lot treningowy z płk. Piotrem Romanowskim, dowódcą eskadry. Usterka techniczna zaworu hydraulicznego spowodowała, że podwozie nie chciało wyjść. Próbowaliśmy na różne sposoby: normalnie, awaryjnie i grawitacyjnie. Po konsultacji z wieżą podjęliśmy decyzję o lądowaniu awaryjnym. Najpierw wypracowaliśmy paliwo, aby nie doszło do pożaru po przyziemieniu. Wybraliśmy też trawiasty pas zamiast betonowego, żeby mieć miękkie lądowanie. Pas był mocno zmrożony i jechaliśmy po nim jak na sankach. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło. Samolot po niewielkiej naprawie wrócił do służby. Tak się polubiliśmy, że dziś na nim latam.

Wylatał Pan 3300 godzin, z tego większość na orlikach. Jaki to samolot?

Obchodzi 25-lecie w służbie, ale kilka lat temu został przebudowany, ma nowy silnik, który pozwala na rozwijanie większych prędkości, wzrosła sprawność śmigła, lepiej zachowuje się na małych prędkościach. Mimo to nie jest to wymarzony samolot akrobacyjny. W pilotowaniu przypomina ciężki odrzutowiec. Ma sporą masę, małą powierzchnię skrzydeł, dość długo trzeba czekać na reakcję po wychyleniu sterów, nie „chodzi za ręką", jak maszyna sportowa.

Czego nie da się na nim zrobić?

Figury zabronione to ślizgi na ogon, ograniczone do 30 s są też figury odwrócone.

Jaka jest Pana ulubiona figura w powietrzu?

Lubię cały nasz pokaz. Co ciekawe, z naszego punktu widzenia mamy łatwe figury, które budzą aplauz publiczności, i trudne, które dla widzów wydają się banalnie proste do wykonania. Na przykład mijanki zapierają dech w piersiach widzów – wtedy dwie maszyny lecą na siebie z prędkością zbliżania 800 km/h i mijają o włos. W rzeczywistości samoloty są oddalone od siebie około 15–30 m, na dodatek jeden jest wyżej, a drugi niżej. Najtrudniejszą figurą, którą wykonywaliśmy całą grupą, było lądowanie formacją dziewięciu samolotów. Takie jednoczesne przyziemienie było ryzykowne, odległości małe i nie można się było odsunąć, bo nie starczyłoby pasa. Po tym manewrze mogłem wyżymać kombinezon, a obserwującym z ziemi wydawało się, że wszystko jest proste, bo prędkości i dynamika są niewielkie.

Mówił Pan o pasji latania, ale w akrobacji jest jeszcze jeden bonus – podziw publiczności.

To prawda. Akrobacja to ten element umiejętności pilotów, który można pokazać. W przeciwieństwie do ciężkiej pracy innych wojskowych lotników, która często jest niemożliwa do obserwacji przez osoby postronne. Dlatego naszym zadaniem jest popularyzacja lotnictwa wojskowego, a jednocześnie jesteśmy ambasadorami wszystkich pilotów w mundurach. ■

Mjr pil. DARIUSZ STACHURSKI jest liderem Zespołu Akrobacyjnego „Orlik". Absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych. Ukończył też szkołę oficerów eskadr lotniczych w Akademii Sił Powietrznych w Maxwell w Stanach Zjednoczonych, politologię na Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach oraz wyższy kurs sztabowy w Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie. Od 1998 roku jest pilotem instruktorem w 42 Bazie Lotnictwa Szkolnego w Radomiu, a od 2001 roku lata w zespole akrobacyjnym. Jego nalot to 3300 godzin.

KRZYSZTOF KUSKA

SZARE EMINENCJE

Ta służba nie jest łatwa. Wymaga nie tylko sporo siły i sprytu, lecz także umiejętności szybkiego liczenia „na piechotę”. Pokazujemy, jak wyglądają szkolenie i codzienne obowiązki loadmasterów.

Śmiało można powiedzieć, że stanowią elitarną grupę w siłach powietrznych. W Polsce jest zaledwie 13 certyfikowanych loadmasterów na pięć samolotów C-130. W składzie załogi zawsze powinien być jeden taki specjalista, a w przypadku zrzutów czy transportu ładunków lub lotów do strefy działań wojennych konieczne jest zwiększenie obsady do dwóch osób.

PIERWSZE KROKI

By móc aplikować na takie stanowisko, trzeba mieć za sobą pół roku pracy w obsłudze samolotu C-130, czyli być członkiem personelu służby inżynieryjno-lotniczej, i poznać statek powietrzny od podszewki. Jeśli kandydat spełnia ten warunek, kierowany jest na kompleksowe badania lekarskie w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, a następnie do Stanów Zjednoczonych na szkolenie specjalistyczne, trwające od ośmiu do dziewięciu miesięcy. Po części językowej trafia na właściwe szkolenie do bazy Little Rock w Arkansas, do ośrodka szkoleniowego dla załóg samolotów C-130. „Początkowo dużym problemem była dla mnie bariera językowa”, wspomina naukę mł. chor. Wojciech Bober. „Specyficzny akcent, charakterystyczny dla południowych stanów, stanowił dla mnie i kolegów nie lada wyzwanie. Po miesiącu jednak ten problem prawie znikł”.

Szkolenie naszych załóg odbywa się na C-130H, bo przedział cargo jest w tych maszynach podobny do tego, który znajduje się w używanych w Polsce herculesach

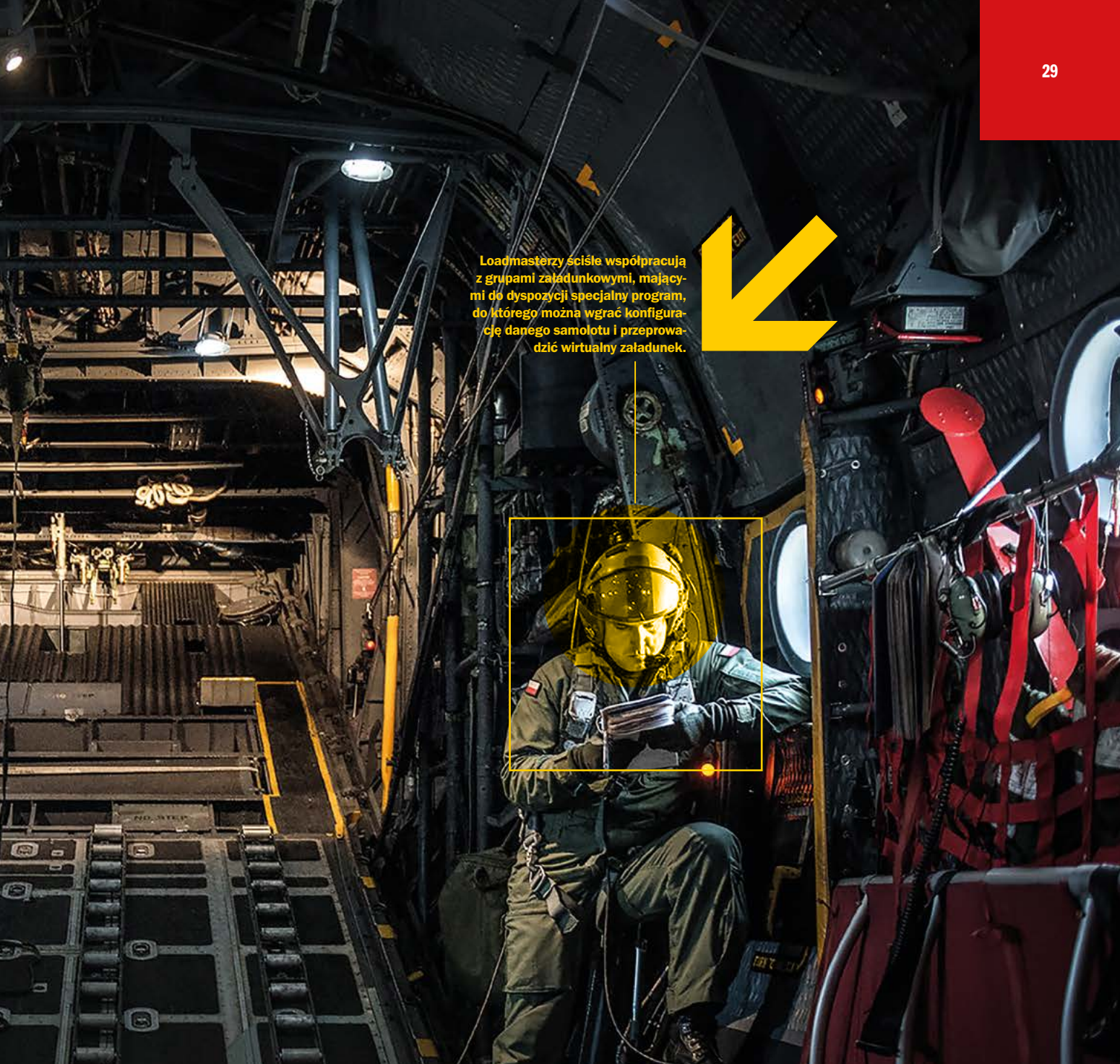

Loadmasterzy ściśle współpracują z grupami załadunkowymi, mającymi do dyspozycji specjalny program, do którego można wgrać konfigurację danego samolotu i przeprowadzić wirtualny załadunek.

oznaczonych literą E. Również pod względem pilotażu są niewielkie różnice między tymi typami samolotów. W Little Rock kursanci uczą się, jak odpowiednio planować rozłożenie ładunku oraz wyliczać jego masę i wyważenie. W ośrodku szkoleniowym znajduje się pewnego rodzaju symulator C-130 dla specjalności loadmaster. Jest to kadłub samolotu ze wszystkimi elementami systemów struktury płatowca, który umożliwia studentom bezpieczne szkolenie w warunkach zbliżonych do realnych.

CZAS NA ZRZUTY

Podstawa szkolenia to jednak zrzuty tary desantowej, na ziemi combat offload, tary ciężkiej heavy equipment oraz zasobników prostych CDS. Elementem tary może być wszystko, co jest potrzebne na polu walki, od broni po racje żywnościowe i wodę. Platforma lotnicza służąca do zrzutu heavy equipment jest utrzymywana na pokładzie maszyny za pomocą systemu dual rails, uniemożliwiającego swobodne przemieszczenie ładunku w każdym kierunku. Jednym z elementów jest tzw. extraction parachute, czyli spadochron odpowiedzialny za wyciągnięcie ładunku z samolotu. Spadochron działa z siłą przewyższającą opór zamków utrzymujących ładunek na miejscu, co powoduje zainicjowanie procesu wyciągania platformy z ładunkiem. Jest montowany do tzw. bomb rack, czyli belki pierwotnie przewidzianej do zrzutu bomb i umiejscowionej centralnie pod sufitem kadłuba.

PIOTR ŁYSAKOWSKI

BILANS MUSI SIĘ ZGADZAĆ

Każdy przelot to pewnego rodzaju kompromis, ponieważ zawsze trzeba zbilansować ilość potrzebnego paliwa i masę ładunku, uwzględniwszy, oczywiście, stosowne marginesy bezpieczeństwa. Maksymalna masa startowa samolotu to 155 tys. funtów w czasie pokoju. Na wypadek wojny można tę wartość podnieść do 175 tys. Sam samolot waży około 85 tys. funtów, dlatego na pokład można zabrać tyle ładunku, ile zostaje po odjęciu masy zatankowanego paliwa. ■

Największe wrażenie na całej załodze, w szczególności na pilotach, robi zrzut ładunku ważącego 42 tys. funtów, czyli około 19 t. Dopiero przy tak dużej masie mogą oni poczuć, że pozbyli się ciężaru. „To było dla mnie szokujące", dodaje st. chor. Marek Pluciński. „Prędkość, z jaką platforma z ładunkiem opuściła pokład samolotu, była zarazem fascynująca i przerażająca. Dopiero takie doświadczenie pozwala uświadomić sobie, jak szybko mogą nastąpić po sobie zdarzenia podczas ewentualnej sytuacji awaryjnej związanej ze zrzutem heavy equipment".

Desantuje się również mniejsze ładunki systemu CDS, czyli Container Delivery System (w formie sześcianu na podstawie ze sklejki o wymiarach 48x48 cali), które opuszczają samolot grawitacyjnie. W trakcie zrzutu pilot podnosi nieco dziób samolotu i dzięki zamontowanym na podłodze rolkom ładunki swobodnie się staczają. Na pokład można zabrać do 16 CDS i wówczas wyrzuca się je w tzw. układzie double stick – po osiem na stronę. W czasie transportu CDS-y są zabezpieczone taśmą (tzw. release gate), którą w momencie zrzutu loadmaster przecina specjalnym nożem, a przy większej liczbie CDS-ów korzysta z tzw. retriever winch, czyli małej wyciągarki.

Gdy przyszli loadmasterzy wracają ze Stanów Zjednoczonych, polscy instruktorzy weryfikują ich umiejętności, po czym są wydawane pozwolenia na loty, najpierw w towarzystwie instruktora, a później samodzielnie.

POBUDKA!

Loadmasterzy rozpoczynają pracę bardzo wcześnie rano, ponieważ muszą być na lotnisku o tej samej porze co technicy pokładowi, czyli od półtorej godziny do dwóch godzin przed lotem. Najważniejszym zadaniem tych specjalistów jest takie umiejscowienie ładunku, by wyważenie samolotu mieściło się w wyznaczonych limitach, właściwości lotne maszyny pozostały na odpowiednim poziomie, a piloci nie odczuli żadnej zmiany na sterach maszyny.

Loadmasterzy ściśle współpracują z grupami załadunkowymi, mającymi do dyspozycji specjalny program, do którego można wgrać konfigurację danego samolotu i przeprowadzić wirtualny załadunek. W ten sposób sprawdza się, czy konkretny ładunek może być usytuowany na danej pozycji. Najważniejsze jednak jest doświadczenie, bo czasami podpowiedzi komputera nijak się mają do rzeczywistości. Również loadmasterzy używają programów komputerowych do obliczenia wyważenia statku powietrznego, ale czasami muszą je zrobić „na piechotę". W takich sytuacjach doświadczenie okazuje się bezcenne.

PRZEWIEZIEMY WSZYSTKO…

Jednym z ładunków stanowiących wyzwanie dla loadmasterów jest kontener 40-stopowy, ponieważ długość całego przedziału cargo w herculesie wynosi 41 stóp. Załadunek takiego giganta wymaga zatem specjalistycznego urządzenia, które nazywa się „milk stool" (stołek do dojenia). Jest to drewniana konstrukcja przypominająca małą ławeczkę, którą podstawia się pod rampę, gdy ładunek waży powyżej 2000 funtów, aby nie uniosło się przednie koło samolotu.

Na pokładzie herculesa mieszczą się dwa popularne hummery (lub trzy, jeśli zdemontowałoby się zderzaki)

PIOTR ŁYSAKOWSKI

NAJWIĘKSZE WRAŻENIE NA CAŁEJ ZAŁODZE, W SZCZEGÓLNOŚCI PILOTACH, ROBI ZRZUT ŁADUNKU WAŻĄCEGO 42 TYS. FUNTÓW, CZYLI OKOŁO 19 TON

oraz trzy samochody wojskowe Mercedes klasy G, popularne gelendy. One ważą niewiele, ale czasami są transportowane np. opancerzone toyoty, których ciężar wynosi około 11 tys. funtów. Do herculesa można załadować również polski samochód ciężarowy marki Jelcz, ale wtedy w przedziale cargo robi się naprawdę ciasno, z każdej strony samochodu zostaje jedynie około 5 cm luzu. Kierowca, który wjeżdża na pokład samolotu, ma zakaz korzystania z lusterek, dlatego kiedy się cofa, korzysta wyłącznie ze wskazówek loadmasterów. „Ciągle mam w pamięci mój pierwszy załadunek łodzi desantowej ważącej 16 tys. funtów, z użyciem samochodu ciężarowego. Samo wprowadzenie pojazdu tyłem stanowi nie lada wyzwanie, a załadunek przyczepy z łodzią jest jeszcze trudniejszy", wspomina st. sierż. Radosław Marszałek.

W czasie lotów w strefie działań wojennych loadmasterzy wspomagają załogę w kokpicie, a także zamontowane w samolocie pokładowe systemy samoobrony – stają się niejako dodatkowymi oczami. Przez znajdujące się w drzwiach okna cały czas monitorują tylną półsferę samolotu. Gdy zauważą pocisk lub samolot przeciwnika, przekazują tę informację pilotom. Loadmasterzy mogą również samodzielnie wystrzelić przeciwśrodki w postaci flar i dipoli, mające odciągnąć pocisk od maszyny. „Kiedy zdajesz sobie sprawę, że od ciebie zależy życie załogi, podchodzisz do powierzonego zadania niezwykle sumiennie. Nie możesz pozwolić na to, aby emocje wzięły górę – musisz skupić uwagę wyłącznie na wykonywanej w danym momencie misji", dodaje plut. Paweł Świątczak.

... I WSZĘDZIE

Polskie herculesy to prawdziwe konie robocze. A ich załogi są mocno obciążone pracą, szczególnie teraz, gdy jedna z maszyn przechodzi kompleksowy remont w Wojskowych Zakładach Lotniczych w Bydgoszczy. Jeszcze dwa lata temu przed wysłaniem maszyn na okresowe przeglądy załogi wylatywały po ponad 300 godzin. C-130 towarzyszą F-16 w każdej większej wyprawie, np. na ćwiczeniach „Red Flag" na Alasce lub w Kuwejcie, bo przewożą całe zabezpieczenie dla myśliwców. Wspierały też nasze wojska w czasie misji w Iraku i w Afganistanie. Gdy trzeba było polecieć do Republiki Środkowej Afryki bez międzylądowań oraz przewieźć spory ładunek, to również wysyłało się C-130. Najczęściej piloci lądują na utwardzonych lotniskach, ale podczas ćwiczeń „Flintlock" oraz operacji „Sangaris" herculesy siadały na tzw. dirtach, czyli powierzchniach utwardzonych, ale nie na betonowych bądź asfaltowych. Polskie C-130 przewoziły ładunki w różne części świata, m.in. do Senegalu, Gabonu czy Czadu. Pobyt w tych krajach wymagał skrupulatnych przygotowań, m.in. dlatego że wiązał się z dużym zagrożeniem dla zdrowia załóg takimi chorobami, jak malaria czy denga. C-130 sprawdziły się nie tylko w miejscach, gdzie jest wysoka temperatura. Podczas wylotu do Kazachstanu spadała ona do –20ºC, a odczuwalna nawet do –30. „Po dwóch dniach na mrozie maszyna bez problemu odpaliła. To dowód na niezawodność technologii użytej w tym samolocie. Jak widać, herculesy doskonale sprawdzają się mimo swojego wieku", stwierdza sierż. Zbigniew Krajniak.

Powiedzenie, że w wojsku zobaczysz kawał świata, w wypadku loadmasterów jest jak najbardziej prawdziwe. Mnogość wykonywanych zadań i bardzo duży zasięg herkulesów sprawiają, że służba na tych statkach powietrznych to doskonała okazja, by odwiedzić miejsca, do których jako cywile raczej nie polecimy. To są plusy tej służby, ale są też i minusy. Jeden z loadmasterów dodaje: „Czasem, gdy dziecko pyta: »Tato, gdzie dziś lecisz«, mogę tylko odpowiedzieć, że to tajemnica i że wrócę za parę dni". ■

MICHAŁ NIWICZ

MICHAŁ NIWICZ

Dzięki nim śpimy spokojnie

Czasami w polskiej przestrzeni powietrznej zdarzają się sytuacje, które wymagają interwencji pary dyżurnej.

Tu liczy się czas", przyznają piloci, z którymi spotkałem się na lotnisku wojskowym w Malborku. Popołudnie jest pochmurne, szare i deszczowe, niesprzyjające mobilizacji. Mimo to Kamil i Marcin, piloci pełniący tego dnia obowiązki pary dyżurnej, nie pozwalają sobie na odpoczynek – są skoncentrowani, w pełnej gotowości. Ich praca to ciągłe wyczekiwanie na sygnał.

W całej Polsce dyżur bojowy odbywa się rotacyjnie w kilku jednostkach. Dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu para pilotów jest w gotowości, żeby w momencie otrzymania sygnału wybiec na lotnisko, poderwać maszyny w powietrze i lecieć na misję.

TRZEBA BYĆ NIEZWYKLE SPRAWNYM, ZDECYDOWANYM I WYTRWAŁYM. WIELE DYŻURÓW TO PO PROSTU DWUDZIESTOCZTEROGODZINNE OCZEKIWANIE

SZYBKO I BEZBŁĘDNIE

Para dyżurna, którą odwiedziłem, na co dzień stacjonuje w 23 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim. Obecnie, ze względu na remont pasa, spotkałem się z nimi w Malborku na terenie 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego. Latają rosyjskimi myśliwcami frontowymi MiG-29. Piloci pełnią służbę dyżurną w ramach sojuszniczego Zintegrowanego Systemu Obrony Powietrznej NATO – NATINADS. Procedury i zasady regulowane są przez prawo międzynarodowe.

Dzwonek alarmowy, który podrywa parę dyżurną do działania, jest tylko sygnałem. Piloci chwytają hełmy i biegiem ruszają do samolotu. Bardzo często w tym momencie nie wiedzą jeszcze ani co ich czeka, ani do jakiej sytuacji są wzywani. Taka informacja przychodzi później, gdy są już w powietrzu. Teraz liczy się tylko czas. Nie idą do maszyn, lecz biegną. Uruchomienie i poderwanie MiG-a ma być wykonane jak najszybciej, ale też sprawnie i bezbłędnie. „Nie robimy nic innego niż w czasie ćwiczeń, ale tutaj nie ma chwili na zastanowienie, na wahanie", mówi jeden z pilotów. „To nie jest teoria. Teraz jest to już prawdziwe działanie". Samoloty są uzbrojone, a piloci przygotowani na każdą sytuację. Pytanie więc, co dzieje się na polskim niebie, że musi zostać wezwana para dyżurna?

„Są różnego rodzaju interwencje. Większość z nich polega na potwierdzeniu tożsamości obiektu, który pojawił się na radarach", opowiadają piloci. Oprócz identyfikacji jest oczywiście obrona w razie naruszenia granic naszego kraju przez inne państwa. Ideą NATINADS jest jednak nie tylko obrona przestrzeni powietrznej, lecz także udzielanie pomocy każdemu statkowi powietrznemu znajdującemu się w niebezpieczeństwie.

Często pojawia się samolot, z którym nie ma łączności. Piloci wykonują wtedy jedno z dwóch zadań. Pierwszym jest zazwyczaj jedynie potwierdzenie, czy dana maszyna jest tą, której spodziewają się kontrolerzy lotów. Para dyżurna podlatuje do niej na minimalną odległość, z której wzrokowo można rozpoznać samolot. Zdaje meldunek i na tym kończy się misja. Drugim przypadkiem jest interwencja, czyli eskorta obiektu, z którym nie ma łączności. Zadaniem jest spowodowanie zmiany kursu maszyny i jej poprowadzenie. Jak to wygląda w rzeczywistości? Para dyżurna podlatuje do samolotu i nawiązuje kontakt wzrokowy z pilotem. „Za pomocą prostych gestów jesteśmy →

MICHAŁ NIWICZ (2)

PILOCI CZUJĄ SIĘ PEWNIE, WIEDZĄ, CO MAJĄ ROBIĆ I JAK SIĘ ZACHOWAĆ. KAŻDY Z NICH PRZECHODZI SZKOLENIE, DZIĘKI KTÓREMU POTRAFI DZIAŁAĆ W SYTUACJI KRYZYSOWEJ

w stanie dowiedzieć się o przyczynach braku łączności", opowiadają. Leader prowadzi, a wingman, czyli skrzydłowy, ma za zadanie asekurować całą akcję.

Podobnie wygląda poprowadzenie w szyku maszyny, której pilot stracił możliwość korzystania z przyrządów pilotażowych i bez podstawowych informacji o parametrach lotu nie może podejść do lądowania podczas dużego zachmurzenia. W takiej sytuacji mówi się o „utracie obu platform i niemożliwości przebicia chmur". Zdarza się to m.in. w czasie ćwiczeń samolotów wojskowych, gdy pilot nie ma sztucznego horyzontu, a tym samym odniesienia do ziemi.

Są to najczęstsze sytuacje w polskiej przestrzeni powietrznej wymagające interwencji strony wojskowej. Piloci czują się pewnie, wiedzą, co mają robić i jak się zachować. Każdy z nich przechodzi szkolenie, dzięki któremu potrafi działać w sytuacji kryzysowej. Nie chodzi jedynie o dobre panowanie nad maszyną, lecz także o znajomość teorii prawa lotniczego, umiejętność rozpoznawania statków powietrznych, oznakowania czy też udzielania pierwszej pomocy. Polacy biorą też udział w regularnych szkoleniach i ćwiczeniach NATO, podczas których jest sprawdzana sprawność bojowa kraju uczestniczącego w NATINADS, oraz wykonują misje „Baltic Air Policing".

WYRÓŻNIENIE DLA PILOTA

Po kilku latach służby, zachowania właściwej postawy i po odpowiednim wyszkoleniu można zostać jednym z pary dyżurnej. Czy jest to wyróżnienie? „Właściwie tak", odpowiadają moi rozmówcy. „Pilot na pewno czuje się wyróżniony. Osiągnął pewien poziom umiejętności. Nie każdy ma okazję wykonywać tak ważne zadania". Należy dodać, że trzeba być niezwykle sprawnym, zdecydowanym i wytrwałym. Wiele dyżurów to po prostu dwudziestoczterogodzinne oczekiwanie. Na szczęście, jak piloci sami przyznają, na naszym niebie nie dzieje się zazwyczaj nic niepokojącego. Chociaż są przygotowani na wiele sytuacji, mają nadzieję, że te najtrudniejsze się nie zdarzą. Do tej pory, jak wspominają, nic ich nie zaskoczyło. Świadczyć to może o dobrym przygotowaniu pilotów, ale też o tym, że właściwe osoby podejmują się pełnienia tej ważnej funkcji. W rzeczywistości to właśnie ci ludzie w razie zagrożenia zareagują jako pierwsi. Można powiedzieć, że to właśnie od tej dyżurnej dwójki, bardzo młodych ludzi – Marcina i Kamila – zależy bezpieczeństwo naszej przestrzeni powietrznej. Dzięki nim śpimy spokojnie. ■

MIĘDZYNARODOWE POKAZY LOTNICZE

85 lat "Challenge 1932"

AirSHOW 2017

Radom 26–27 sierpnia

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

OGIEŃ AGATU

Operatorzy z zespołów szturmowych, snajperzy, pirotechnicy, medycy, a do tego ciężkie wozy M-ATV – w takim składzie gliwiccy komandosi szkolili się na jednym z poligonów. Żołnierze JW Agat przygotowują się do międzynarodowych ćwiczeń sił specjalnych.

MICHAŁ NIWICZ

Zawsze szkolimy się zgodnie z dewizą: im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju. Jestem dumny z postawy moich żołnierzy, z wyników, jakie osiągają na krajowych i zagranicznych szkoleniach. Dziękuję im za służbę i pot wylewany na poligonach", tak płk Sławomir Drumowicz mówił do swoich żołnierzy w dniu święta jednostki. Agat, choć najmłodszy w rodzinie wojsk specjalnych, nie zostaje w tyle. Komandosi przez ostatnich sześć lat intensywnie przygotowywali się do osiągnięcia wymaganych zdolności bojowych oraz do służby poza granicami kraju. Dziś szturmani z Jednostki Wojskowej Agat biorą udział w misji na Bliskim Wschodzie.

Żołnierze nie zwalniają tempa. Jesienią wezmą udział w międzynarodowych ćwiczeniach wojsk specjalnych. Jak specjalsi z Gliwic przygotowują się do manewrów komandosów, przekonały się dziennikarki „Polski Zbrojnej", które przez kilka dni obserwowały działania szturmanów.

SIŁA ZESPOŁU

Na poligonie zameldowali się żołnierze ze wszystkich pododdziałów JW Agat, m.in. operatorzy z zespołów szturmowych i bezzałogowych statków powietrznych, snajperzy, pirotechnicy, medycy oraz logistycy. „To zgrupowanie jest wyjątkowe, dlatego że podsumowujemy właśnie dwa lata szkolenia i zgrywania pododdziału. Chcemy potwierdzić gotowość bojową naszych żołnierzy. Możemy wykonać każde zadanie wynikające z przeznaczenia pododdziału, w tym również poza granicami kraju", mówi szef szkolenia jednostki.

Podczas zgrupowania żołnierze doskonalili się z taktyki typowej dla wojsk specjalnych oraz rozwijali swoje sprawności ogniowe na strzelnicach. Organizowali także treningi w ramach specjalności. „Każdy dba o umiejętności specjalistyczne, tak by później, w kluczowym momencie bezbłędnie ruszyć do wspólnego działania", mówi jeden ze szturmanów Agatu.

I według tego schematu ćwiczyli np. żołnierze z sekcji rozpoznawczej wyposażeni w bezzałogowe statki powietrzne. Zwiadowcy wykonywali loty treningowe dronów w różnych warunkach atmosferycznych, w dzień i w nocy. „Możemy dostarczyć informacje o ukształtowaniu terenu oraz o tym, co się obecnie w danym miejscu dzieje. Obraz zarejestrowany przez bezzałogowiec może być w czasie rzeczywistym przekazywany do TOC-u [Tactical Operation Center]", mówi Michał, dowódca sekcji rozpoznawczej, i dodaje: „Jeśli mamy gotowy plan misji dla bezzałogowca, to potrzebujemy jedynie od pięciu do dziesięciu minut, by statek wystartował". Podczas zadania żołnierze mogą modyfikować wysokość lotu oraz odległość statku od stanowiska kierowania. Sterują także głowicą, w której znajduje się kamera dzienna i termowizyjna.

„Każdego dnia podnosimy swoje kwalifikacje, trenujemy zdobyte już umiejętności i uczymy się nowych rzeczy", mówi zastępca

OPERATORZY AGATU MAJĄ UDERZYĆ W OBIEKTY ZAJĘTE PRZEZ PRZECIWNIKA – TAK ZACZYNA SIĘ SCENARIUSZ ĆWICZEŃ TAKTYCZNYCH

Zwiadowcy wykonywali loty treningowe dronów w różnych warunkach atmosferycznych, w dzień i w nocy.

dowódcy sekcji pirotechnicznej „Czarny”. „Jak możemy się przydać podczas takich akcji? Nie mogę mówić o szczegółach, powiem tylko, że torujemy drogę innym operatorom”, dodaje. Na poligonie pirotechnicy używali m.in. robota pirotechnicznego. „Zasada jest taka, że w pierwszej kolejności do neutralizacji lub rozpoznania materiału wybuchowego wysyłany jest robot. Dopiero później, gdy maszyna nie da rady, do akcji rusza żołnierz ubrany w ważący kilkadziesiąt kilogramów kombinezon ochronny”, tłumaczy „Czarny”. Robot pirotechniczny sprawdza się nie tylko na otwartych przestrzeniach poligonu. Doskonale radzi sobie także w wąskich korytarzach, pociągach czy na pokładach samolotów.

Podczas zgrupowania żołnierze ćwiczyli nie tylko neutralizację ładunków, lecz także ich budowanie. Tworzyli m.in. sieć ogniową, czyli łączyli ładunki, które później wysadzali za pomocą zapalników. „Takiej sieci używa się do robienia przejść czy budowania okopów na pojazdy”, wyjaśnia pirotechnik.

RYK M-ATV

Operatorzy Agatu mają uderzyć w obiekty zajęte przez przeciwnika – tak zaczyna się scenariusz ćwiczeń taktycznych. Zanim jednak przeprowadzą napad ogniowy i zniszczą wrogie siły, muszą dokładnie zaplanować całą operację. Danych o pozycjach i sile przeciwnika dostarczają im m.in. bezzałogowce. Ale nie tylko. Cennym →

SCENARIUSZ ĆWICZEŃ WSPÓŁTWORZYLI AMERYKAŃSCY ŻOŁNIERZE, KTÓRZY PRZYJECHALI NA POLIGON, BY SZKOLIĆ SIĘ WSPÓLNIE Z AGATEM. PODOBNY POLSKO-AMERYKAŃSKI TRENING Z WYKORZYSTANIEM M-ATV ODBYŁ SIĘ WE WRZEŚNIU UBIEGŁEGO ROKU

MOCNE WSPARCIE

Żołnierze JW Agat są przygotowani do wsparcia operacji specjalnych na lądzie i – w ograniczonym zakresie – w środowisku wodnym. Mogą prowadzić rozpoznanie specjalne, lądowe akcję bezpośrednie, wspierać działania kontrterrorystyczne i uwalniania zakładników. **Agat to jedyna jednostka wojsk specjalnych przeznaczona do wsparcia bojowego.** Współpracuje z komandosami z całego świata, m.in. Brytyjczykami, Amerykanami i Gruzinami. Żołnierze Agatu szkolili się w różnych miejscach na świecie. Do najbardziej ekstremalnych treningów można zaliczyć te w dżungli Gujany Francuskiej oraz we francuskich Alpach.

źródłem informacji są także snajperzy. „Większość ludzi sądzi, że do mnie należy głównie precyzyjne likwidowanie celów. Ale tak naprawdę to strzał jest jednym z zadań, które wykonuje snajper. Bardzo dużo czasu zabiera nam rozpoznanie specjalne. Jesteśmy w stanie długo obserwować dany teren, by zdobyć kluczowe dla operacji informacje”, mówi jeden ze snajperów.

Swoje zadanie rozpoczęli, gdy zapadła noc. „Zajmujemy posterunki obserwacyjne po zmroku, by przeciwnik nie mógł wykryć naszej lokalizacji. A potem przez kilkanaście godzin, a nawet kilka dni czujnie śledzimy każdy ruch wrogich sił.

MICHAŁ NIWICZ (4)

KOLOS NA POLIGONIE

Skrót M-ATV pochodzi od anglojęzycznej nazwy: Mine Resistant Ambush Protected, czyli MRAP – All Terrain Vehicle, co oznacza pojazd terenowy o zwiększonej odporności na wybuchy min. Polacy dostali wozy od US Army na przełomie 2014 i 2015 roku. Od wiosny 2016 roku pojazdy są w wyposażeniu Jednostki Wojskowej Agat. M-ATV ma ponad 3 m wysokości, 6 m długości i 2,5 m szerokości. Waży ponad 12 t, kolejne 4 t może ze sobą zabrać.

Na poligonie zameldowali się żołnierze ze wszystkich pododdziałów JW Agat, m.in. operatorzy z zespołów szturmowych i bezzałogowych statków powietrznych, snajperzy, pirotechnicy, medycy oraz logistycy.

W czasie takiej obserwacji wykonuje się rysunki, szkice, rzuty 3D terenu czy obiektu, robi zdjęcia", wyjaśnia jeden ze snajperów. Zgodnie ze scenariuszem ćwiczeń w ślad za rozpoznaniem do akcji ruszają operatorzy. „Szturm zaplanowaliśmy na rano. Agat przede wszystkim ma wspierać bojowo inne jednostki. To znaczy, że torujemy drogę do operacji innym jednostkom specjalnym. Wykonujemy pierwsze, ciężkie uderzenie, rozpoznajemy teren i wprowadzamy operatorów do obiektu. Mamy ich też bezpiecznie stamtąd wyprowadzić", opisuje Paweł, dowódca jednego z zespołów szturmowych.

Szturm rozpoczął się w momencie, gdy na teren kontrolowany przez przeciwnika wjechały wozy M-ATV. Specjalsi zniszczyli część budynków, robiąc przejście dla kolejnych operatorów. „Cały czas prowadziliśmy ogień z broni pokładowej naszych pojazdów. Użyliśmy także przeciwpancernego granatnika", mówi dowódca szturmanów.

Podczas odwrotu żołnierze wpadli w zasadzkę przeciwnika. Jeden z wozów M-ATV najechał na minę. Ładunek był tak silny, że pojazd został uszkodzony, a jeden z żołnierzy poważnie ranny. Pod ostrzałem przeciwnika do akcji ruszyli medycy. Przenieśli poszkodowanego do drugiego wozu, w którym rozpoczęli akcję ratunkową. Zgodnie z wytycznymi TCCC (Tactical Combat Casualty Care) medycy sprawdzili stan pacjenta, a następnie zatamowali krwotok za pomocą opaski uciskowej. „Stan rannego był nadal ciężki, dlatego trzeba było zastosować płynoterapię, czyli podać mu kroplówkę", wyjaśnia Tomek, ratownik medyczny. Medyk w jadącym M-ATV wkłuł się w żyłę żołnierza i założył wenflon. „Musimy ćwiczyć tak jak będziemy walczyć. Tu nie ma miejsca na prowizorkę. Jak trzeba założyć wenflon, to robimy to naprawdę. Bez symulowania", dodaje medyk. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Autostrada do Wisły

Memorandum jest kluczowym dokumentem dotyczącym systemu rakietowego, bo zawiera nie tylko zgodę na sprzedaż Polsce najnowszej wersji patriotów wraz z transferem kluczowych technologii, lecz także mapę drogową, czyli daty kolejnych kroków postępowania.

Szef resortu obrony Antoni Macierewicz w czasie ubiegłorocznego Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach poinformował, że polski rząd skierował do władz amerykańskich tzw. Letter of Request (LOR), czyli zapytanie ofertowe dotyczące systemów przeciwlotniczych i przeciwrakietowych Patriot. Oznaczało to, że po ponad trzech latach od rozpoczęcia procedury pozyskania systemów antyrakietowych o kryptonimie „Wisła", czyli ogłoszenia dialogu technicznego w tej sprawie, i po przeszło roku od wskazania przez Ministerstwo Obrony Narodowej broni produkowanej przez amerykański koncern Raytheon jako zwycięzcy postępowania zostały uruchomione oficjalne procedury zakupu.

Rozpatrzeniem LOR, które nie jest ostatecznym zamówieniem, a jedynie dokumentem wstępnym, pytaniem skierowanym z danego kraju do USA o dostępność i cenę określonego rozwiązania, zajmuje się amerykańska agencja implementacyjna US Army Security Assistance Command – ASAC. To ona odpowiada za uzgodnienie z producentem m.in. tego, co można sprzedać i za ile. Zdobycie zgody Kongresu na sprzedaż to już rola administracji urzędującego prezydenta USA.

Polski rząd w wystosowanym we wrześniu LOR poinformował, że jest zainteresowany pozyskaniem ośmiu baterii zestawów rakietowych Patriot (czyli 16 Firing Unit, z których każda składa się z trzech wyrzutni), z zastrzeżeniem, że nie interesuje nas konfiguracja „3+" obecnie produkowana przez firmę Raytheon, z której korzysta m.in. amerykańska armia, ale Patriot „PL". Zestawy stworzone specjalnie dla nas mają być wyposażone w dookólne radary AESA, sieciocentryczne systemy dowodzenia i kierowania walką IBCS. Jako „oręż" wskazaliśmy pociski PAC-3 MSE oraz PAC-2 GEM-T.

Taka konfiguracja zamówienia oznaczała duże wyzwanie dla Amerykanów, bo ani radaru, ani nowego systemu dowodzenia nie ma jeszcze nawet w seryjnej produkcji. Co więcej, o ile system IBCS dla patriotów już powstaje na zlecenie US Army, o tyle na nowy radar do nich amerykańska armia dopiero ogłosi przetarg. Faworytem oczywiście jest Raytheon, ale w walce o zlecenie wcale nie bez szans jest też np. Lockheed Martin. Tylko czy nasi sojusznicy będą chcieli kupić konstrukcję pracującą w 360 stop-

RAYTHEON

niach, na jakiej zależy Polsce? Jeżeli nie, to postawi nas to w trudnej sytuacji, gdyż będziemy musieli rozmawiać z Raytheonem na temat opracowywanego przez nich radaru dookólnego. Co to będzie dla nas oznaczać? Jeśli w grę nie wchodzi sprzęt US Army, rząd USA nie może składać jakichkolwiek gwarancji dotyczących ceny czy jakości.

Przypuszczenia ekspertów, że nasze wymagania znacząco utrudnią negocjacje, szybko okazały się prawdziwe, więc w marcu 2017 roku polski rząd zdecydował się zmodyfikować zamówienie i wysłał drugie LOR. Najważniejszą zmianą była rezygnacja z wymogu radaru dookólnego dla dwóch pierwszych baterii oraz z rakiet PAC-2 GEM-T na rzecz SkyCeptor. Podtrzymano jednak wymóg już w pierwszej baterii nowego sieciocentrycznego systemu dowodzenia IBCS. Zastrzeżono również, że na całe zamówienie, przy pięćdziesięcioprocentowym udziale polskiego przemysłu w realizacji, nie wydamy więcej niż 30 mld zł.

MAPA DROGOWA PROGRAMU

Po wysłaniu drugiego LOR znów rozpoczęły się negocjacje i 6 lipca, w czasie wizyty w Polsce prezydenta USA Donalda Trumpa, poinformowano, że Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Departament Obrony Stanów Zjednoczonych podpisały „Memorandum of Intent", czyli porozumienie w sprawie nabycia przez Polskę systemu rakietowego Patriot.

„Rząd Stanów Zjednoczonych wyraził zgodę na sprzedanie Polsce baterii rakiet Patriot w najnowocześniejszej konfiguracji, dokładnie takiej samej, w jakiej tych rakiet będą używać wojska Stanów Zjednoczonych z systemem sieciocentrycznym IBCS oraz z radarem dookólnym opartym na technologii azotku galu", komentował minister Antoni Macierewicz, dodając, że Polska znalazła się na bardzo uprzywilejowanej pozycji. „Żadna inna armia świata dotychczas nie miała możliwości uzyskania rakiet Patriot w szczególnie dobranej konfiguracji".

Kierujący negocjacjami z Amerykanami wiceminister Bartosz Kownacki stwierdził, że choć memorandum nie jest umową sensu stricto, to jest dokumentem przełomowym, gdyż po pierwsze zawiera zgodę na sprzedaż Polsce najnowszej wersji patriotów wraz z transferem kluczowych technologii, a po drugie określono w nim mapę drogową, czyli daty kolejnych kroków postępowania. „Memorandum to autostrada do dostawy systemu Patriot", podkreślał Kownacki.

Umowa na zakup patriotów będzie realizowana w dwóch fazach. W ramach pierwszej Polska na przełomie 2022 i 2023 roku ma dostać dwie baterie patriotów w konfiguracji „3+" z systemem IBCS oraz pociskami PAC-3 MSE. W drugiej fazie, o bliżej niesprecyzowanym terminie dostaw, nasz kraj otrzyma pozostałe sześć baterii, już z radarami 360 stopni AESA. Amerykanie dostali propozycję kontraktu na pierwszą fazę dostaw do końca 2017 roku, a na drugą do końca 2018.

ZGODA AMERYKAŃSKIEJ STRONY NA SPRZEDAŻ POLSCE **NAJNOWSZEJ WERSJI PATRIOTÓW** TO ZASŁUGA OBECNEJ ADMINISTRACJI RZĄDOWEJ

Antoni Macierewicz podkreśla, że zgoda amerykańskiej strony na sprzedaż Polsce najnowszej wersji patriotów to zasługa obecnej administracji rządowej. „Rokowania dotyczące rakiet Patriot nie przyspieszyłyby i nie napotkałyby na tak przyjazną, otwartą postawę rządu Stanów Zjednoczonych, jak to jest sformułowane w memorandum, gdyby nie była to administracja pana prezydenta Donalda Trumpa", podkreślał minister w dniu wizyty amerykańskiego przywódcy w Warszawie. ■

MICHAŁ NIWICZ (3)

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Pod parasolem brygady

Dzięki takim manewrom jak „Combat Alert” organizacje proobronne mogą ćwiczyć współpracę z wojskiem.

Wygrali Czerwoni, żołnierze Frontu Eurazjatyckiego, którzy walczyli z Niebieskimi, czyli z Sojuszem Narodów wspomaganym przez partyzantów. Na manewry proobronne „Combat Alert ’17”, odbywające się na poligonie wojskowym w Orzyszu, przybyło około tysiąca osób. Marcin Korowaj, prezes zarządu Fundacji na rzecz Obronności i Bezpieczeństwa Kraju „Combat Alert”, który organizuje je od dziewięciu lat, zwraca uwagę, że te ćwiczenia to spore wyzwanie dla uczestników, bo działania bojowe trwają non stop przez całą dobę. „Organizacje biorące udział w takich ćwiczeniach jak »Combat Alert« odgrywają ważną rolę w systemie obrony państwa”, mówi gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Podkreśla, że jest zwolennikiem wszelkich działań, które wpływają na bezpieczeństwo kraju, a także podnoszą świadomość proobronną obywateli. Dlatego uczestnicy manewrów mogą liczyć na pomoc żołnierzy 15 Brygady. „Na współczesnym polu walki nie unikniemy współdziałania z organizacjami proobronnymi. Musimy być na to przygotowani”, dodaje generał.

WSPARCIE WOJSKA

Zawiszacy wspierali logistycznie organizatorów już w poprzednich edycjach, przygotowywali pokazy sprzętu. Uczestnicy manewrów natomiast przeprowadzali 24-godzinną grę według własnego scenariusza, niekoniecznie odwzorowującego współczesne pole walki. W tym roku to się zmieniło, bo w ułożeniu programu ćwiczeń pomagało wojsko. W dziewiątej edycji „Combat Alert” żołnierze

DLA WIELU CZŁONKÓW ORGANIZACJI PROOBRONNYCH UDZIAŁ W „COMBAT ALERT” TO JEDYNA OKAZJA, ABY SPOTKAĆ SIĘ Z ŻOŁNIERZAMI I SZKOLIĆ Z UŻYCIEM WOJSKOWEGO SPRZĘTU

Gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej: „Organizacje biorące udział w takich ćwiczeniach jak »Combat Alert« odgrywają ważną rolę w systemie obrony państwa”.

15 Brygady także prowadzili szkolenia. Ponadto kilkudziesięciu liderów organizacji proobronnych już w lutym i w kwietniu 2017 roku uczyło się planowania i organizacji ćwiczeń wojskowych – ich głównym zadaniem było opracowanie dokumentacji (według norm wojskowych) manewrów poligonowych „Combat Alert ’17”.

Gen. bryg. Jarosław Gromadziński osobiście kierował szkoleniem sztabowym dowódców oddziałów organizacji proobronnych. Razem z oficerami 15 Brygady rysowali oni mapy, wyznaczyli cele i obiekty do opanowania. „Generał pokazał nam, jak pisać dokumenty sztabowe i rozkazy. Oficerowie z 15 Brygady uczyli nas, jak przygotować plan ćwiczeń, wyznaczyć zadania dla poszczególnych jednostek. Wiele osób uczestniczących w szkoleniu nie miało o tym pojęcia, a my musimy znać wojskowe procedury, żeby współpracować z żołnierzami”, mówi Piotr Polak z grupy Dragon SF, który podczas „Combat Alert ’17” dowodził Frontem Eurazjatyckim. Robert Jarosz ze stowarzyszenia Wierni w Gotowości pod Bronią (FIA) dodaje, że uczyli się także, jak należy podzielić i wykorzystać siły oraz jak prowadzić działania rozpoznawcze. Instruktorzy zwracali uwagę na to, że podczas 24-godzinnych ćwiczeń dowódcy muszą myśleć także o tym, jak zorganizować m.in. dostawy wody do rejonu działań, zapewnić odpoczynek swoim pododdziałom, zadbać o ich morale.

„Zaplanowaliśmy »Combat Alert« z dużym udziałem organizacji proobronnych”, podkreśla gen. bryg. Gromadziński. „Teren został podzielony na sektory, które jedna strona miała zdobyć, a druga utrzymać. Gdy rozpoczęła się gra terenowa i do walki ruszyły dwa bataliony – →

MICHAŁ NIWICZ

SYSTEM OBRONNY JEST WIELKIM TORTEM I KAŻDY MA W NIM SWÓJ KAWAŁEK, CZYLI ODPOWIEDNIĄ ROLĘ DO ODEGRANIA

Niebiescy i Czerwoni – oficerowie 15 Brygady zajmowali się koordynacją ćwiczeń, a przy każdym pododdziale proobronnym był nasz rozjemca taktyczny z radiostacją".

Dla wielu członków organizacji proobronnych udział w „Combat Alert" to jedyna okazja, aby spotkać się z żołnierzami i szkolić z użyciem wojskowego sprzętu. Dlatego na poligon do Orzysza po raz kolejny przyjechał Adam Kiziewicz, dowódca 2 drużyny partyzantów, wchodzącej w skład 3 plutonu, który stworzyli członkowie Stowarzyszenia na rzecz Obrony Terytorialnej Legii Nadnarwiańskiej. „To dla nas także nowe doświadczenie, bo inaczej walczy się na początku bitwy, a inaczej po kilkunastu godzinach. W Ostrołęce ćwiczymy kilka godzin w tygodniu i korzystamy z podręczników oraz rad żołnierzy, którzy odeszli do rezerwy", mówi Adam Kiziewicz.

SZKOLENIE NA OBOZIE

Przedsięwzięciem towarzyszącym manewrom „Combat Alert" był obóz szkoleniowy dla organizacji proobronnych i klas mundurowych sfinansowany przez resort obrony. „Wykonanie tego zadania Ministerstwo Obrony Narodowej powierzyło Fundacji na rzecz Obronności i Bezpieczeństwa Kraju »Combat Alert«, a merytorycznie nadzorowało je nasze biuro", mówi płk Mirosław Mika, szef Zespołu ds. Szkolenia Biura ds. Proobronnych.

Do Orzysza przyjechali głównie uczniowie klas mundurowych oraz członkowie organizacji proobronnych, które uczestniczą w programie Biura ds. Proobronnych „Paszport do współpracy pododdziałów organizacji proobronnych z jednostkami wojskowymi SZRP". Żołnierze 15 Brygady oraz instruktorzy fundacji Combat Alert uczyli ich m.in. obsługi broni, terenoznawstwa, musztry, walki wręcz, medycyny pola walki. Jak wyjaśnia płk Mika, chodziło nie tylko o przyswojenie sporej dawki wojskowej wiedzy. Ważne było także przygotowanie pododdziałów proobronnych do współdziałania z jednostkami wojskowymi.

Szkolenie zakończyło się 20-godzinnymi ćwiczeniami. Mariusz Sybilski, instruktor FIA, dowodził jednym z plutonów, w którego skład wchodzili członkowie tej organizacji, a także Pro Patrii i Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". „Przeszliśmy około 30 km. To był forsowny marsz w terenie leśnym, w rejonie zagrożonym. W takich warunkach idzie się wolniej, bo trzeba kontrolować nawigację. A każda pomyłka to godziny opóźnienia", opowiada Mariusz Sybilski. Nie obyło się jednak bez niespodzianek. Okazało się, że trasę, którą przemieszczał się pluton, przecinało ogrodzenie szkółki leśnej. Ominięcie tej przeszkody sprawiło, że wszedł on w bagna, więc trasa wydłużyła się o kilka kilometrów. Pluton wykonał postawione zadania: dotarł do mostu, który miał chronić, oraz do lądowiska dla śmigłowców. „Odparliśmy także atak przeciwnika na nasze stanowisko z użyciem ślepej amunicji", dodaje dowódca plutonu. Był zadowolony z przebiegu ćwiczeń, choć przyznaje, że kondycyjnie były one wyczerpujące. Chwali także swoich podwładnych – nikt nie narzekał, choć byli tam nie tylko wysportowani chłopcy, lecz także pięćdziesięciolatkowie ze Stowarzyszenia Pro Patria.

„Obóz szkoleniowy był doskonałą okazją do sprawdzenia poziomu wyszkolenia pododdziałów uczestniczących w programie »Paszport«, gdyż są one w końcowym etapie przygotowania do udziału w ćwiczeniach z wojskami »Dragon '17«", mówi płk Mirosław Mika. Dwa takie plutony wezmą udział w tych manewrach na poligonie w Orzyszu razem z żołnierzami 15 Brygady. Podczas szkolenia „Combat Alert" ich członkowie uczyli się m.in., jak zabezpieczać mosty i przepusty, jak wzmacniać ochronę stanowisk dowodzenia i chronić ważne obiekty infrastruktury, zwalczać czołgi, samoloty i śmigłowce, a także przygotowywać zasadzki. Gen. bryg. Gromadziński zamierza użyć w „Dragonie" obu plutonów w działaniach pomocniczych, do których nie trzeba angażować wojsk operacyjnych z pierwszej linii.

Marcin Korowaj podkreśla, jak wielkie znaczenie dla „Combat Alert" ma patronat i pomoc 15 Brygady. Zwraca uwagę też na wsparcie ppłk. Jarosława Wyszeckiego, komendanta Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych Orzysz w Bemowie Piskim, z którym fundacja Combat Alert podpisała porozumienie o współpracy. „Wspólnymi siłami staramy się rozpocząć budowę systemu kształcenia liderów proobronnych, aby stali się oni łącznikami między regularną armią a organizacjami proobronnymi", podsumowuje gen. bryg. Jarosław Gromadziński. Dowódca 15 Brygady podkreśla, że jego celem jest, aby za kilka lat organizacje proobronne same zaplanowały i przeprowadziły takie manewry. ■

INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH
AIR FORCE INSTITUTE OF TECHNOLOGY

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96
tel.: 261 851 300; faks: 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl

Prowadzimy działalność innowacyjną w zakresie:

- Badania naziemne i w locie
- Systemy diagnostyczne dla techniki lotniczej
- Wspomaganie sterowania eksploatacją
- Symulacja i modelowanie
- Awionika
- Uzbrojenie lotnicze
- Systemy rozpoznania, dowodzenia i szkolenia
- Integracja systemów C4ISR
- Bezzałogowe statki powietrzne
- Diagnostyka powierzchni roboczych lotnisk
- Badania paliw i cieczy roboczych
- Testy i certyfikacja wyrobów

Posiadamy:

- Natowski Kod Podmiotu Gospodarki Narodowej (NCAGE) 0481H
- Wewnętrzny System Kontroli Nr W-45/8/2015 w zakresie naukowo-badawczego wspomagania eksploatacji lotniczej techniki wojskowej
- Uprawnienia do nadawania tytułu naukowego doktora habilitowanego

ULEPSZYMY KAŻDĄ TECHNOLOGIĘ

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Cień ropuchy

Polscy marynarze po raz pierwszy w historii kierowali natowskim zespołem przeciwminowym na morzach Śródziemnym i Czarnym.

Oficjele, orkiestra, rodziny. Niecierpliwe przestępowanie z nogi na nogę i poruszenie, kiedy okręt pojawił się w główkach portu. Potem przemówienia, odznaczenia, wreszcie kwiaty, uściski, wspólne zdjęcia. Ktoś się zaśmiał, ktoś inny rozpłakał... „Stęskniliśmy się strasznie”, mówi Agnieszka Kotowska. Obok stoi jej mąż. Mocno trzyma za ręce dwie córeczki. „Rozmawialiśmy codziennie, ale tylko po kilka minut. Do telefonu satelitarnego zawsze ustawiała się kolejka. Razem było nas 70, a każdy przecież chciał usłyszeć, co tam w domu”, opowiada st. mar. Piotr Kotowski.

Najważniejsza rzecz – ciągle mieć jakieś zajęcie. „Jeśli człowiek podda się bezczynności, to przepadł. Zaczyna myśleć o rodzinie, bliskich i rozłąka staje się trudna do zniesienia”, przyznaje kpt. mar. Piotr Lis, który w sztabie zespołu był oficerem odpowiedzialnym za broń podwodną. „Jak sobie z tym radziłem? Po służbie sięgałem po książkę, przeglądałem też dokumenty na kolejny dzień, szedłem na siłownię albo pobiegać. Na morzu mieliśmy do dyspozycji tylko lądowisko dla śmigłowca, a i to nie zawsze. Ale człowiek łapał każdą okazję, by się trochę poruszać”, opowiada. W portach zajęć też było sporo: a to oficjalna wizyta, a to briefing przed następnymi ćwiczeniami, kolejne dokumenty do przejrzenia czy wypełnienia. Przy dobrej organizacji można było jednak znaleźć czas, żeby wyskoczyć do miasta, coś zwiedzić, obejrzeć. I tak mijały kolejne dni. Łącznie uzbierało się ich 186. Dla polskich marynarzy ta misja była jednym z najważniejszych przedsięwzięć w ostatnich dziesięcioleciach.

Miała być inna niż wszystkie dotychczasowe. Wcześniej polskie okręty wyruszały na misje w trzech z czterech morskich zespołach sojuszu północnoatlantyckiego. Sam ORP „Kontradmirał Xawery Czernicki” dwa razy był jednostką flagową SNMCMG1, czyli pierwszego ze stałych zespołów sił obrony przeciwminowej NATO. Na jego pokładzie mieścił się sztab, który kierował poczynaniami wszystkich okrętów należących do grupy. Nim także dowodzili Polacy. Zespół operował na morzach Bałtyckim, Północnym i na części Atlantyku. Strzegł bezpieczeństwa kluczowych szlaków żeglugowych, był odpowiedzialny za oczyszczanie dna ze starych min i niewybuchów, brał udział w ćwiczeniach, składał oficjalne wizyty w portach. Słowem – wysyłał w świat sygnał, że sojusz działa, czuwa, trzyma rękę na pulsie.

Teraz polscy marynarze mieli robić prawie to samo, tyle że na czele SNMCMG2, a to oznaczało wyprawę na morza Śródziemne i Czarne, czyli inny klimat, inną sytuację geopolityczną, a pod komendą okręty marynarek, z którymi Polska na co dzień nie ma do czynienia. No i debiut w czwartym zespole NATO.

ROSYJSKA ASYSTA

Na czas misji ORP „Czernicki” uzyskał status polskiego kontyngentu wojskowego. W jego skład weszła nie tylko załoga, lecz także

ZAPEWNIENIE BEZPIECZEŃSTWA NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM ma kluczowe znaczenie dla światowej gospodarki. To tędy biegną główne szlaki komunikacyjne łączące Amerykę i Europę z Azją i wschodnią Afryką. Tylko przez Cieśninę Gibraltarską przechodzi rocznie 100 tys. statków.

ARKADIUSZ DWULATEK / COMBAT CAMERA DORSZ

NA CZAS MISJI **ORP „CZERNICKI”** UZYSKAŁ STATUS POLSKIEGO KONTYNGENTU WOJSKOWEGO

zaokrętowany na pokładzie sztab. Przygotowania do wyjścia zajęły miesiące. Marynarze musieli zdobyć odpowiednie certyfikaty, uzyskać świadectwa zdrowia, przejść szczepienia. „Zostały im też wydane mundury zaprojektowane z myślą o służbie w warunkach tropikalnych. Polska marynarka używa ich rzadko, a od tradycyjnych różnią się tym, że są białe”, wyjaśnia kmdr por. Aleksander Urbanowicz, który podczas misji kierował sztabem SNMCMG2.

Do działania na południu Europy trzeba było przystosować również sam okręt. „Założyliśmy, że powinien on zachowywać autonomiczność sięgającą 30 dób”, tłumaczy Urbanowicz. Innymi słowy, kiedy „Czernicki” opuszczał każdy z portów, musiał mieć takie zapasy paliwa oraz żywności, by w razie potrzeby pozostawać na morzu przez tyle dni i nocy. „Ale w temperaturze przekraczającej 40ºC przechowywanie takiej ilości jedzenia dla 70 osób nie jest proste. »Czernicki« został więc doposażony w chłodnie”, informuje komandor porucznik. Jeszcze większy problem w takim klimacie jest ze słodką wodą. Tutaj rozwiązaniem okazały się odsalarki, które uzdatniały tę pobieraną z morza. Dzięki temu zapasy były na bieżąco uzupełniane. Na tym jednak nie koniec. „W pierwszym porcie na Morzu Śródziemnym okręt został dodatkowo wyposażony w sprzęt służący do łączności”, wspomina kmdr por. Urbanowicz. „Na Morzu Śródziemnym ruch jest bardzo duży, a w eterze panuje spora swoboda. Wysokiej klasy urządzenia dały nam gwarancję, że komunikacja między okrętami zespołu będzie przebiegała gładko”.

Tymczasem członkowie sztabu przed misją odbyli praktyki na zagranicznych jednostkach. „Ja spędziłem miesiąc na greckim okręcie dowodzenia SNMCMG2. Chodziło o zapoznanie się z tamtym rejonem, a także specyfiką pracy zespołu”, wspomina kpt. mar. Lis. „Kiedy niedługo potem wyruszyliśmy na swoją misję, nic specjalnie mnie nie zaskoczyło. Byłem dobrze przygotowany”. Nie oznacza to jednak, że nie miał żadnych obaw. „Mieliśmy świadomość, że w każdej chwili możemy zostać wykorzystani do zadań stricte bojowych”, przyznaje kapitan marynarki. Zespół pozostawał pod nieustanną obserwacją. „Rosyjskie okręty towarzyszyły nam właściwie przez całą misję. Czasem je widzieliśmy, czasem nie, ale śledziły każdy nasz ruch, zwłaszcza na Morzu Czarnym”, opowiada Urbanowicz. „Pewnego dnia nieopodal nas przeszedł lotniskowiec »Admirał Kuźniecow«, ale najmocniej swoją obecność zaznaczyły desantowe »ropuchy«. Były niczym nasz cień...”.

MINA W TRAWIE

Podczas półrocznej misji ORP „Czernicki” wraz z zespołem odwiedził 20 portów w dziewięciu krajach. Takie wizyty zawsze miały wymiar dyplomatyczny. Na pokładzie okrętu pojawiali się polscy dyplomaci i przedstawiciele emigracji. Marynarze byli podejmowani przez przedstawicieli marynarek poszczególnych państw, reprezentantów lokalnych władz. Często też składali kwiaty w miejscach pamięci. We Włoszech np. pojawili się na Monte Cassino, na Malcie oddali hołd poległym w czasie II wojny światowej marynarzom z ORP „Kujawiak”, a już w drodze powrotnej do kraju, w Wielkiej Brytanii – emigrantom, którzy walczyli w powstaniu listopadowym.

Dwie wizyty zyskały jednak wymiar szczególny. W lutym okręty SNMCMG2 zawinęły do Baru, największego portu w Czarnogórze. „Była to ostatnia wizyta natowskiego zespołu przed przyjęciem tego kraju →

130 DNI NA MORZU, KILKANAŚCIE WIĘKSZYCH I MNIEJSZYCH ĆWICZEŃ, 20 PORTÓW W DZIEWIĘCIU PAŃSTWACH, PONAD 14 TYS. PRZEBYTYCH MIL – TO BILANS PÓŁROCZNEJ MISJI, KTÓRĄ ZAKOŃCZYŁ WŁAŚNIE ORP „KONTRADMIRAŁ XAWERY CZERNICKI”

do grona członków sojuszu”, przypomina kmdr por. Urbanowicz. Jeszcze większe znaczenie miały odwiedziny na Ukrainie, która zmaga się z rosyjską agresją. „Już samo wejście na Morze Czarne obwarowane jest restrykcyjnymi przepisami, których początki sięgają jeszcze lat trzydziestych ubiegłego wieku”, wyjaśnia kmdr ppor. Piotr Adamczak, który przez trzy pierwsze miesiące misji był oficerem prasowym SNMCMG2. „Zgodnie z nimi państwa, które nie leżą nad Morzem Czarnym, mogą tam wysyłać swoje okręty tylko na 21 dni. Przed upływem tego czasu jednostki muszą opuścić akwen. A my przecież dodatkowo mieliśmy zawinąć do Odessy. Odkąd Ukraina zyskała niepodległość, nie zrobił tego jeszcze żaden polski okręt, a tym bardziej zespół NATO”. Przedstawiciele obu stron długo przygotowywali tę wizytę. Ostatecznie przebiegła ona bez przeszkód. Co więcej, okręty zespołu już po opuszczeniu Odessy miały okazję ćwiczyć z ukraińskimi marynarzami. „To, że do takiego zadania wyznaczono właśnie nas, to naprawdę spore wyróżnienie”, przekonuje kmdr por. Urbanowicz.

Chyba jednak najważniejszą częścią misji były duże międzynarodowe manewry. Ze 186 dni aż 135 marynarze spędzili na morzu. Kierowany przez Polaków zespół wziął udział m.in. w „Posejdonie” (na Morzu Czarnym Rumuni), „Spanish Minex” i „Spanish Flotex” (pierwsze z nich były prowadzone na Morzu Śródziemnym, drugie – na Morzu Śródziemnym i Atlantyku; ćwiczenia organizowali Hiszpanie) czy „Mare Aperto” (organizatorem byli Włosi). W każdych okręty SNMCMG2 odgrywały podobną rolę: na wyznaczonych akwenach poszukiwały min, po czym je likwidowały, by utorować drogę zespołom okrętów bojowych albo desantowych.

„Dla mnie zdecydowanie najciekawsze były »Mare Aperto«, największe doroczne ćwiczenia włoskiej marynarki. Nie odgrywaliśmy może podczas niech pierwszoplanowej roli, niemniej mieliśmy okazję współdziałać z bardzo zróżnicowanymi siłami: fregatami, okrętami podwodnymi, a nawet lotniskowcami”, wspomina kpt. mar. Lis. Jak tłumaczy, namierzanie min na Morzu Śródziemnym to ciekawe doświadczenie. „W naszej części Europy warunki są zupełnie inne”, podkreśla. Na Morzu Północnym np. wykonanie tego typu zadań często utrudniają albo wręcz uniemożliwiają wysokie fale i silne prądy morskie. Na Bałtyku z kolei przejrzystość wody sięgająca 2–3 m to naprawdę niezły rezultat. Tymczasem na Morzu Śródziemnym wynosi ona często 20–30 m, a prądów nie ma praktycznie wcale. Są tam natomiast inne utrudnienia. „W tym rejonie świata licznie występuje roślina o nazwie posidonia. To rodzaj trawy morskiej, która mocno pnie się ku górze. Miny zapadają się w tworzonych przez nią kłębowiskach i są trudne do wykrycia, bo roślina odbija sygnał wysyłany przez sonar”, tłumaczy kpt. mar. Lis. Przed specjalistami od wojny minowej stoi więc nie lada zadanie. Jeśli jednak pracują w takim zespole jak SNMCMG2, mogą się cieszyć względnym komfortem. „Na co dzień dowodzę trałowcem ORP »Bukowo« i tam odpowiadam za wiele różnych rzeczy. Tymczasem sztab zespołu skupia grono osób o stosunkowo wąskiej specjalizacji. Ja zajmuję się tylko jedną działką – bronią podwodną. A to daje duży spokój”.

WY NA WSCHODZIE, MY NA POŁUDNIU

Misja polskich marynarzy w SNMCMG2 trwała sześć miesięcy. W tym czasie ORP „Czernicki” pokonał ponad 14 tys. Mm. W skład zespołu weszło łącznie siedem okrętów z Hiszpanii, Włoch, Turcji, Rumunii i Niemiec. Mieli też okazję współpracować z jednostkami z takich krajów, jak Portugalia, Czarnogóra, Francja czy Egipt.

„Ten kontyngent był dla nas jednym z najważniejszych, nie tylko pod względem wojskowym”, mówił podczas powitania marynarzy w Świnoujściu minister obrony narodowej Antoni Macierewicz. „Polska potrzebowała wsparcia NATO na wschodniej flance, ale przez cały czas związanych z tym negocjacji podkreślałem, że sami będziemy czynnie wspierali sojusz na flance południowej. A »Czernicki« miał być tego najlepszym przykładem”, podkreślił i dodał, że marynarze spisali się doskonale.

Zapewnienie bezpieczeństwa na Morzu Śródziemnym ma kluczowe znaczenie dla światowej gospodarki. „To właśnie tędy biegną główne szlaki komunikacyjne łączące Amerykę i Europę z Azją i wschodnią Afryką. Tylko przez Cieśninę Gibraltarską przechodzi rocznie 100 tys. statków”, przypomina kmdr ppor. Czesław Cichy, w drugiej części misji rzecznik SNMCMG2. „Jakiekolwiek zachwianie swobody przepływu na tym akwenie mogłoby spowodować poważne straty ekonomiczne wielu państw, w tym również Polski, a w dalszej kolejności doprowadzić do kryzysu gospodarczego”. To dowodzi, że nasz kraj ma interesy nie tylko na Bałtyku. A trudu ich pilnowania nie powinien cedować w całości na sojuszników. ■

CZYNY, NIE SŁOWA

Z Krzysztofem Motackim

o trudnym procesie tworzenia Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód oraz korzyściach, jakie ma nasz kraj z ulokowania nowej struktury natowskiej w Polsce, rozmawia Krzysztof Wilewski.

Czym ma być Wielonarodowa Dywizja Północny Wschód i jakie są jej najważniejsze zadania?

Dowództwo Dywizji będzie koordynować działania poszczególnych batalionowych grup bojowych wzmocnionej wysuniętej obecności NATO [enhanced Forward Presence – eFP]. Zgodnie z ustaleniami ubiegłorocznego szczytu NATO zostały one rozmieszczone w Estonii, na Litwie, Łotwie i w Polsce. Będziemy stopniowo przejmować zadania związane z eFP, realizowane obecnie głównie przez Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni w Szczecinie, a także częściowo przez Sojusznicze Dowództwo Sił Połączonych NATO w holenderskim Brunssum [Commander of Allied Joint Force Command]. Zadania te będą polegały m.in. na koordynacji szkolenia wspomnianych batalionowych grup bojowych, zwiększeniu świadomości odnośnie do sytuacji w regionie, a także będą związane z komunikacją strategiczną. Równolegle zmierzamy do osiągnięcia gotowości do prowadzenia działań w ramach obrony kolektywnej zgodnie z artykułem 5 traktatu waszyngtońskiego.

Jakie jest podporządkowanie Dywizji?

Po osiągnięciu wstępnej gotowości operacyjnej Dowództwo Dywizji zostało podporządkowane naczelnemu dowódcy sił sojuszniczych w Europie [The Supreme Allied Commander Europe – SACEUR]. Tym samym znaleźliśmy się w łańcuchu dowodzenia NATO, w którym będziemy podlegać dowódcy Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego, a pośrednio dowódcy Sojuszniczego Dowództwa Sił Połączonych NATO.

Jakie były podstawy, m.in. prawne, do utworzenia Dywizji?

Tworzenie Dowództwa Dywizji, zwłaszcza w wymiarze wielonarodowym, jest złożonym procesem. Wymaga →

Gen. bryg. KRZYSZTOF MOTACKI jest dowódcą Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód w Elblągu.

ARCH. MND NE

odpowiednich regulacji, zarówno na płaszczyźnie międzynarodowej, jak i narodowej. Podstawę do utworzenia Dowództwa stanowiły decyzje, które zapadły podczas ubiegłorocznego szczytu NATO w Warszawie. Wtedy to, w art. 40 uzgodnień, podjęto decyzję o ustanowieniu wzmocnionej wysuniętej obecności NATO w krajach nadbałtyckich oraz w Polsce, przyjęto również polską propozycję utworzenia Dowództwa Wielonarodowej Dywizji.

Jakie państwa zgłosiły swój akces do Dywizji i jakich stanowisk oczekiwały dla swoich żołnierzy?

W skład Dywizji będą wchodzić żołnierze z kilkunastu krajów: Polski, Czech, Estonii, Hiszpanii, Kanady, Litwy, Łotwy, Niemiec, Rumunii, Turcji, Stanów Zjednoczonych, Węgier oraz Wielkiej Brytanii. Jednocześnie z zadowoleniem są przyjmowane rozważania innych państw o dołączeniu do Dowództwa. Na przykład Słowacja zadeklarowała dwóch przedstawicieli, jednakże formalnie przystąpi do struktur w późniejszym terminie.

Jeśli chodzi o oczekiwania dotyczące stanowisk, które obejmą nasi koledzy z innych krajów, to są one różne. Mówimy tu zarówno o stanowiskach kierowniczych, jak i oficerów czy podoficerów wchodzących w skład poszczególnych wydziałów i sekcji. Na przykład moim zastępcą jest czeski oficer gen. bryg. Karel Rehka, szefem pionu operacyjnego będzie oficer amerykański, a szefem oddziału planowania jest oficer litewski.

Jaki jest etat osobowy Dywizji i jak się to ma do etatu np. wielonarodowego korpusu?

Dowództwo Dywizji liczy 280 stanowisk, w tym jest 75 etatów przewidzianych dla obcokrajowców. Struktura naszego Dowództwa odpowiada strukturom innych dowództw tego szczebla w państwach NATO i umożliwia współpracę w pionach funkcjonalnych z Dowództwem Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego. Zaznaczyć należy, iż czekające nas ćwiczenia, zwłaszcza „certyfikacja" Dowództwa Dywizji zgodnie ze stosowanym w NATO programem oceny CREVAL [Combat Readiness Evaluation of Land HQs & Units], będą okazją do weryfikacji struktury Dowództwa i, jeśli zajdzie taka potrzeba, jej zmiany tak, aby była jak najlepiej dostosowana do wykonywanych przez nas zadań.

Czy w NATO są inne wielonarodowe dywizje? Jeśli tak, to jakie i czym się zajmują?

Mówiąc o polityce NATO polegającej na 360-stopniowym zapobieganiu zagrożeniom i wzmacnianiu wschodniej i południowej flanki, należy wspomnieć o Dowództwie Wielonarodowej Dywizji Południowo-Wschodniej [Multinational Division South East – MND-SE], stacjonującej w stolicy Rumunii. Struktury oraz zadania obu dowództw są podobne, przy czym nasi koledzy w Rumunii wstępną gotowość operacyjną osiągnęli w zeszłym roku.

Zgodnie z łacińską maksymą „facta non verba" – czyny, nie słowa, doskonalimy swoje umiejętności, ponieważ efekty każdej decyzji, dobrej lub złej, podjętej na szczeblu taktycznym widać niemalże natychmiast

Co Polska zyskała dzięki utworzeniu Wielonarodowej Dywizji?

Utworzenie Dowództwa Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód jest związane z inicjatywą eFP. Trzeba powiedzieć, że nasz kraj odgrywa w niej szczególną rolę, ponieważ jest jednym z państw gospodarzy,

jednocześnie jednak deleguje swoje siły do jednej z grup bojowych eFP. Umieszczenie Dowództwa Dywizji w Elblągu potwierdza pozycję Polski w systemie bezpieczeństwa całej wschodniej flanki NATO. Ponadto Dowództwo tego szczebla wzmacnia potencjał obronny sojuszu, a tym samym Polski. Jest to również unikatowa możliwość szkolenia naszych żołnierzy w środowisku międzynarodowym w kraju, a także weryfikacji i nowelizowania procedur szkolenia i założeń taktycznych.

Kto będzie zabezpieczał, w tym logistycznie, działanie Dowództwa Dywizji?

Jednostką przeznaczoną do zabezpieczenia naszego działania jest 16 Batalion Dowodzenia Ziemi Elbląskiej, który już realizuje to zadanie i będzie to robił w przyszłości. Pod względem logistycznym, zgodnie z przepisami narodowymi, Dowództwo Dywizji podczas pobytu w kraju, tak jak dotychczas, będzie zabezpieczane przez 21 Wojskowy Oddział Gospodarczy w Elblągu.

Jaka będzie odpowiedzialność prawna zagranicznych żołnierzy służących w Elblągu?

Zasady pobytu obcych wojsk na terytorium naszego kraju regulują: umowa między państwami-stronami Traktatu Północnoatlantyckiego, tzw. NATO SOFA [Status of Forces Agreement], oraz umowa o statusie sił zbrojnych USA w Polsce, tzw. SOFA Supplemental. Jurysdykcja karna i dyscyplinarna będzie sprawowana zgodnie z zapisami zawartymi w powyższych porozumieniach.

Gdzie będą mieszkać żołnierze?

Miejsce zamieszkania zagranicznych żołnierzy zależy od nich samych. Najczęściej zainteresowani przybywają do Elbląga jeszcze przed objęciem obowiązków. Podczas pobytu, przy pomocy oficerów części polskiej Dowództwa, oglądają mieszkania lub domy oferowane do wynajmu, po czym podejmują decyzję.

Co oznacza osiągnięcie przez Dywizję wstępnej gotowości operacyjnej?

Osiągnięcie wstępnej gotowości operacyjnej Dowództwa nastąpiło z końcem czerwca bieżącego roku. Był to dla nas okres wytężonej pracy nad dostosowaniem struktur, przyjmowaniem nowego personelu, przygotowywaniem infrastruktury, systemów komunikacji, standardowych procedur operacyjnych i realizacji wielu innych zadań. Osiągnięcie wstępnej gotowości jest zakończeniem pierwszego, bardzo ważnego etapu naszej działalności. Nie jest jednak końcem ciężkiej pracy. 3 lipca, podczas uroczystości powitania żołnierzy Dowództwa Dywizji w Elblągu, pozwoliliśmy sobie na chwilę oddechu, lecz już otrzymujemy pierwsze zadania koordynacyjne i przygotowujemy się do osiągnięcia pełnej gotowości operacyjnej oraz do przejęcia odpowiedzialności za działanie wszystkich czterech grup batalionowych eFP w państwach bałtyckich i w Polsce.

Jak będzie wyglądał proces dochodzenia Dywizji do pełnej gotowości operacyjnej?

Przygotowania do osiągnięcia pełnej gotowości operacyjnej są realizowane na wielu płaszczyznach. Cykl treningów, szkoleń oraz ćwiczeń prowadzonych na szczeblu Dywizji pozwoli na zgranie poszczególnych komórek funkcjonalnych. Żołnierze Dowództwa Dywizji biorą również udział w ćwiczeniach krajowych i NATO. Jednocześnie zacieśniamy współpracę z innymi dowództwami, np. 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej, Dowództwem Wielonarodowej Dywizji Południowo-Wschodniej czy Elementem Dowodzenia Misji [Mission Command Element – MCE, dowództwo amerykańskie szczebla dywizji na potrzeby operacji „Atlantic Resolve"], by korzystać z ich wiedzy i doświadczeń.

Kto będzie certyfikował Dywizję?

Dowództwo Dywizji będzie zdawać egzamin podczas ćwiczeń certyfikujących w przyszłym roku. Proces ten mają monitorować żołnierze służący w Dowództwie Komponentu Lądowego [Allied Land Command – LANDCOM], stacjonującego w Turcji.

Wielu Polakom nazwa „Wielonarodowa Dywizja" kojarzy się z naszym zaangażowaniem w Iraku, kiedy to podjęliśmy się niezwykle trudnego zadania, dowodzenia międzynarodowymi siłami w tym kraju. Czy Wielonarodowa Dywizja z Elbląga też zapisze się na kartach naszej historii?

Już dzisiaj żołnierze wchodzący w skład Dowództwa Dywizji zdobywają doświadczenie, które będzie procentować w przyszłości podczas osiągania wyższych stanowisk w strukturach narodowych i NATO. Zgodnie z łacińską maksymą „facta non verba" – czyny, nie słowa, doskonalimy swoje umiejętności, ponieważ efekty każdej decyzji, dobrej lub złej, podjętej na szczeblu taktycznym widać niemalże natychmiast. Już dzisiaj myślimy o przyszłości. Czy Dywizja zapisze się na kartach historii? Myślę, że ta historia już się tworzy. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

GOTOWI DO SŁUŻBY

Aby zostać żołnierzem terytorialnej służby wojskowej, należy przejść szesnastodniowe szkolenie podstawowe.

Przyszli żołnierze terytorialnej służby wojskowej przystępują do egzaminu w strugach deszczu. Wilgoć niesiona przez porywisty wiatr przenika każdy, nawet najbardziej osłonięty skrawek ciała. Mimo niesprzyjającej aury wśród ochotników panuje pogodna atmosfera. Widać, że kieruje nimi nie tylko determinacja oraz chęć wykazania się. Wielu po prostu lubi wyzwania i swoją służbę traktuje jako formę oderwania się od codziennej rzeczywistości.

„Zgłosiłam się do WOT-u, aby odpocząć od zabiegania w pracy. Oczywiście tutaj także sporo biegamy, ale to innego rodzaju wysiłek, całkowicie odmienny od życia codziennego. Motywują nas pozostałe osoby w drużynie oraz instruktorzy. Dzięki nim atmosfera jest bardzo dobra. To jednak nie żarty. Wojsko uczy dyscypliny, odpowiedzialności, pozytywnego myślenia, pokory i wytrwałości”. Dla Elżbiety z Przemyśla, na co dzień naczelnika urzędu pocztowego, wstąpienie w szeregi

MICHAŁ ZIELIŃSKI

WIELU TYCH LUDZI PO PROSTU LUBI WYZWANIA I SWOJĄ SŁUŻBĘ TRAKTUJE JAKO FORMĘ ODERWANIA SIĘ OD CODZIENNEJ RZECZYWISTOŚCI

wojsk obrony terytorialnej jest sposobem na realizację pasji i służenie ojczyźnie. W czasie szesnastodniowego szkolenia podstawowego została wdrożona w podstawy taktyki wojskowej, strzelectwa, ratownictwa medycznego i nawigacji w terenie.

Za przekazanie tej wiedzy odpowiadają oficerowie oraz instruktorzy stanowiący kadrę zawodową. Jednym z nich jest kpt. Paweł Madej, dowódca 13 kompanii szkoleniowej w 3 Podkarpackiej Brygadzie Wojsk Obrony →

Terytorialnej. Mimo że jego podopieczni nie mają doświadczenia wojskowego, oficer nie ma żadnych problemów z dowodzeniem swoim pododdziałem. Wręcz przeciwnie, żołnierze wykazują duże zaangażowanie i szybko przyswajają wiedzę. „Ćwiczyliśmy elementy musztry, ale »szesnastki« były skupione na taktyce i szkoleniu strzeleckim. Zużyliśmy mnóstwo amunicji. Na początku wyniki były przeciętne, ale po kolejnych próbach odnotowaliśmy znaczący progres. W ciągu dwóch tygodni wykonaliśmy łącznie pięć strzelań, w tym jedno nocne. W mojej opinii jest to sporo", chwali instruktor. W czasie kursu na jednego ochotnika przypada średnio sto sztuk wystrzelonej ostrej amunicji. Jednocześnie każdy żołnierz wojsk obrony terytorialnej musi nie tylko trafiać w cel, ale przede wszystkim bezpiecznie obchodzić się z bronią.

Oprócz strzelań terytorialsi przyswajali elementarne reguły obowiązujące na polu walki. Instruktorzy pokazywali, jak się zachować w szyku patrolowym i ubezpieczać przydzielone sektory. Następnie żołnierze wchodzili w kontakt z przeciwnikiem i – wzajemnie się osłaniając – wycofywali się na określone pozycje. W tym czasie drużynami dowodziły osoby wytypowane spośród kursantów.

„Jeżeli widzimy, że ktoś ma predyspozycje do dowodzenia i inni odruchowo wykonują jego polecenia, to powoli zaczynamy stawiać na tę osobę. Zwykle jest to tzw. samiec alfa, ale musi się wyróżniać nie tylko charyzmą, lecz także inteligencją oraz wiedzą. Jeżeli jednocześnie zdobędzie poważanie w swoim zespole, to można założyć, że będzie dobrym dowódcą", tłumaczy kpt. Paweł Madej i zaznacza przy tym, że w tym gronie zdarzają się również kobiety.

PATRIOTYZM WE WSPÓŁCZESNYM ZNACZENIU

Ostateczną formą testu podczas szkolenia początkowego jest pętla taktyczna, w której w całość łączą się zdobyte wcześniej umiejętności. Na poszczególnych stanowiskach żołnierze WOT-u muszą przygotować broń, zdać egzamin strzelecki, udowodnić, że potrafią pomóc rannemu koledze oraz nawigować za pomocą mapy. Sprawdzana jest również ich kondycja oraz odporność na stres. Każdy z ochotników jest indywidualnie oceniany, a jego wyniki mogą zaważyć na dalszej służbie w formacji. Docelowo do batalionów mają trafiać najlepsi.

„Jestem pod wielkim wrażeniem tych ludzi. Wyróżniają się oni patriotyzmem we współczesnym znaczeniu. Nawet jeżeli dopiero zaczynają swoją przygodę z wojskiem, imponują zaangażowaniem i poziomem morale. W mojej brygadzie ponad 200 ochotników to ludzie bardzo młodzi, w wieku od 18 do 25 lat. Nie ma dla nich barier. To olbrzymia wartość dla formacji i chcę, by tak zostało do końca", tłumaczy płk Arkadiusz Mikołajczyk, dowódca 3 Podkar-

OSTATECZNĄ FORMĄ TESTU PODCZAS SZKOLENIA POCZĄTKOWEGO JEST **PĘTLA TAKTYCZNA**

Oprócz strzelań terytorialsi przyswajali elementarne reguły obowiązujące na polu walki. Instruktorzy pokazywali, jak się zachować w szyku patrolowym i ubezpieczać przydzielone sektory.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)

packiej Brygady Wojsk Obrony Terytorialnej. Podkreśla też, że wysokie morale żołnierzy nie jest dane raz na zawsze. Aby je utrzymać, żołnierze muszą widzieć sens w postawionych przed nimi zadaniach oraz czuć dumę po ich wykonaniu. Kluczem do tego jest dobra komunikacja oraz wyspecjalizowana kadra instruktorska. „Robimy wszystko, aby proces szkolenia był wypadkową całości działania. Zajęcia mają tworzyć logiczny, chociaż czasem zaskakujący ciąg zdarzeń. To, że zajmujemy się szkoleniem indywidualnym i pilnujemy, by każdy osiągał postawione przez nas cele, nie wyklucza całościowego podejścia. Nasi żołnierze muszą mieć świadomość, że na polu walki będą występowały różne sytuacje”, mówi pułkownik.

W ciągu następującego po przysiędze trzyletniego szkolenia zagadnienia przedstawione podczas „szesnastek” będą rozwijane. Żołnierze nauczą się zasad SERE (Survival, Evasion, Resistance, Escape – przetrwanie, unikanie, opór w niewoli oraz ucieczka), będą też potrafili udzielić pomocy rannym kolegom na polu walki. Dowiedzą się, jak mogą wspomagać oddziały operacyjne w czasie wojny oraz dostarczać pomoc ludności cywilnej w razie klęsk żywiołowych. Większość zdobędzie specjalizacje, a niektórzy z odpowiednimi predyspozycjami zostaną instruktorami.

ABY MÓC POMAGAĆ INNYM

Z lasu kolejno wyłaniają się zamaskowane postaci. Od pomalowanych na czarno twarzy odcinają się białka oczu. Czujne spojrzenia lustrują przedpole w poszukiwaniu śladów świadczących o obecności nieprzyjaciela. Utrzymując szyk, drużyna powoli wchodzi na otwartą przestrzeń. W chwili, w której żołnierze są już całkowicie odsłonięci, następuje pojedynczy wystrzał, a następnie długa seria. Terytorialsi dzielą się na dwie sekcje i wzajemnie ubezpieczając, znikają w gąszczu lasu. Kiedy się upewniają, że są już bezpieczni, meldują dowództwu o kontakcie z przeciwnikiem. Znajomość terenu, na którym działają, oraz umiejętność nawigacji pozwala im dokładnie określić wrogie pozycje i wezwać wsparcie.

W pododdziale służą Dominik i Mateusz. Chociaż są bliźniakami, podkreślają, że nie wszystko robią razem. Dominik jednak zaraził brata pasją do wojska i razem z nim spróbował sił w szeregach terytorialsów. „Dużo się tutaj nauczyliśmy, przy czym większość instruktorów stawia na praktykę. Dzięki temu zdobywanie umiejętności przychodzi szybciej i w bardziej naturalny sposób. Jest ciężko, ale można się przyzwyczaić. Te 16 dni to wprowadzenie, które daje obraz tego, jak nasza służba będzie wyglądać w przyszłości”, opowiada Dominik. „Przez najbliższe trzy lata będziemy te umiejętności rozwijać tak, by móc pomagać innym i świadomie angażować się w sprawy dotyczące naszego społeczeństwa”. ■

PIOTR RASZEWSKI (2)

MOŻNA NA NAS LICZYĆ

PIOTR RASZEWSKI

Udało mi się przekroczyć bramę Twierdzy Dęblin. Choć jestem przygotowany do rozmowy o specyfice małej jednostki, wiem, że czeka mnie też wyjątkowa podróż w czasie.

Zapach historii czuć tu w niemal każdym miejscu. Mijamy biuro przepustek i bramę wjazdową, a za chwilę wchodzimy w kolejną, prowadzącą na dziedziniec twierdzy. Choć dziedziniec to nie jest najlepsze sformułowanie, bo otoczony prawie dwukilometrową cytadelą teren ma aż 21 ha. Wszystko wygląda jak ogromny park, a zza drzew nieśmiało przebijają okazałe budynki, plac apelowy i wyraźnie zarysowane fundamenty dawnej cerkwi, w okresie międzywojennym kościoła garnizonowego, jedynego murowanego wtedy w Dęblinie. Na pozór ruch jest tu niewielki, choć jednostka pracuje na pełnych obrotach.

„Najpierw pójdziemy tam, gdzie tętni serce naszego batalionu i gdzie zawsze mają pełne ręce roboty”, mówi tajemniczo kpt. Krzysztof Pokorski, oficer prasowy 1 Batalionu Drogowo-Mostowego w Dęblinie, i tuż za bramą kieruje mnie w lewo. Za chwilę otwieramy jedne z wielu masywnych drzwi, wchodzimy na pierwsze piętro i podążamy długim korytarzem wprost do dowódcy tutejszego patrolu rozminowania. „Proszę zwrócić uwagę na wyjątkową konstrukcję tego holu”, zagaduje po drodze mój przewodnik. Rzeczywiście, wszystko jest tu nieco inne, sklepienia są łukowe, okna wychodzące na dziedziniec dość duże, a te z drugiej strony, umożliwiające widok na zewnątrz, wyjątkowo malutkie. „Pełniły one funkcję strzelnic”, zdradza kpt. Pokorski.

Po spacerze witamy się z dowódcą 34 Patrolu Rozminowania, st. chor. Kamilem Książkiem. Takich pododdziałów jest obecnie w Polsce 39. Rejon odpowiedzialności tego z Dęblina obejmuje osiem powiatów w dwóch

OSADZENI W HISTORII

JEDNOSTKI INŻYNIERYJNE STACJONOWAŁY NA TERENIE TWIERDZY DĘBLIN PO ZAKOŃCZENIU II WOJNY ŚWIATOWEJ – 60 OŚRODEK SZKOLNO-REMONTOWY WOJSK INŻYNIERYJNYCH, 7 PUŁK PONTONOWY, 1 PUŁK DROGOWO-MOSTOWY, 5 BATALION RATOWNICTWA INŻYNIERYJNEGO.

Obecnie obiekt jest siedzibą 1 Batalionu Drogowo-Mostowego, utworzonego w 2007 roku z 1 Pułku Drogowo-Mostowego i 5 Batalionu Ratownictwa Inżynieryjnego. Patronem jednostki jest gen. Romuald Traugutt, który jako oficer roty saperów był jednym z budowniczych dęblińskiej twierdzy.

Twierdza Dęblin (Iwangorod) została wzniesiona w latach trzydziestych XIX wieku przez Rosjan. Sam pomysł wybudowania fortyfikacji u zbiegu Wisły i Wieprza był jednak polski, proponował to kilka lat wcześniej gen. Ignacy Prądzyński. Przez wiele lat obiekt pełnił nie tylko funkcje militarne, lecz także więzienne. Więźniów i jeńców przetrzymywano tu już od czasu powstania styczniowego. W roku 1914 osadzeni byli w niej Austriacy i Niemcy. Rok później jeńcami byli gospodarze, czyli Rosjanie. W okresie II Rzeczypospolitej twierdza była miejscem dyslokacji 15 Pułku Piechoty Wilków z 28 Dywizji Piechoty. W 1939 roku przetrzymywani byli tu m.in. żołnierze Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga, a po kampanii 1940 roku Francuzi, Holendrzy, Belgowie, a nawet Senegalczycy. W 1941 roku do Twierdzy Dęblin został przeniesiony z Białej Podlaskiej obóz dla jeńców z Armii Czerwonej „Stalag 307". Szacuje się, że zginęło w nim około 100 tys. jeńców. ■

POZNAJCIE Z NAMI SPECYFIKĘ SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻNYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO OD KULIS" PRZECZYTACIE O MARYNARZACH, PILOTACH, LOGISTYKACH, ARTYLERZYSTACH, PRZECIWLOTNIKACH CZY CHEMIKACH.

województwach, lubelskim i mazowieckim.

„Zostałem sam, bo moi żołnierze właśnie dostali zgłoszenie", wita się ze mną dowódca, wyjaśniając panujący wokół spokój. „Są obecnie na Mazowszu w gminie Przytyk, bo tam otrzymaliśmy sygnał o znalezieniu skorupy pocisku kalibru 75 mm bez zapalnika. Jeśli wszystko pójdzie bez przeszkód, będą z powrotem za trzy, cztery godziny", precyzuje st. chor. Kamil Książek. Podobnych zgłoszeń jednostka otrzymuje od 230 do 250 w roku, podejmuje przy tej okazji blisko 35 tys. niebezpiecznych przedmiotów rocznie. Są dni, kiedy telefony nie dzwonią. Są też takie, gdy informacje o znalezieniu przedmiotów wybuchowych lub niebezpiecznych spływają co kilka godzin.

Kamil Książek jest dowódcą patrolu od sześciu lat. Gdy pytam o wyjątkowe akcje, które zapadły mu szczególnie w pamięć, szybko przypomina sobie trzy przypadki. Dwa z nich wiążą się z podjęciem półtonowych bomb lotniczych, co wymagało przede wszystkim ogromnej operacji logistycznej. „Jedną podejmowaliśmy z okolic Świdnika, nieopodal lotniska. Mimo że teren nie był zamieszkany, to wyzwanie stwarzały same gabaryty obiektu, a przede wszystkim to, jak go przewieźć bezpiecznie przez kilkadziesiąt kilometrów na poligon. Podobne zdarzenie mieliśmy też pod Radomiem, gdzie został znaleziony identyczny ładunek. Tu duży problem stanowiło jednak jego podjęcie, bo znajdował się na podmokłych nieużytkach rolnych. Ostatecznie udało się załadować bombę, ale dźwig, którego używaliśmy, ugrzązł w polu na dobre. Jako że wszystkie działania musimy prowadzić w świetle dziennym, a od poligonu dzieliło nas 200 km, postanowiliśmy pracować bez niego. Przewieźliśmy więc ładunek, a na miejscu, przy jednym ze starych lejów, usypaliśmy sięgającą burty auta pochylnię z ziemi. Następnie za pomocą pasów transportowych opuściliśmy bombę w dół, założyliśmy ładunki i bezpiecznie ją zdetonowaliśmy", opowiada dowódca.

Ciekawa jest również kolejna historia. „Policja zgłosiła nam znalezisko składające się z kilku granatów moździerzowych kalibru 82 mm. Po przybyciu na miejsce zabezpieczyliśmy teren, zaczęliśmy go sprawdzać i… zostaliśmy tam tydzień. Pracując od świtu do nocy, →

podjęliśmy w tym miejscu 1655 takich granatów. Okazało się, że miejscowa ludność po wojnie zebrała to wszystko z pól i zakopała w jednym miejscu", uśmiecha się st. chor. Kamil Książek.

Dowódca patrolu rozminowania wyjaśnia, że choć zwykle informacja brzmi podobnie, to nie ma dwóch takich samych zgłoszeń. „Do każdego z nich musimy podchodzić wyjątkowo uważnie, bo przecież zwykle dostajemy jedynie zarys informacji, a musimy precyzyjnie zaplanować cały wyjazd", przyznaje st. chor. Książek. „Służąc tu od sześciu lat, mam świadomość, gdzie mogę napotkać większą liczbę przedmiotów bądź czy są one wielkogabarytowe. Wiem, gdzie były naloty i mogą znajdować się bomby lotnicze lub gdzie toczyły się intensywne walki i tych przedmiotów w ziemi również może być sporo", wyjaśnia dowódca.

MULTIZADANIOWI

Struktura dęblińskiego patrolu rozminowania jest stała: dowódca, zastępca, magazynier saper, kierowca saper, dwóch kierowców ratowników oraz dwóch saperów. To zaledwie ośmiu żołnierzy. Zaledwie, bo przecież pododdział musi być do dyspozycji 24 godziny na dobę. „Każdy z żołnierzy posiada jednak przynajmniej dwie specjalizacje, co umożliwia rotację", tłumaczy dowódca dęblińskiego patrolu rozminowania.

Na pożegnanie pytam jeszcze o działania przy budowie drogi ekspresowej na trasie Lublin – Warszawa. „Mimo że front robót jest tu ogromny, mieliśmy zaledwie dwa zgłoszenia i zabezpieczyliśmy tylko pojedyncze przedmioty", przyznaje st. chor. Książek, nie wiedząc, że jeszcze tego dnia życie napisze nieoczekiwany epilog naszej rozmowy.

Wraz z kpt. Pokorskim opuszczamy pokój dowodzenia patrolu rozminowania i po chwili znów znajdujemy się na dziedzińcu twierdzy. Teraz kierujemy swoje kroki w głąb parku. Po kilkuset metrach zatrzymujemy się przy pierwszym, okazałym budynku. To najbardziej reprezentacyjny obiekt w całym kompleksie – Pałacyk Komendanta. „Jest to dawna budowla rosyjska. Dwa razy gościły tu koronowane głowy. W roku 1892 w tym pałacyku przebywał car Aleksander III wraz z żoną Marią Fiodorowną i swoim synem Mikołajem, następcą tronu. Zachowały się tu elementy sali balowej i pomieszczeń dla rodziny carskiej. Jesienią 1914 roku w tym budynku gościł z kolei car Mikołaj II Romanow i była to ostatnia wizyta cara w Królestwie Polskim", opowiada kpt. Pokorski. Pałac pozostaje w niezmienionej formie od roku 1915. Na dowód oficer prasowy pokazuje schody, prowadzące na rozległą werandę, z zachowanymi tu doskonale godłami Romanowów. Od lat nie zmieniła się również funkcja budynku, bo właśnie tu mieści się obecnie dowództwo batalionu.

A skoro tak, to przy tej okazji pytam o specyfikę dęblińskiej jednostki. „Jesteśmy samodzielnym batalionem, podporządkowanym 2 Pułkowi Inżynieryjnemu z Inowrocławia. Generalnie na wypadek działań wojennych i zagrożenia jesteśmy przygotowani do zapewnienia dróg dojazdu

TRZY PYTANIA DO

Adama Bednarczyka

Co wyróżnia pana jednostkę?

Służba w naszej jednostce polega przede wszystkim na utrzymaniu i budowie dróg, a także przepraw promowych, mostowych i desantowych. Od wielu lat wykonujemy nasze zadania z powodzeniem, i właśnie to wyróżnia nas spośród innych jednostek inżynieryjnych. Ponadto, jeśli zachodzi taka potrzeba, działamy w sytuacjach kryzysowych – powodzi, pożarów, przesto-

PIOTR RASZEWSKI

PYTANI O NAJCIĘŻSZE W OSTATNICH LATACH ZADANIE, ŻOŁNIERZE WSPOMINAJĄ WYDARZENIA Z 2010 ROKU, KIEDY LUBELSZCZYZNĘ NAWIEDZIŁA POWÓDŹ

i wszelakich przepraw dla naszych wojsk. Z kolei w czasie pokoju jesteśmy przygotowani do działań ratowniczych, odbudowy infrastruktury drogowej, mostowej czy przepustów wodnych. Te zadania na co dzień w większości realizuje Wojskowa Jednostka Odbudowy nr 5, działająca w strukturach batalionu", opisuje kpt. Krzysztof Pokorski.

W skład dęblińskiego batalionu wchodzi siedem kompanii: dowodzenia, budowy podpór mostów, drogowo-mostowa, pontonowa, logistyczna i ratownictwa inżynieryjnego oraz 34 patrol rozminowania. To są specjalistyczne pododdziały. Choć jest ich sporo, często działają wspólnie, a ich kompetencje się uzupełniają. Tak jest chociażby w przypadku budowy mostów, gdzie najpierw na plac budowy wchodzi kompania budowy podpór i wbija filary, na które później kompania mostowa nakłada np. most DMS-65, wyjaśnia kpt. Pokorski.

W dęblińskiej jednostce służą żołnierze, którzy niejednokrotnie posiadają kilka różnych, wąskich specjalności. „To jest bardzo pomocne podczas wszelakich działań, do jakich jesteśmy przygotowani. Na co dzień wszyscy żołnierze przechodzą oprócz ćwiczeń specjalistycznych normalne szkolenia programowe z wykorzystaniem naszej własnej bazy na terenie twierdzy", podkreśla kpt. Krzysztof Pokorski. Skąd zatem ta wszechobecna cisza i spokój? „Szkolenia specjalistyczne prowadzimy przede wszystkim w terenie. Począwszy od patrolu rozminowania, a na budowie różnych dróg i mostów w całej Polsce skończywszy. Praca wre cały czas, jest jej bardzo dużo", przekonuje oficer prasowy dęblińskiej jednostki, zapraszając jednocześnie na dalszy spacer.

INŻYNIER Z OKOLICY

Kiedy idziemy wzdłuż przecinającej fortecę głównej drogi, mijamy niepozorną górkę. To dawna, XIX-wieczna prochownia. Zbudowana została w sercu cytadeli, by łatwo ją było chronić. Jednocześnie obok postawiono dwa →

jów w dostawie energii elektrycznej. Mamy odpowiedni sprzęt i ludzi przygotowanych do niesienia pomocy społeczeństwu. W czasie pokoju działamy bardzo blisko ludzi.

Jakimi predyspozycjami muszą wykazać się żołnierze służący w wojskach inżynieryjnych?

Dążymy do tego, by nasi żołnierze byli cały czas dyspozycyjni i aby w każdej chwili można było na nich liczyć. Żołnierz wojsk inżynieryjnych musi być wysportowany, bo nasza praca wymaga tężyzny fizycznej i wytrzymałości. Ponadto jest bardzo ciężka, często niebezpieczna, dlatego trzeba mieć, jak to się mówi, oczy z każdej strony głowy.

Jakich ludzi potrzebujecie i jak można dostać się w wasze szeregi?

Głównymi warunkami, które stawiamy kandydatowi, są sprawność fizyczna oraz posiadanie uprawnień, wojskowych lub cywilnych, do prowadzenia pojazdów. Kandydat powinien mieć prawo jazdy kategorii C lub C + E. Mile widziani są również operatorzy sprzętu – koparek, spycharek, zgarniarek oraz pojazdów typowo wojskowych, np. transporterów. ■

Ppłk ADAM BEDNARCZYK
jest dowódcą 1 Batalionu Drogowo-Mostowego w Dęblinie.

budynki. Gdyby doszło do nieplanowanej eksplozji, to one przyjęłyby całą energię wybuchu, nie narażając przy tym innych strategicznych miejsc.

Oficer zaczyna opowiadać o żołnierzach pracujących obecnie w dęblińskim batalionie. „Preferujemy tutaj specjalistów, którzy mają konkretne umiejętności inżynieryjne. Jeżeli przychodzą do nas żołnierze z cywila, to wybieramy głównie tych z odpowiednimi uprawnieniami, np. kierowców, operatorów sprzętu ciężkiego, czyli koparek czy też spycharek", mówi kpt. Pokorski. Batalion tworzą w większości wojskowi pochodzący z pobliskich rejonów, często z małych miejscowości, bo wokół Dęblina próżno szukać metropolii. „To jest bardzo dobry materiał, bo generalnie potrzeba nam ludzi wytrwałych i lubiących ciężką pracę. Właśnie tacy są tu najbardziej przydatni. Przecież często musimy wziąć do ręki łopatę i kopać, coś przenieść czy podnieść. Nie mamy tu też żadnych problemów dyscyplinarnych, a żołnierze czują się silnie związani z tym regionem", podkreśla kpt. Pokorski.

Dęblińskí batalion ma spore doświadczenie w stawianiu dużych konstrukcji inżynieryjnych. Żołnierze budowali mosty, chociażby w gminie Przedbórz w województwie łódzkim, w województwach mazowieckim i lubelskim, m.in. we Włodawie czy całkiem niedawno w Milejowie. Stawiali też przeprawę podczas Światowych Dni Młodzieży w 2016 roku. Gdy pytam o najcięższe w ostatnich latach zadanie, z którym musieli się zmierzyć dęblińscy żołnierze, mój przewodnik od razu przypomina sobie o wydarzeniach z przełomu maja i czerwca 2010 roku. Wtedy Lubelszczyznę nawiedziła powódź i ponad 140 km^2 nieodległych terenów znalazło się pod wodą. Walka z żywiołem trwała dzień i noc przez kilka tygodni. „Mimo to nie czuło się wcale zmęczenia. Sytuacja była dynamiczna i napięta, ale energia, chęć działania i pomocy – wręcz niesamowita. Żołnierze, poczynając od operatorów specjalistycznego sprzętu, a na tych noszących worki z piachem kończąc, zaangażowali się niezwykle mocno. Na naszych oczach rozgrywały się też ludzkie dramaty. Bywały sytuacje, gdy do zatopionego gospodarstwa koledzy wjeżdżali transporterem pływającym, a gospodarz mówił: »jak krów nie bierzecie, to ja też nigdzie się nie ewakuuję«", wspomina kpt. Pokorski.

Przejmująca opowieść sprawia, że droga mija szybko. Po kilku minutach stajemy u wrót Bramy Lubelskiej. Tu, w jednym z fortecznych pomieszczeń, znajduje się batalionowa sala tradycji z wystawą poświęconą historii dęblińskiej twierdzy. Jest w niej wiele fotografii, map oraz wydobytych z ziemi pamiątek po dawnych mieszkańcach. Wrażenie robią szczególnie zdjęcia dokumentujące najstarsze czasy dęblińskiej budowli. Są tu m.in. fotografie ze wspomnianych wcześniej wizyt koronowanych, carskich, głów. „Wyjątkowe miejsce, w którym stacjonujemy, wymusza dbałość nie tylko o obecny stan, ale też historię", mówi kpt. Pokorski.

Samochód ciężarowy Star 944

Pływający transporter samobieżny PTS-M

Żołnierze dbają również o kulturę. Gdy odwiedzamy pomieszczenia sekcji wychowawczej, uwagę przykuwa przede wszystkim ogromna tablica z setkami notatek, afiszami i plakatami. „Zajmujemy się standardowymi, przypisanymi nam zadaniami, ale mocno wspieramy też działania naszego klubu wojskowego", wita się z nami mł. chor. Robert Pieńkosz, instruktor sekcji wychowawczej. Jednocześnie pokazuje opasłą księgę, w której są zapisywane wszystkie informacje dotyczące aktywności dęblińskiego batalionu. „Zabezpieczamy wiele uroczystości patriotyczno-religijnych, współpracujemy z okolicznymi gminnymi i miejskimi urzędami, placówkami oświatowymi w organizacji m.in. statycznych i dynamicznych pokazów sprzętu. Z kolei dla naszych żołnierzy i ich rodzin przygotowujemy różne zajęcia integracyjne czy wyjazdy do teatrów", wylicza mł. chor. Pieńkosz. „Na pierwszy zapisało się zaledwie kilku chętnych. Teraz obowiązuje zasada – kto pierwszy ten lepszy, bo zgłoszeń jest więcej niż

Kafary i pontony

W WYPOSAŻENIU 1 BATALIONU DROGOWO-MOSTOWEGO JEST SPECJALISTYCZNY SPRZĘT DO BUDOWY ZAAWANSOWANYCH OBIEKTÓW DROGOWO-MOSTOWYCH.

Jednostka dysponuje m.in. kafarami KP-2, czyli urządzeniami do wbijania pali, własnymi parkami pontonowymi PP-64, składanymi mostami DMS-65. W batalionie znajdują się również pływające transportery samobieżne PTS-M w wersjach przystosowanych do działań ratowniczych i kryzysowych, specjalistyczne łodzie motorowe, a żołnierze są wyposażeni w specjalistyczny sprzęt, np. do nurkowania. Batalion ma też własną bazę noclegową, stołówki polowe, elektrownie kontenerowe oraz zestawy do oczyszczania wody.

Specjalistyczne wyposażenie posiada również 34 patrol rozminowania. Oprócz zestawów minerskich, rozpoznawczych i wykrywaczy metali, głównym sprzętem pododdziału są pojazdy. Iveco Dailly 55S i TOPOLA S są przystosowane do przewozu sześciu żołnierzy, wyposażone w pojemnik przeciwodłamkowy, którego konstrukcja umożliwia przewóz przedmiotów wybuchowych i niebezpiecznych o sile detonacji nie większej niż siła detonacji materiału wybuchowego o masie 3,5 kg. W pojeździe znajdują się ponadto piła spalinowa, kamizelki kuloodporne, hełmy i kombinezony przeciwwybuchowe EOD-9. Do dyspozycji saperów jest też samochód ciężarowy Star 944, do przewozu przedmiotów wielkogabarytowych, oraz przyczepa Topola P, której konstrukcja umożliwia transportowanie przedmiotów wybuchowych i niebezpiecznych o sile detonacji nie większej niż siła detonacji materiału wybuchowego o masie 10 kg. ■

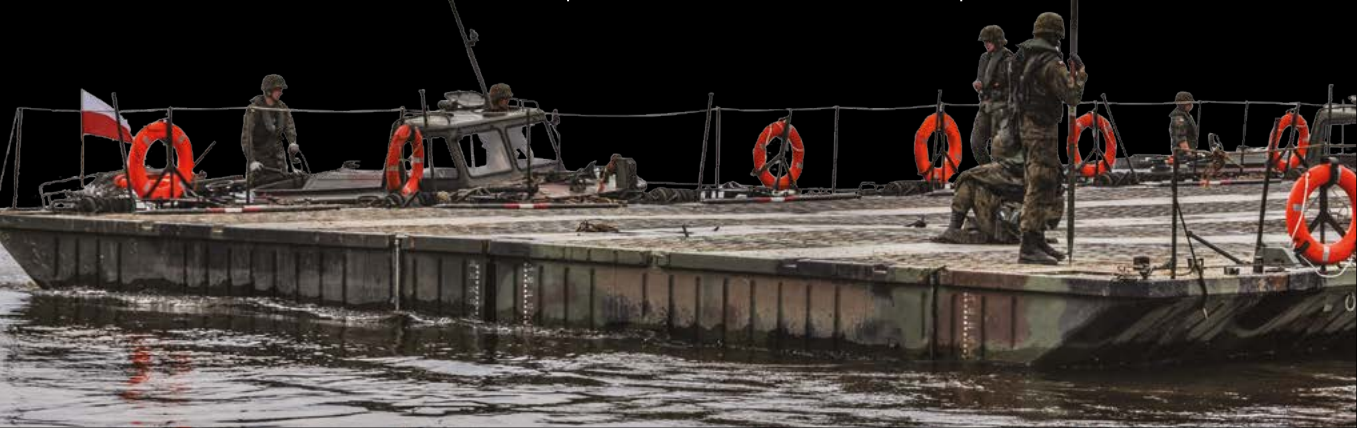

PIOTR RASZEWSKI (3)

STRUKTURA DĘBLIŃSKIEGO PATROLU ROZMINOWANIA JEST STAŁA: dowódca, zastępca, magazynier saper, kierowca saper, dwóch kierowców ratowników oraz dwóch saperów. To zaledwie ośmiu żołnierzy. Zaledwie, bo przecież pododdział musi być do dyspozycji 24 godziny na dobę.

miejsc w autokarze", uśmiecha się instruktor sekcji wychowawczej i zaznacza, że wszystko to odbywa się w strukturze małego batalionu, działającego w Dęblinie nieco w cieniu Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych.

„Rzeczywiście czujemy się nieco zmarginalizowani, gdy w kontekście Dęblina mówi się tylko o wojskach lotniczych. Mamy jednak ogromną satysfakcję, że w czasie pokoju stoimy najbliżej ludności cywilnej, działając głównie na rzecz lokalnych społeczności. Może zatem czasami jesteśmy mniej widoczni niż lotnicy, ale zawsze społecznie aktywni i efektywni", zwierza się kpt. Pokorski.

SAMO ŻYCIE

„Wcześniej pracowałem w wojskowej komendzie uzupełnień. To zupełnie inna specyfika. Obecnego zajęcia nie zamieniłbym na żadne inne", rzuca z uśmiechem na odchodne oficer prasowy batalionu.

Po niemal całym dniu spędzonym w murach twierdzy wyjeżdżam z Dęblina z głową pełną ciekawych historii. Kieruję się w stronę Moszczanki, do trasy Lublin – Warszawa. Kilometr przed skrzyżowaniem dróg zaczyna się korek. W radiu słyszę, że na budowie trasy S17 znaleziono niewybuch. Dzwonię do dowódcy patrolu rozminowania st. chor. Kamila Książka dopytać o szczegóły i dowiedzieć się, czy trasa jest już zamknięta. „Tak, od kilkunastu minut jesteśmy w okolicach Żyrzyna i działamy. Na budowie S17 robotnicy odkryli bombę lotniczą", słyszę w słuchawce. Gdy okrężną drogą dojeżdżam do domu, okazuje się, że dęblińscy saperzy odnaleźli na miejscu jeszcze sześć podobnych ładunków, które zabezpieczyli i następnie zdetonowali. Cała operacja trwała kilka godzin, a żołnierze już po wszystkim udali się na zasłużony odpoczynek. Krótki, bo jakiś czas później ciszę znów przerwał dźwięk telefonu, a głos w słuchawce poinformował o kolejnym zgłoszeniu. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Saperzy na tropach zbrodni

Zazwyczaj szukają niebezpiecznych przedmiotów, aby zapobiec tragedii. Bywa jednak, że zamiast min, bomb, pocisków saperzy poszukują śladów historii...

Opolszczyzna – okolice Łambinowic. Od lokalnej szosy do miejsca pracy saperów prowadzi polna, wyboista droga. Stając przed ścianą zagajnika pełnego wysokich krzaków, chaszczy i pokrzyw, trudno sobie wyobrazić, że 70 lat temu był tutaj piękny poniemiecki kompleks dworski Scharfenberg. Dzisiaj jedynie przedwojenne zdjęcia lotnicze przypominają, że urokliwy pałacyk i oddalone nieco zabudowania gospodarcze istniały naprawdę.

Jeszcze trudniej uwierzyć, że w tym cichym zakątku, z dala od głównych dróg, wiele lat temu mogło dojść do krwawego mordu. A jednak... W 2014 roku w jednej ze studzienek osadowych pięknego niegdyś dworu badacze Instytutu Pamięci Narodowej znaleźli niekompletne szczątki około 30 osób. Medycy sądowi orzekli, że ludzie ci zostali rozstrzelani. W czasie badań odkryto, że studzienka nie była pierwotnym miejscem ich pochówku. Prawdopodobnie na masową mogiłę wiele lat po wojnie natrafili nieznani poszukiwacze skarbów. Kości zapakowali w worki foliowe i reklamówki, przenieśli i złożyli w murowanej studni. Szkiele-

MAMY SZCZĄTKI ROZSTRZELANYCH LUDZI, RÓŻNE ARTEFAKTY I WIELE DONIESIEŃ, ŻE WŁAŚNIE TUTAJ MOGŁO DOJŚĆ DO BRUTALNEGO MORDU

ty okazały się niekompletne. Gdzie jest reszta kości, gdzie znajduje się pierwotne miejsce pogrzebania zwłok, nie wiadomo. Nikt nie wie także, w którym miejscu dawnego kompleksu dworskiego ludzie ci zostali zgładzeni. Nie ma nawet pewności, kim byli...

Specjaliści pionu poszukiwań IPN-u przypuszczają, że natrafiono na masową mogiłę żołnierzy jednego z oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych ze zgrupowania kpt. Henryka Flamego „Bartka", operującego po wojnie na terenie Beskidu Śląskiego. Żołnierze ci w 1946 roku, w trzech grupach zostali przetransportowani na Ziemie Zachodnie i zgładzeni przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Od wiosny ubiegłego roku archeologom z IPN-u w poszukiwaniach grobów „bartkowców" aktywnie pomagają żołnierze z 1 Brzeskiego Pułku Saperów.

TAJEMNICZE ARTEFAKTY

Wizytę w rejonie poszukiwań rozpoczynam od obfitego spryskania się środkiem na kleszcze i komary. „Inaczej nie da się tutaj funkcjonować", przestrzega st. sierż. Marcin Kałmuk, dowodzący ekipą 14 saperów z grupy rozminowania specjalnego EOD 1 Brzeskiego Pułku Saperów. „Archeolodzy z IPN-u, z którymi pracujemy, codziennie po powrocie z pracy znajdują na sobie kilka kleszczy", ostrzega podoficer. W drodze na miejsce prac sierżant pokazuje przedwojenne zdjęcia lotnicze terenu. Wyjaśnia, w którym miejscu stał okazały budynek dworski, gdzie rozciągały się tereny parkowe. Informuje, że od wielu lat okolicę przetrząsają poszukiwacze skarbów, którzy pozostawili po sobie wiele dołów i rozkopów. Opowiada, że mimo to saperzy i tak znajdują wiele ciekawych artefaktów.

„Poszukiwacze skarbów ustawiają swoje wykrywacze tak, aby reagowały tylko na metale nieżelazne. Nasz sprzęt wykrywa natomiast przedmioty wykonane z każdego rodzaju metalu. Dlatego, mimo wcześniejszej eksploracji, bez przerwy trafiamy na różne znaleziska", mówi st. sierż. Kałmuk.

Na prośbę IPN-u tegoroczne poszukiwania w okolicach miejscowości Dworzysko saperzy rozpoczęli 5 czerwca. Każdego dnia znajdowali po kilkadziesiąt metalowych przedmiotów. Najwięcej – drobnych rzeczy codziennego użytku. Były jednak znaleziska, które mogły świadczyć o tym, co wydarzyło się tutaj ponad 70 lat temu. Na uwagę badaczy IPN-u zasługiwały łuski oraz amunicja do różnych rodzajów broni. Obok nabojów myśliwskich dużo było amunicji wojskowej. Ta do broni niemieckiej była czymś normalnym, wszak wojska Wehrmachtu z pewnością często stacjonowały w dworku, szczególnie w ostatnich miesiącach wojny. Amunicja do broni polskiej, zwłaszcza do sowieckich pepesz, stanowiła natomiast dowód na to, że po wojnie musieli przebywać tutaj funkcjonariusze komunistycznej bezpieki, którzy chętnie właśnie takiej broni używali. W czasie prac brzescy saperzy trafiali także na odcinki taśm z amunicją do ręcznych karabinów maszynowych. Świadczyły one o tym, że przebywali tam nie tylko pojedynczy żołnierze czy funkcjonariusze UB, lecz także całe dobrze uzbrojone pododdziały.

Odnaleziona duża liczba łusek i amunicji w jednym miejscu była cenną wskazówką. Nasuwa się przypuszczenie, że mogli tutaj stać kiedyś ludzie prowadzący ogień, wykonujący egzekucje.

Bardzo ważnym momentem było odnalezienie metalowej klamry od angielskiego munduru typu battle dress. Takiego umundurowania nie nosili żołnierze niemieccy, którzy mogli stacjonować w dworku w czasie wojny, ani żołnierze radzieckiej armii czy funkcjonariusze komunistycznego aparatu represji. Tego typu mundury mieli na sobie właśnie żołnierze NSZ-etu.

ŻMUDNA PRACA

Na jednym ze stanowisk poszukiwawczych słychać pisk wykrywacza. Kpr. Piotr Godek rozgrzebuje ziemię. Wyjmuje mały przedmiot i go oczyszcza. Znalezisko jest tylko nieco większe od pudełka zapałek. Wygląda jak metalowy splot przypominający wojskową odznakę przypinaną do munduru. A może to tylko jakiś element ozdobnego okucia antycznego mebla? Archeolodzy pracujący z saperami będą musieli dokładnie to sprawdzić...

„Mamy szczątki rozstrzelanych ludzi, różne artefakty i wiele doniesień, że właśnie tutaj mogło dojść do brutalnego mordu", mówi Michał Nowak, archeolog z Wydziału Poszukiwań IPN, koordynujący pracę saperów.

KOMENTARZ

KRZYSZTOF SZWAGRZYK

Pomoc żołnierzy jest dla nas ogromnym wsparciem. Saperzy z Brzegu wykonali dotąd olbrzymią pracę, której efekty pozwoliły nam odnaleźć miejsca zagłady i pochówku pomordowanych w 1946 roku żołnierzy wyklętych Narodowych Sił Zbrojnych. Jestem pod ogromnym wrażeniem profesjonalizmu i zaangażowania saperów. Ich praca i to, co znajdują, pozwala nam zdecydowanie zawęzić obszar późniejszych prac ziemnych z wykorzystaniem ciężkiego sprzętu. W tym roku na Opolszczyźnie prowadzimy kolejne poszukiwania z ich udziałem. Mamy nadzieję, że i tym razem uda nam się odnaleźć miejsca ukrycia kolejnych zwłok ofiar komunizmu. ■

Prof. KRZYSZTOF SZWAGRZYK jest wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej.

„Chodzi jednak o odnalezienie nie tylko pozostałych szczątków, lecz także jakichś przedmiotów osobistych, dzięki którym będzie można zidentyfikować ofiary i ustalić bezsprzecznie, że są to poszukiwani przez nas żołnierze wyklęci NSZ-etu”, wyjaśnia.

Archeolog nie kryje uznania dla żołnierzy. Przyznaje, że wykonują ciężką pracę. Żeby przystąpić do poszukiwań z wykrywaczem, wyznaczony obszar trzeba najpierw wykarczować. Później jest żmudne sprawdzanie gruntu centymetr po centymetrze. Cierpliwe wyjmowanie z ziemi gwoździ, kawałków drutu i wielu metalowych rupieci. Wszystko po to, aby nie przeoczyć czegoś, co może być cenną wskazówką. „Kiedy zlecam żołnierzom zbadanie jakiegoś terenu, to mam pewność, że zostanie on przeszukany bardzo starannie”, mówi Michał Nowak.

ODKRYCIE SPRZED ROKU

Saperska staranność i cierpliwość przyniosła efekty w 2016 roku podczas prac prowadzonych na terenie poniemieckiego lotniska wojskowego koło miejscowości Stary Grodków. „Pracowaliśmy wiele dni. W pewnym miejscu natrafiliśmy w ziemi na dużo zardzewiałych gwoździ. Wyjęliśmy ich z ziemi kilkaset, a wykrywacze ciągle sygnalizowały, że w gruncie są kolejne metalowe przedmioty”, wspomina st. sierż. Kałmuk.

„Po długim i żmudnym przesiewaniu kolejnych warstw sierż. Radosław Mucha odnalazł fragment metalowego orzełka. To był przełom w poszukiwaniach. Po pewnym czasie, w tym samym rejonie inny żołnierz natrafił na charakterystyczny wojskowy ryngraf. Mieliśmy pewność, że odkryliśmy miejsce kaźni”, kończy podoficer.

Wieści o odkryciu szybko się rozeszły. Na miejsce prac poszukiwawczych zaczęły zjeżdżać rodziny pomordowanych. Było wiele łez i wzruszeń. Saperzy odbierali podziękowania od ludzi, którzy po ponad 70 latach mogli wreszcie stanąć nad mogiłami swoich najbliższych.

W Starym Grodkowie w miejscu mordu i ukrycia zwłok żołnierzy wyklętych stoją dzisiaj krzyże i tablica pamiątkowa. W ubiegłym roku odbyła się tam msza polowa. Gośćmi honorowymi ceremonii byli żołnierze brzeskiego pułku. Podczas uroczystości prof. Krzysztof Szwagrzyk, wiceprezes IPN-u, powiedział rodzinom pomordowanych, że to właśnie dzięki pracy saperów wiele osób poznało wreszcie miejsce, gdzie spoczywają ich bliscy.

HOŁD POPRZEDNIKOM

Do prac poszukiwawczych w okolicach miejscowości Dworzysko dowództwo pułku z Brzegu delegowało żołnierzy ze specjalistycznej grupy rozminowania EOD. Wśród 14 specjalistów większość to doświadczeni saperzy. Kilku doskonali swoje umiejętności w posługiwaniu się różnego typu wykrywaczami. Dla nich prace archeologiczne są doskonałą formą szkolenia.

Kpr. Michał Ożóg jest weteranem kilku wojennych misji, podczas których był dwukrotnie ranny. Sprawdza właśnie wykrywaczem teren w pobliżu zachowanego częściowo pałacowego basenu. „Robota nie jest łatwa. Przed poszukiwaniem trzeba najpierw wykarczować wiele krzaków i zarośli. Nie narzekamy jednak. Wręcz odwrotnie, każdy jest maksymalnie zaangażowany. Czujemy, że w ten sposób oddajemy hołd pomordowanym”, mówi podoficer.

23 czerwca saperzy zakończyli przeszukiwanie terenu. To co znaleźli, dało podstawy do rozpoczęcia w tym miejscu poszukiwań głębiej w ziemi. W tej kolejnej fazie także wezmą udział. Istnieją bowiem obawy, że przy pracach odkrywkowych archeolodzy mogą natrafić na groźne niewybuchy. Trwają również analizy starych dokumentów i zeznań świadków, mające na celu odnalezienie miejsca mordu i pochówku trzeciej grupy oddziału „Bartka”. Wszystko wskazuje więc na to, że żołnierzy czeka jeszcze wiele godzin pracy przy wyjaśnianiu tragicznych zdarzeń powojennej historii kraju. ■

Wojskowe Zakłady Lotnicze Nr 4 S.A.

ul. Księcia Bolesława 1/3, 01-452 Warszawa, Polska
tel. +48 22 532 43 01, fax +48 22 532 43 04
www.wzl4.mil.pl, biuro@wzl4.mil.pl

PGZ

www.pgzsa.pl

PIOTR ZARZYCKI

Razem dla weteranów

W kampanii „W boju i potrzebie krwi nie szczędząc” zebrano podczas 53 akcji ponad 1280 litrów krwi. To wynik, który przerósł najśmielsze oczekiwania.

SYLWIA GUZOWSKA

Pierwsza ogólnopolska kampania krwiodawstwa zorganizowana przy okazji Dnia Weterana trwała półtora miesiąca. Krew zbierano m.in. w Szczecinie, we Wrocławiu, w Rzeszowie, a także na Mazurach, gdzie w tygodniu przed głównymi obchodami święta odbyła się kulminacyjna część akcji, wspierana przez 15 Giżycką Brygadę Zmechanizowaną. „Wielu weteranów, pomimo odniesionych ran i kontuzji, po cichu i anonimowo działa społecznie, niosąc pomoc potrzebującym. Należy im się za to szacunek i wsparcie. Jako krwiodawcy chcieliśmy udzielić go w ten sposób”, mówi plut. Robert Kowalewski z Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu, tłumacząc motywy organizacji kampanii.

POMYSŁ NA POMOC

Kilka miesięcy temu razem ze st. sierż. Grzegorzem Skakowskim z 1 Batalionu Strzelców Podhalańskich w Rzeszowie oraz st. chor. Sebastianem Jaszakiem z 9 Brygady Kawalerii Pancernej w Braniewie postanowili zorganizować większą akcję zbiórki krwi, towarzyszącą świętu weteranów. Wszyscy trzej od lat działają na rzecz propagowania krwiodawstwa, ale pierwszy raz udało się zaangażować tak szerokie grono osób. „Przedsięwzięcie odbywało się pod jednym hasłem, był wspólny plakat, były też specjalnie przygotowane certyfikaty oraz okazjonalne pieczątki”, dodaje plut. Kowalewski. Działania prawie 30 klubów honorowych dawców krwi (HDK) przyciągnęły ponad 2,8 tys. osób, które podzieliły się najcenniejszym darem i w ten sposób złożyły hołd weteranom.

Wojskowe kluby HDK działają pod wspólną marką „Wojskowe Krwiodawstwo”. Do kampanii „W boju i potrzebie krwi nie szczędząc” włączyły się także inne służby mundurowe – Centrum Szkolenia Policji w Legionowie, Nadwiślańska Straż Graniczna w Warszawie czy Państwowa Straż Pożarna w Braniewie. Nie zabrakło również klubów cywilnych. „Idea wsparcia weteranów jest zgodna z etosem Polskiego Czerwonego Krzyża, gdzie zdrowie i życie jest nadrzędną wartością”, wyjaśnia powody przystąpienia do akcji Przemysław Jędrzejowski, prezes Miejsko-Gminnego Klubu HDK PCK w Oławie. „Ponadto prawie cała moja rodzina to wojskowi. Mój szwagier również jest weteranem poszkodowanym. Na szczęście sam nie potrzebował transfuzji, ale wielu innych rannych – już tak”.

Zbiórkę w Oławie, która odbyła się w pierwszych dniach kampanii, zorganizował zamiast innej, wcześniej zaplanowanej na ten termin. W ciągu trzech godzin akcji udało się pobrać krew od 24 chętnych. To dobry wynik, ale wart odnotowania jest też inny fakt. „Zaskoczyło mnie, że uczestnicy dopytywali o żołnierzy. Do tej pory krwiodawstwo kojarzyli głównie z cywilami. Niewielu na co dzień ma świadomość, że wojsko angażuje się w takie akcje, a i sami żołnierze niejednokrotnie potrzebują krwi”, tłumaczy Jędrzejowski. Trudno stwierdzić, skąd takie przekonanie w społeczeństwie. Być może wynika z tego, że wojsko najczęściej jest za murami jednostek lub na poligonach. Druga kwestia to fakt, że idea wsparcia weteranów w Polsce rozwija się dopiero od kilku lat. „Wydaje mi

się, że dodatkowo duża część społeczeństwa ma zakodowany w świadomości pewien etos bohatera w mundurze, który bardziej udziela pomocy, niż sam jej potrzebuje. Na szczęście takie kampanie pomagają zmieniać ten pogląd", podkreśla prezes oławskiego klubu.

Podobne inicjatywy zwiększają powszechną wiedzę na temat żołnierzy i weteranów. Organizatorom udało się pokazać wojsko w niecodzienny sposób i poruszyć serca wielu ludzi. Na zbiórkach pojawiały się osoby, które w tym celu musiały pokonać nawet kilkadziesiąt kilometrów. „Na naszą akcję w Rzeszowie przyjechali uczniowie z klasy mundurowej w Łańcucie oraz harcerze aż z Przemyśla. Znaleźli informację w internecie i zapragnęli przyłączyć się do akcji, zobaczyć jak ona wygląda. Spodobała im się idea i stwierdzili, że warto było jechać kawał drogi, żeby oddać krew tutaj", podsumowuje st. sierż. Grzegorz Skakowski, prezes Klubu HDK PCK Podhalańczyk.

AMERYKAŃSKI WZÓR

Wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o pomoc dla weteranów, są Amerykanie. „Wiadomo, że na nich się wzorujemy, ale im dojście do obecnego poziomu także zajęło wiele lat. U nas święto weteranów jest młode i dopiero docieramy do świadomości ludzi. Jeszcze sporo pracy przed nami", zapewnia Skakowski i zapowiada, że krwiodawcy chcą na stałe włączyć się w tę kampanię. Do jej rozwoju w przyszłości będą potrzebne przede wszystkim ręce do pracy. Trzej koordynatorzy przez cały czas trwania akcji nie są zwolnieni ze swoich codziennych obowiązków. Kurs na wyższy stopień, wyjazd na poligon, szkolenie SERE – wszystko to w pewnym stopniu ogranicza możliwość działalności na rzecz krwiodawstwa, co sprawia, że pozostali są w tym czasie bardziej obciążeni. Istotne jest też połączenie wysiłków wojskowych klubów HDK. Choć wszystkie działają w swoich garnizonach, nie wszystkie uczestniczyły w kampanii „W boju i potrzebie krwi nie szczędząc", organizując zbiórkę krwi. „Trochę mi przykro z tego powodu. Jesteśmy żołnierzami i krwiodawcami, przyświeca nam wspólny cel. Jednak myślę, że z czasem postawa innych zmieni się na lepsze", wyjaśnia st. sierż. Skakowski. Właśnie organizacja poszczególnych akcji i odpowiednio wczesna rezerwacja terminów w wojskowych regionalnych centrach krwiodawstwa to kolejne kluczowe dla rozwoju inicjatywy kwestie. Krwiobusy trzeba zamawiać z dużym wyprzedzeniem. Z pewnością korzystne byłoby również powołanie centralnego organu doradczego dla krwiodawstwa wojskowego, który wytyczyłby kierunki dalszej działalności oraz występował ze wspólnymi wnioskami w imieniu wszystkich wojskowych klubów HDK. Rolę takiej instytucji mogłaby odgrywać Wojskowa Rada Krwiodawstwa, którą od kilku lat starają się powołać koordynatorzy tegorocznej zbiórki z okazji Dnia Weterana.

W pierwszej ogólnopolskiej kampanii krwiodawstwa wspierającej święto weteranów wzięło udział 2846 krwiodawców, którzy oddali 1280,7 l krwi. Między 8 maja a 21 czerwca odbyły się 53 zbiórki, obejmujące zasięgiem całą Polskę. Nasilenie kampanii odnotowano w tygodniu poprzedzającym centralne obchody Dnia Weterana w Giżycku. Wówczas w oddziałach Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa (RCKiK) Olsztyn 833 osoby oddały prawie 375 l krwi. Dobrym wynikiem mogą się pochwalić m.in. Klub HDK PCK Legion (158 l), RCKiK Rzeszów (143 l), Wojskowy Klub HDK ze Szczecina (115 l). Ponadto kampanii towarzyszyły liczne konkursy z nagrodami dla uczestników. Jak na pierwszą inicjatywę tego typu, jej zasięg i rozmiary budzą szacunek, a przecież to nie było ostatnie słowo wojskowych krwiodawców. W przyszłym roku kampania ma mieć jeszcze większy obszar działania. „Jako żołnierze, krwiodawcy, weterani chcemy wspierać ideę honorowego krwiodawstwa, dzielić się krwią ze społeczeństwem", zapewnia st. chor. Sebastian Jaszak, trzeci koordynator inicjtywy. ■

Organizatorom akcji udało się pokazać wojsko w niecodzienny sposób i poruszyć serca wielu ludzi. Na poszczególnych zbiórkach pojawiały się osoby, które w tym celu musiały pokonać nawet kilkadziesiąt kilometrów.

MAGDALENA MIERNICKA

Jak zdobyć ostrogi?

Chociaż żołnierze Wielonarodowej Batalionowej Grupy Bojowej NATO nie mogą narzekać na brak zajęć, znajdują czas, aby w Polsce kultywować swoje rodzime tradycje.

Rzeczywiście mamy ostatnio bardzo dużo zajęć. Szczególnie początek miesiąca był intensywny. Oprócz ćwiczeń na poligonie, braliśmy też udział w wielu uroczystościach", mówi ppłk Steven E. Gventer, dowódca grupy batalionowej. „Zaczęliśmy od Biegu Ostrogi, 4 lipca świętowaliśmy Dzień Niepodległości, a kilka dni później Polskę odwiedził prezydent Donald Trump, więc pojechaliśmy na spotkanie z nim do Warszawy".

TRADYCJE KAWALERYJSKIE

Na początku miesiąca na poligonie w Bemowie Piskim odbył się Bieg Ostrogi. Zorganizowali go stacjonujący w Polsce żołnierze amerykańskiego 2 Pułku Kawalerii, którzy słyną z tego, że oprócz tradycyjnego munduru noszą kapelusze i… ostrogi. „Ostroga przy mundurze nie jest tylko dekoracją, lecz także oznaką tego, że żołnierz rzeczywiście jest bardzo dobrym kawalerzystą. Mogą ją nosić tylko ci, którzy na to zasłużą", mówi sfc. Patricia Deal, rzecznik prasowy grupy batalionowej. Sposobem na zdobycie tego kawaleryjskiego odznaczenia jest właśnie ukończenie Biegu Ostrogi. Jak mówi ppłk Steven E. Gventer, jest to wieloletnia tradycja. „Kiedyś kawalerzyści, zanim ruszyli do boju, musieli się do tego odpowiednio przygotować – przede wszystkim nauczyć się dobrze jeździć i oporządzać konie. Dopiero kiedy zdobyli te umiejętności, mogli zacząć korzystać z ostróg", opowiada. „Tak samo my, którzy dziedziczymy ich tradycje, zanim włożymy ostrogi, udowadniamy, że na to zasługujemy".

Chociaż wydarzenie jest nazwane biegiem, tak naprawdę ma niewiele wspólnego z tą dyscypliną sportu. Chyba że porównamy je do biegu ekstremalnego. Żołnierze w ciągu kilkunastu godzin muszą pokonać trasę długości 30 mil, czyli prawie 60 km,

JIMMY GOLDEN/US ARMY (3)

Decyzja o rozlokowaniu na wschodniej flance Wielonarodowej Batalionowej Grupy Bojowej NATO zapadła podczas szczytu sojuszu północnoatlantyckiego, który w zeszłym roku odbył się w Warszawie. W Bemowie Piskim stacjonują kawalerzyści z 2 Szwadronu 2 Pułku Kawalerii US Army, Brytyjczycy z pułku lekkiej kawalerii (Light Dragoons) oraz bateria obrony przeciwlotniczej wydzielona z rumuńskiego 205 Batalionu Artylerii Przeciwlotniczej „Blue Scorpions".

a w trakcie odwiedzać poszczególne stacje, gdzie czekają na nich różne zadania. Oprócz doskonałej orientacji w terenie wojskowi musieli się wykazać znajomością taktyki czy umiejętnością prowadzenia patroli oraz pokonywania przeszkód terenowych. Rozkładali na czas karabiny M4, M240 i M249, przygotowywali do użytku zestawy radiowe, udzielali pomocy rannym. Na dodatek do zaliczenia konkurencji niezbędna była znajomość historii wojskowości. Za każdą złą odpowiedź lub jej brak czekała kara – dodatkowe pompki.

Zanim rywalizacja rozpoczęła się na dobre, żołnierzy czekał sprawdzian kondycyjny. „Wstaliśmy o 4 rano i od razu musieliśmy wziąć udział w teście sprawnościowym. Biegaliśmy, robiliśmy pompki, a potem ruszyliśmy w drogę. Mnie pokonanie tych 30 mil zajęło około 19 godzin", mówi 2Lt Thomas Lynch z US Army. „Na pewno było to wyzwanie, ale dobrze się przy tym bawiłem. Poza tym tu chodziło o ostrogi. To, że je zdobędę, bardzo mnie motywowało".

OSTROGA PRZY MUNDURZE NIE JEST TYLKO DEKORACJĄ, LECZ OZNAKĄ TEGO, ŻE ŻOŁNIERZ RZECZYWIŚCIE JEST BARDZO DOBRYM KAWALERZYSTĄ

Razem z żołnierzami US Army o ostrogi walczyli Polacy, Brytyjczycy i Rumuni – w sumie 600 osób. Wszyscy zawodnicy zostali podzieleni na drużyny. Każdą tworzyli wojskowi nie tylko rożnych narodowości, lecz także stopni. „W ten sposób chcieliśmy zachęcić żołnierzy do współpracy, a młodszym żołnierzom umożliwić naukę dowodzenia", mówi ppłk Gventer. „I chyba nam się to udało, bo prawie wszyscy, którzy wystartowali, ukończyli bieg".

A czy było coś, co sprawiło trudność? „Zadania nie były ciężkie, nie podobało mi się tylko pokonywanie przeszkody wodnej, bo nie lubię mieć mokrych butów", żartuje Lynch. „Żołnierzom tak dobrze poszło, że nasz dowódca musiał podpisywać mnóstwo dyplomów. Trzeba było też →

TOMASZ MIELCZAREK/7 BOW

Z okazji Dnia Niepodległości Stanów Zjednoczonych odbyły się w wielu miejscach w Polsce tradycyjne pikniki. Na zdjęciu festyn na terenie amerykańskiej bazy rakietowej w Redzikowie koło Słupska.

zamówić dodatkowe ostrogi, bo nie mieliśmy ich aż tyle", mówi sfc. Patricia Deal.

ŚWIĘTOWANIE NA SPORTOWO

Najważniejszym świętem państwowym Stanów Zjednoczonych jest przypadający 4 lipca Dzień Niepodległości. Przyjęcie deklaracji niepodległości USA, której jeden z ważniejszych zapisów dotyczył wypowiedzenia przez 13 brytyjskich kolonii posłuszeństwa królowi Jerzemu III, jest uważane za początek istnienia USA. Nic więc dziwnego, że 241. rocznicę narodzin ojczyzny świętowali także żołnierze z Bemowa Piskiego.

„W Stanach Zjednoczonych 4 lipca jest dniem wolnym od pracy. Wszyscy się cieszą, bawią. Odbywają się liczne parady i koncerty", mówi sfc. Deal. „Chcemy, aby nasi żołnierze tego dnia poczuli się jak w domu, dlatego przygotowaliśmy dla nich tradycyjny piknik".

Główną atrakcją wydarzenia był turniej sportowy. Wojskowi rywalizowali zarówno w tak popularnych dyscyplinach, jak siatkówka i koszykówka, jak i tych wywodzących się z poszczególnych państw. Dlatego odbył się także mecz rumuńskiego tenisa ziemnego czy amerykańskiego futbolu. Poza tym żołnierze przeciągali liny, dźwigali ogromne opony i podnosili ciężary. Tego dnia w specjalnej sztafecie zmierzyli się również dowódcy i pierwsi sierżanci każdej kompanii.

Deal podkreśla, że razem z US Army świętowali także żołnierze armii brytyjskiej, którzy również stacjonują w Polsce w ramach Wielonarodowej Batalionowej Grupy Bojowej NATO. „To dla nas bardzo ważne, że tego dnia byliśmy razem. Nasza historia nie jest łatwa, ale dziś jesteśmy sojusznikami i razem służymy. To świadczy o sile NATO", podkreśla rzeczniczka.

Podobną opinię wyraził dowodzący brytyjską kompanią A pułku Light Dragoons mjr Noel Claydon-Swales. „Jestem niezmiernie dumny z tego, że mogę służyć obok amerykańskich żołnierzy. Dzień Niepodległości dla mnie oznacza narodziny nowego narodu".

WIZYTA W WARSZAWIE

Żołnierze Wielonarodowej Batalionowej Grupy Bojowej NATO przyjechali także do Warszawy, aby przywitać prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa. Najpierw uczestniczyli w uroczystości na placu Krasińskich, gdzie wygłosił on swoje pierwsze publiczne wystąpienie w Europie, a następnie udali się na błonia stadionu PGE Narodowy, na polsko-amerykański wojskowy piknik. Podczas imprezy Amerykanie zaprezentowali m.in. dwa pojazdy Stryker – wóz wsparcia ogniowego i transporter piechoty. Brytyjczycy z kolei przywieźli do Warszawy pojazdy rozpoznawcze Jackal, a Rumuni – systemy obrony przeciwlotniczej Oerlikon. ■

SIERŻ. MIROSŁAW GODEK

Data i miejsce urodzenia: 8 grudnia 1987 roku, Strzyżów.

W wojsku służy od: 14 listopada 2006 roku.

Edukacja wojskowa: Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Jednostka wojskowa: 6 Batalion Powietrznodesantowy w Gliwicach, 6 Brygada Powietrznodesantowa.

Zostałem żołnierzem, bo: od zawsze marzyłem, by nosić mundur. Już jako nastolatek poważnie interesowałem się wojskiem, co zadecydowało o zgłoszeniu się do służby.

Moje największe osiągnięcie: W 2010 roku ukończyłem na czołowym miejscu kurs taktyczno-wytrzymałościowy dla dowódców pododdziałów rozpoznawczych wojsk lądowych Patrol. A w 2011 roku otrzymałem tytuł Podoficera Roku w 6 Batalionie Powietrznodesantowym.

Najlepsza broń: wszystko zależy od upodobań. W moim przypadku sprawdza się etatowa broń – kbs Beryl kalibru 5,56 mm oraz 9 mm WIST-94.

Przełomowe wydarzenie w życiu: narodziny synów.

Misje i ćwiczenia: wziąłem udział w V zmianie PKW ISAF Afganistan. Kilkukrotnie uczestniczyłem w zagranicznych ćwiczeniach wojskowych, np. „Swift Response" w Niemczech.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: jego funkcjonalność oraz kamuflaż, który bardzo dobrze się sprawdza podczas prowadzenia działań zarówno w terenie lesistym, jak i podmokłym.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: policjantem lub strażakiem, wtedy również nosiłbym mundur i stałbym na straży porządku publicznego oraz pomagał innym w potrzebie.

Motto życiowe: chroń to, co masz, i walcz o to, czego nie masz.

Moja książka życia: cały czas na nią czekam.

Niezapomniany film: lubię filmy, które wywołują emocje. Najbardziej poruszyły mnie: „Zielona mila", „Nietykalni", „127 godzin" oraz „Kapitan Phillips".

Co robię po służbie: większość czasu poświęcam rodzinie. W wolnych chwilach jako instruktor strzelectwa i narciarstwa spędzam czas na strzelnicy i w górach (nie tylko w zimie). Fascynują mnie piesze wędrówki i sztuka przetrwania. Lubię również jeździć na rowerze i biegać.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: zdecydowanie wyposażenie. Potrzebna jest modernizacja sprzętu, a nawet jego wymiana na nowszy, bardziej przemyślany, dostosowany do aktualnych wymogów, który ułatwiłby wykonywanie w pełni zadań w kraju i poza jego granicami.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. 6 BPD

ARSENAŁ

/ **PRZEGLĄD**

Katar utrzymuje pod bronią około 17 tys. ludzi, w tym pięciotysięczną Gwardię Emira. Co ciekawe, tylko 30% spośród żołnierzy jest obywatelami emiratu.

TADEUSZ WRÓBEL

UZBROJENI PO ZĘBY

Niewielki, ale bardzo bogaty Katar jest jednym z największych importerów broni na świecie.

SUZANNE RINGLE/US CENTRAL COMMAND

Prezydent Donald Trump 9 czerwca 2017 roku wezwał Katar, by zaprzestał finansowania terroryzmu. Jednak tydzień później jego administracja zgodziła się na sprzedaż poddanemu ostracyzmowi ze strony arabskich sąsiadów, w tym Arabii Saudyjskiej, państwu uzbrojenia o wartości 21 mld dolarów. Ponad połowę tej kwoty, 12 mld dolarów, kosztować będzie 36 samolotów wielozadaniowych F-15QA. Katarski ambasador w Waszyngtonie, szejk Meszal bin Hamad Al-Thani, podkreślił na Twitterze, że dzięki umowie powstanie 60 tys. miejsc pracy w 42 stanach USA.

WSZYSTKO CO NAJLEPSZE

Imponująca pod względem kwoty transakcja dotyczy zaledwie połowy „piętnastek", które chcieliby mieć Katarczycy. W listopadzie 2016 roku Defense Security Cooperation Agency informowała o 72 egzemplarzach F-15QA za 21,1 mld dolarów. Decyzja administracji prezydenta Trumpa nie powinna dziwić, gdyż za czasów jego poprzednika, Baracka Obamy, który wiedział o niepokojących działaniach i powiązaniach władz w Dosze, emirat bez żadnych problemów kupował najnowocześniejsze amerykańskie uzbrojenie.

Najbardziej obfity w kontrakty był rok 2014, gdy Katarczycy kupili za 11 mld dolarów dziesięć baterii systemu obrony powietrznej Patriot z ponad tysiącem pocisków, 24 śmigłowce szturmowe AH-64D Block III Longbow (2,4 mld dolarów) i przeznaczonych dla nich 576 przeciwpancernych pocisków kierowanych Hellfire. Inne większe transakcje z 2014 roku dotyczyły 500 ppk Javelin i trzech samolotów wczesnego ostrzegania Boeing 737 AEW&C (1,8 mld dolarów). W następnym roku Katarczycy zamówili cztery samoloty transportowe C-17 Globemaster III, podwajając tym samym flotę posiadanych maszyn tego typu, i 295 pocisków przeciwlotniczych Stinger dla śmigłowców AH-64.

DSCA informowała w ostatnich latach, że Katar jest zainteresowany zakupem w USA m.in. 16 śmigłowców wielozadaniowych MH-60R Seahawk i 12 sztuk MH-60S Seahawk za ponad 3 mld dolarów, 12 egzemplarzy UH-60M Black Hawk za około 1,1 mld dolarów, radaru wczesnego ostrzegania A/N FPS-132 Block V za 1,1 mld dolarów oraz dwóch baterii (12 wyrzutni ze 150 pociskami) systemu obrony przeciwrakietowej THAAD za 6,5 mld dolarów.

Emirat nie ogranicza się do zakupów broni w Stanach Zjednoczonych. Spore zamówienia trafiły w ostatnich latach do europejskich firm zbrojeniowych. W maju 2015 roku Katarczycy zamówili we Francji 24 samoloty wielozadaniowe Rafale za 6,3 mld euro. Nabyli w tym kraju też duże ilości pocisków rakietowych powietrze–powietrze, przeciwokrętowych i przeciwpancernych. W czerwcu ubiegłego roku włoska Fincantieri podpisała umowę o wartości 3,8 mld euro na budowę siedmiu okrętów, czterech korwet, dwóch patrolowców i desantowca. Wraz z uzbrojeniem i wyposażeniem do nich Włosi zarobią około 5 mld euro. Niemcom udało się sprzedać Katarowi 66 czołgów Leopard 2A7, a także 24 samobieżne haubice PzH 2000 za 1,9 mld euro oraz kilkadziesiąt opancerzonych pojazdów Fennek i Dingo 2. Pojawiły się informacje, że Katarczycy mogą kupić nawet do 200 czołgów. Do lotnictwa Kataru trafiły 24 szwajcarskie samoloty szkolne Pilatus PC-21. Nie podano kwoty kontraktu podpisanego w lipcu 2012 roku, ale trzy lata wcześniej ZEA zapłaciły za 25 tych maszyn około 0,5 mld dolarów.

NIEUSTAJĄCE ZAKUPY

Katar utrzymuje pod bronią około 17 tys. ludzi, w tym pięciotysięczną Gwardię Emira.

K M W

KATAR NIE OGRANICZA SIĘ DO ZAKUPÓW BRONI W USA. SPORE ZAMÓWIENIA TRAFIŁY DO EUROPEJSKICH FIRM ZBROJENIOWYCH

Co ciekawe, tylko 30% spośród żołnierzy jest obywatelami emiratu. Wynika to z tego, że z 2,7 mln mieszkańców Kataru tylko 313 tys. ma obywatelstwo tego państwa. Stąd nominalny produkt krajowy brutto na głowę wynosi w emiracie około 70 tys. dolarów.

Wojska lądowe są zorganizowane w brygadę pancerną, mającą po jednym batalionie czołgów, piechoty zmechanizowanej i przeciwpancernym oraz kompanię moździerzy. Inne większe pododdziały wojsk lądowych to cztery bataliony zmechanizowane i dywizjon (batalion) artylerii. Do tego dochodzi licząca trzy bataliony piechoty Brygada Gwardii Emira.

Obecnie trwa przezbrajanie batalionu czołgów, w którym francuskie wozy AMX-30 są zastępowane przez leopardy. Do Kataru trafiła już ponad połowa kupionych w Niemczech pojazdów. Poza tym armia emiratu posiada 36 wozów wsparcia ogniowego Piranha II uzbrojonych w armatę kalibru 90 mm i 12 sztuk AMX-10RC z armatą kalibru 105 mm oraz ponad 180 kołowych transporterów opancerzonych VAB, w tym w wersjach z 81-milimetrowym moździerzem i wyrzutniami ppk HOT. Prawdopodobnie w magazynach są starsze pojazdy pancerne, jak bojowe wozy piechoty AMX-10P czy transportery AMX-VCI.

W batalionie artylerii niemieckimi PzH 2000 postanowiono zastąpić francuskie haubice AMX F3. Oprócz dział samobieżnych katarska armia dysponuje tuzinem holowanych haubic G5 kalibru 155 mm produkcji południowoafrykańskiej oraz niewielką liczbą wyrzutni rakietowych – sowieckich BM-21 i brazylijskich Astros II. Katarczycy wykazywali zainteresowanie zakupem siedmiu amerykańskich wyrzutni HIMARS. Poza znajdującym się w trakcie dostaw systemem Patriot katarskiego nieba bronią wyrzutnie rakiet Blowpipe, Mistral, Rapier, Roland i Stinger.

Zanim dotrą samoloty F-15QA czy Rafale, główną siłę bojową katarskiego lotnictwa wojskowego stanowi eskadra 12 myśliwców Mirage 2000-5, w tym są trzy szkolno-bojowe. Oprócz tego jest jeszcze eskadra wsparcia bezpośredniego, latająca na sześciu samolotach Alpha Jet. Taktyczne lotnictwo transportowe poza C-17 ma jeszcze cztery C-130J-30 Hercules. Flotę do przewozu VIP-ów tworzą dwa samoloty Boeing 707 i jeden Boeing 727. W związku z wielką rozbudową lotnictwa bojowego w planach jest zakup dwóch samolotów tankowania powietrznego Airbus A330 MRTT. Katar ma wojskowe śmigłowce SA 342 Gazelle (14), AW 139 (21), S-92 (dwa do przewozu VIP-ów) i Sea King Commando (12). Katarczycy interesują się jednak nie tylko śmigłowcami firmy Sikorsky, lecz także maszynami NH90.

Obecnie największymi jednostkami sił morskich położonego na półwyspie Kataru są małe okręty rakietowe – cztery typu Vita i trzy typu Combattante III. Ich główną bronią są pociski przeciwokrętowe MM40 Exocet. W służbie jest sześć ponadstutonowych patrolowców typu Barzan. Katarczycy dysponują też kilkudziesięcioma łodziami patrolowymi rożnych typów, o wyporności kilku lub kilkunastu ton.

Pomimo zbrojeń sytuacja Kataru w razie wojny z Arabią Saudyjską byłaby bardzo trudna. Kraj ten zajmuje piaszczysty półwysep o długości 160 km. Choć emirat posiada wielkie zasoby ropy naftowej i gazu ziemnego, jest całkowicie uzależniony od importowanej żywności, a jej dostawy przeciwnik mógłby skutecznie odciąć. Podczas wojny problemem mógłby być też niedostatek wody pitnej, gdyby zniszczone zostały instalacje odsalające wodę morską. ■

↘ Więcej o Katarze na str. 84

TADEUSZ WRÓBEL

Jubileuszowy salon

W Kielcach 5–8 września 2017 roku odbędzie się XXV Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego, najważniejsze wydarzenie branży obronnej w Europie Środkowo-Wschodniej.

Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach zorganizowano po raz pierwszy w 1993 roku. Wówczas było 85 wystawców z pięciu państw. Od tego czasu impreza zdobyła pozycję najważniejszego wydarzenia w branży obronnej w Europie Środkowo-Wschodniej, a także jednego z największych, obok Eurosatory w Paryżu i DSEI w Londynie, na całym Starym Kontynencie. Jedyna tego typu impreza w Polsce przyciąga do Kielc gości z całego świata. Na ubiegłorocznym MSPO zaprezentowało się 614 wystawców, w tym ponad 260 zagranicznych.

W 2016 roku w Kielcach licznie były reprezentowane firmy ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Norwegii, Izraela oraz Chin. Obecni byli najwięksi producenci uzbrojenia, jak Kongsberg Defence & Aerospace, Nammo, Bell Helicopter Textron, MBDA, ThyssenKrupp Marine Systems, Raytheon, Lockheed Martin, Boeing, Elbit, Rafael, Rheinmetall, General Dynamics European Land Systems, BAE Systems czy Leonardo. W tym roku liczba wystawców będzie jeszcze większa.

KOREAŃSKI POTENCJAŁ

Od pewnego czasu ważnym elementem MSPO jest wystawa narodowa zaproszonego państwa, które ma okazję pokazać ofertę swego przemysłu obronnego. Dotychczas swe zbrojeniówki zaprezentowały: Norwegia,

MSPO

GOŚCIEM SPECJALNYM WYSTAWY BĘDZIE REPUBLIKA KOREI, KTÓREJ PRZEMYSŁ OBRONNY OFERUJE NOWOCZESNE SYSTEMY UZBROJENIA DLA WSZYSTKICH RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Francja, Włochy, Turcja, Niemcy, Izrael, USA, Szwecja, państwa Grupy Wyszehradzkiej i Wielka Brytania. W tym roku specjalnym gościem kieleckiego salonu będzie Republika Korei. Przed półwieczem to azjatyckie państwo nie produkowało żadnego uzbrojenia i broń dla tamtejszych sił zbrojnych importowało, głównie ze Stanów Zjednoczonych.

Pierwsze zakłady zbrojeniowe powstały tam przy wsparciu Amerykanów dopiero w latach siedemdziesiątych XX wieku. W ciągu następnych kilkudziesięciu lat Korea Południowa stworzyła nowoczesną zbrojeniówkę, która jest w stanie zaspokoić większość potrzeb kilkusettysięcznych sił zbrojnych. Koreańczycy produkują sprzęt pancerny i artyleryjski własnej konstrukcji, w tym czołgi, bojowe wozy piechoty i samobieżne haubice. Ich podwozia są wykorzystywane też w polskich krabach.

Korea Południowa nie ogranicza się do produkcji uzbrojenia i sprzętu wojskowego na potrzeby własnej armii. Tamtejsze firmy bardzo sprawnie działają na światowych rynkach handlu bronią i zdobywają coraz większe kontrakty. Wzrost eksportu południowokoreańskiego uzbrojenia jest gigantyczny – ze 144 mln dolarów w 2002 roku do ponad 3,5 mld dolarów w 2014. Według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem, sprzedaż broni w latach 2012––2016 zapewniła Korei Południowej 13. miejsce wśród największych jej eksporterów na świecie. Koreańska wystawa zapowiada się zatem bardzo interesująco.

PO PIERWSZE, INNOWACYJNOŚĆ

Jak co roku, swoją myśl techniczną zaprezentuje w Kielcach również polskie wojsko. Wystawa sił zbrojnych będzie w hali A, części hali B oraz na terenie zewnętrznym. Tegoroczna ma tytuł „Innowacyjność, technika, skuteczność". Partnerem strategicznym wydarzenia jest Polska Grupa Zbrojeniowa. Z okazji jubileuszu dwudziestopięciolecia MSPO zaplanowano dodatkowe dwa dni otwarte dla publiczności pod hasłem „Tysiąclecie oręża polskiego".

XXIV MSPO odwiedziło 22 tys. gości, w tym liczne delegacje zagranicznych resortów obrony. Specjaliści przyjeżdżają co roku do Kielc nie tylko, by obejrzeć wystawy poszczególnych firm, lecz także ze względu na liczne seminaria i kongresy, spotkania oraz pokazy towarzyszące targom, które są idealną okazją do wymiany doświadczeń oraz poszerzenia wiedzy o najnowocześniejszych rozwiązaniach techniki wojskowej.

Prestiż MSPO podnosi fakt, że od wielu lat impreza odbywa się pod honorowym patronatem i z udziałem prezydenta RP. Głowa państwa przyznaje nagrodę jednemu z prezentowanych w Kielcach wyrobów. W 2016 roku prezydent Andrzej Duda uhonorował nią konsorcjum złożone z firmy Mesko SA (lider), Wojskowej Akademii Technicznej oraz Centrum Rozwojowo-Wdrożeniowego Telesystem-Mesko Sp. z o.o. za przenośny przeciwlotniczy zestaw rakietowy Piorun. Równie cenne są przyznawane co roku podczas MSPO wyróżnienia ministra obrony narodowej, nagroda szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego oraz Defendery. Własne nagrody przyznają też komendanci główni Policji, Straży Granicznej i Państwowej Straży Pożarnej oraz Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych RP. MSPO towarzyszą bowiem Międzynarodowe Targi Logistyczne, na których jest prezentowany sprzęt dla różnych służb mundurowych oraz instytucji związanych z obronnością i bezpieczeństwem państwa. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Płynne pancerze

Być może Polacy, podobnie jak 120 lat temu, znów będą pionierami w dziedzinie materiałów kuloodpornych.

Sto dwadzieścia lat po opatentowaniu w Stanach Zjednoczonych przez samouka z Polski Kazimierza Żeglenia „kuloodpornej" tkaniny na bazie jedwabiu, z której można było wykonać ochronny strój, oraz po ponad pół wieku dominacji jej następcy – włókna syntetycznego kevlar, wynalezionego przez inżynierów z firmy DuPont, naukowcy są u progu opracowania nowego materiału do tworzenia odzieży balistycznej. Tym razem włókno ma zastąpić płyn.

Polacy mogą z dumą mówić, że kamizelki kuloodporne to „nasz pomysł". Choć wydaje się to nieprawdopodobne, na przełomie XIX i XX wieku dwóch rodzimych naukowców – obaj wywodzili się z Galicji, z tym że jeden w niej mieszkał i pracował aż do śmierci, a drugi w wieku 21 lat wyemigrował do Stanów Zjednoczonych – zakończyło z sukcesem prace nad modyfikowanym włóknem jedwabiu. Jan Szczepanik i Kazimierz Żegleń, bo o nich mowa, mieli ten sam cel ulepszenia tkaniny – uczynienie jej odporną na rozerwanie, tak aby była w stanie zatrzymać pistoletowe kule. Trzeba w tym miejscu podkreślić, iż to Żegleń jako pierwszy, bo w 1897 roku, opatentował w Stanach Zjednoczonych swój wytwór. Szczepanik jednak (nazywany już wówczas, z racji swoich licznych wynalazków, polskim Edisonem) w tym samym czasie pracował nad kuloodpornym jedwabiem, tyle że patent złożył dopiero w 1901 roku. I to on, a nie Żegleń, odniósł ze swoim wyrobem komercyjny sukces. Materiał jego autorstwa kupił m.in. król Hiszpanii Alfons XIII, co uratowało mu życie, a Szczepanikowi przyniosło sławę. Wynalezioną przez Polaka tkaniną hiszpański władca kazał wyłożyć swoją karocę. Gdy w 1902 roku wybuchła koło niej bomba, monarcha odniósł tylko niegroźne obrażenia. Ocalenie króla przypisano naszemu rodakowi.

Z kuloodpornym jedwabiem (modyfikacji dokonywano przez moczenie go we „wzmacniającym" płynie, a kamizelkę szyto z kilkunastu warstw materiału) było, niestety, tak jak z innymi wynalazkami – pokonały go inne, lepsze pomysły. A w tym konkretnym wypadku, dynamiczny rozwój broni palnej. Polska tkanina mogła bowiem zatrzymać pociski wystrzeliwane z ówczesnego (przełom XIX i XX wieku) rewolweru kalibru 8 mm. Nie radziła sobie już jednak z nowoczesną amunicją 9-milimetrową, która zdominowała broń strzelecką w połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku.

Na kolejne „rewolucyjne" włókno, zdolne zatrzymywać kule, trzeba było poczekać aż do połowy lat sześćdziesiątych, kiedy to inżynierowie z koncernu DuPont wynaleźli kevlar. To wręcz symboliczne, że na czele zespołu naukowców, którym udało się go opracować, stała inżynier polskiego pochodzenia Stephanie Louise Kwolek (jej rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych na początku XX wieku). I choć zawdzięczamy jej również tkaniny takie jak lycra i spandex, to miejsce w historii wojskowości zawdzięcza właśnie polimerowi, który pierwotnie miał jedynie zastąpić metalowe wzmocnienia w oponach czymś porównywalnie mocnym a lżejszym. I tak kevlar oraz jego odmiany zdominowały rynek produktów kuloodpornych na całym świecie na prawie pół wieku. Wytwarza się z nich bowiem nie tylko odzież (wszelkie kamizelki), lecz także maty odłamkoodporne do rozmaitych pojazdów, także czołgów, oraz samolotów, wzmacnia się nimi też ściany strategicznych pomieszczeń itd.

PŁYNNE WKŁADKI KULOODPORNE ABSORBUJĄ ENERGIĘ UDERZENIA POCISKU POPRZEZ ROZPROWADZANIE JEJ PO CAŁEJ POWIERZCHNI PŁYNU

Wszystko wskazuje jednak na to, że rządy kevlaru powoli dobiegają końca i ponownie będziemy świadkiem technologicznej, „kuloodpornej" rewolucji. Naukowcy i inżynierowie na całym świecie pracują bowiem nad nowymi materiałami, z których będzie można wykonać jeszcze lepsze kamizelki kuloodporne czy pancerze pojazdów. Ale tym razem nie są to inne włókna. „Nowe" jest bowiem płynne. Ciecz nienewtonowska (Shear Thickening Fluid – STF) to w ogromnym skrócie płyn, który w stanie spoczynku zachowuje się jak woda, ale gdy tylko podziałamy na niego jakąś energią, np. uderzymy pięścią, zachowuje się jak ciało stałe – stawia opór i gęstnieje. Ciecze nienewtonowskie są znane naukowcom od dekad (jedną z nich każdy może zrobić w domu z mąki ziemniaczanej i wody, połączonych w odpowiedniej proporcji). Jednak dzięki rozwojowi w ostatnich latach technologii stosowanych w przemyśle chemicznym i pojawieniu się nowych syntetyków realne stało się sporządzenie takiego STF, który będzie reagował na energię tak szybko i z taką siłą, że zatrzyma pociski karabinowe i pistoletowe.

Czemu naukowców kusi „płynna" kamizelka kuloodporna, skoro te wykonane z kevlaru dość dobrze spełniają swoje zadania? Kevlar oprócz wszystkich swoich zalet ma jednak tę wadę, że wykonana z niego odzież jest dość sztywna. Oznacza to, że nie można z niego zrobić odpornego stroju ochraniającego części najbardziej narażone na uraz, jak szyja, czy te ruchome, jak stawy. Wkładki wykonane z cieczy byłyby tej wady pozbawione. Naukowcy oceniają też, że przy tych samych parametrach ochronnych byłyby również lżejsze, co ma ogromne znaczenie w przypadku pojazdów, ważących setki kilogramów. Ostatnim argumentem za stosowaniem płynnych wkładek kuloodpornych jest sposób absorpcji energii uderzenia pocisku. Płyn rozprowadza ją po całej swojej powierzchni, podczas gdy kevlar, tak jak i inne produkty tego typu, musi się jej poddać i odkształca się w kierunku obiektu ataku na kilka centymetrów. Wtedy może sie zdarzyć, że choć materiał zatrzyma kulę, to ochraniany dozna śmiertelnych obrażeń wewnętrznych.

Nad kuloodpornymi płynami pracują naukowcy na całym świecie, w tym, jakże by inaczej, także polscy. Wśród najbardziej zaawansowanych w swoich pracach są inżynierowie z konsorcjum składającego się z Instytutu Technologii Bezpieczeństwa Moratex, Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia z Zielonki oraz Politechniki Warszawskiej. Prototyp kamizelki wyposażonej w płynne wkłady kuloodporne zaprezentowali oni publicznie dwa lata temu. Czytelnicy magazynu „Focus" przyznali mu tytuł najbardziej obiecującego wynalazku wśród polskich innowacji technicznych 2015 roku i Soczewkę Focusa 2015. Obecnie trwają prace nad uprzemysłowieniem – czyli produkcją seryjną – płynnych wkładów. Być może więc Polacy, podobnie jak 120 lat temu, znów będą kuloodpornymi pionierami. ■

PGZ
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

Priorytet: skuteczna ochrona.

Przedsiębiorstwo Sprzętu Ochronnego MASKPOL SA
Konieczki 42-140 Panki
tel. 34 310 93 00, fax 34 317 98 31
maskpol@maskpol.com.pl

MASKPOL®
www.maskpol.com.pl

RAFAŁ
CIASTOŃ

Jak kulą w kulę...

Obrona antyrakietowa (czy też bardziej precyzyjnie – antybalistyczna) stała się już rzeczywistością, a systemy tego rodzaju rozwijają USA, Rosja czy Izrael, ale też kilka krajów Europy Zachodniej, Chiny, Indie i Korea Południowa. Pierwsza rekomendacja dotycząca tych systemów pojawiła się jednak w USA już w 1945 roku.

Delegacja oficerów USAAF, która miała ocenić skutki użycia pocisków V-2 przeciw Wielkiej Brytanii, przybyła do Europy 4 lipca 1945 roku. Na początku kolejnego roku lotnictwo USA, wciąż jeszcze podporządkowane armii, zainicjowało programy „Thumper" i „Wizard", których celem była obrona przed pociskami poruszającymi się z prędkością do 4 tys. mil na godzinę, na wysokości do 500 tys. stóp. Opublikowany w maju 1946 roku raport komisji Josepha Stilwella zawierał stwierdzenie, iż rozwój pocisków balistycznych jest nieunikniony, możliwe, że będą one przenosić głowice atomowe, a ich niszczenie z użyciem dotychczasowych środków jest niemożliwe. W 1955 roku, po przeprowadzeniu 50 tys. symulowanych przechwyceń celów balistycznych za pomocą rakiet, w Bell Telephone Laboratories uznano, że jest to zadanie technologicznie wykonalne. Wcześniej wielu naukowców twierdziło, że jest to jak próba trafienia w pocisk karabinowy za pomocą innego pocisku.

W tym samym roku wznowiono zawieszone w 1949 roku prace nad systemem antybalistycznym. Efektorem miał być pocisk Nike-Zeus (wersje A i B), a od 1963 roku Nike-X. Od 1953 roku prace nad systemami antybalistycznymi prowadził także Związek Radziecki. W 1961 roku dokonano pierwszego przechwycenia za pomocą pocisku V-1000, wyposażonego w konwencjonalną głowicę fragmentującą, pięć lat później zaś sekretarz obrony USA Robert McNamara poinformował, iż ZSRR rozmieszcza system antybalistyczny oparty na pociskach A-350 (Galosh), uzbrojonych w głowice jądrowe o mocy 2–3 MT. Podczas spotkania prezydenta USA Lyndona B. Johnsona z premierem ZSRR Aleksiejem Kosyginem w Glassboro w czerwcu 1967 roku Amerykanie próbowali przekonywać Rosjan do zaprzestania prac jako prowokujących dalszy wyścig zbrojeń. Trzy miesiące później Johnson zdecydował o rozmieszczeniu systemu Sentinel z pociskami Spartan (dawny Nike-X) i Sprint, którego zadaniem miała być obrona całego terytorium USA przed ograniczonym atakiem rakietowym. Powodem były obawy związane z ZSRR, a także spodziewane wówczas pojawienie się w linii pierwszego chińskiego pocisku międzykontynentalnego…

Po objęciu urzędu przez Richarda Nixona Sentinel zmienił się w Safeguarda, w 1972 roku podpisano układ ABM, a dwa lata później dodatkowy protokół do niego, co zastopowało dalsze prace nad systemami antybalistycznymi. W 1983 roku pojawiła się Reaganowska idea Inicjatywy Obrony Strategicznej, czyli Gwiezdnych Wojen, zaś operacja „Pustynna burza" uwypukliła potrzebę rozwoju systemów przeciwrakietowych pola walki. Układ ABM przestał obowiązywać w połowie 2002 roku. Po latach, wraz z rozwojem technologii, powraca także idea zwalczania różnego typu pocisków rakietowych wiązką energii. ■

RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ **BLISKI WSCHÓD**

TOMASZ OTŁOWSKI

KATAROWI PRZTYCZKA W NOS

W państwach regionu Zatoki Perskiej mówi się, że Katarczycy od zbyt dawna „próbowali tańczyć na wielu weselach naraz". A w realiach Bliskiego Wschodu nie jest to możliwe.

PERRY ASTON/USAF

Rok 2017 ma szansę przejść do historii jako czas wyjątkowych i zaskakujących zmian w środowisku międzynarodowym szeroko pojmowanego Bliskiego Wschodu. Co prawda, ta część świata od dawna jest jedną z najbardziej burzliwych i niestabilnych, a toczące się tam procesy nieraz przyjmowały zaskakujący obrót, to jednak wydarzenia ostatnich kilkunastu miesięcy zdają się bić na głowę wszelkie dotychczasowe rekordy. Dość wymienić w tym kontekście takie fakty, jak eskalacja wojny w Syrii oraz bezpośrednie wojskowe zaangażowanie w tym kraju już niemal wszystkich regionalnych i pozaregionalnych mocarstw (wraz z rosnącym ryzykiem ich bezpośredniej konfrontacji na syryjskich pustyniach) czy też erozję dotychczasowych sojuszy i stopniowe wykluwanie się nowych osi bliskiej współpracy (często jeszcze niedawno niemożliwych do wyobrażenia).

Do zaskakujących i nieprzewidywalnych zdarzeń w tamtej części świata należy też bez wątpienia głęboki kryzys polityczny, w jakim dość nieoczekiwanie znalazła się w czerwcu 2017 roku grupa arabskich krajów znad Zatoki Perskiej, skupionych w Radzie Państw Zatoki (Gulf Cooperation Council – GCC). Niemal z dnia na dzień jedno z państw członkowskich tej organizacji, Katar, znalazło się faktycznie poza marginesem swego dotychczasowego otoczenia międzynarodowego. Ostracyzm ten nie miał wyłącznie symbolicznego charakteru – dotknął fundamentów funkcjonowania państwa, gospodarki i społeczeństwa: zablokowano ruch powietrzny i morski, odcięto dostawy towarów do Kataru i eksport surowców z tego kraju, zerwano relacje dyplomatyczne, polityczne, ekonomiczne, społeczno-kulturowe itd., a nawet religijne – i to jeszcze zanim Saudowie podjęli decyzję o polityczno-ekonomicznej blokadzie Dohy. Mało kto wie, że już pod koniec maja br. media saudyjskie poinformowały o liście otwartym, wystosowanym przez 200 członków wpływowego rodu Al-Szajkh – bezpośrednich potomków twórcy idei wahhabizmu, Muhammada ibn Abd al-Wahhaba – w którym zażądali oni od emira Kataru zmiany „fałszywej polityki" wobec problemów regionu, a także porzucenia tytulatury „potomka Wahhaba", jako niezgodnej z prawdą. Emir Kataru od dawna używa bowiem takiego tytułu, a główny meczet w Dosze nosi miano szejka Muhammada ibn Abd al-Wahhaba – jako jedyny poza Arabią Saudyjską.

PUNKTY STYCZNE

Nagły wybuch tak gwałtownego i ostrego w swej formie kryzysu w relacjach między Katarem a krajami GCC (ale nie tylko, wszak do antykatarskiej „krucjaty" przyłączyły się również m.in. Egipt, Jordania i Jemen) jest tym bardziej zaskakujący, że państwa te jeszcze kilka miesięcy temu uchodziły za oazę strategicznej stabilności i geopolitycznej przewidywalności. Dla obserwatora zewnętrznego stanowiły wręcz monolit jedności i zgody co do większości aspektów dotyczących ich polityki regionalnej. Działo się tak nie tylko ze względu na pewną ciągłość zakorzenioną w historii regionu ostatnich dekad, lecz także, a nawet przede wszystkim z powodu obiektywnych czynników kształtujących politykę i aktywność międzynarodową tych państw.

Członków GCC – Arabię Saudyjską, Bahrajn, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kuwejt i Oman – łączyło od zawsze wiele wspólnych elementów i czynników, zarówno odnośnie do ich polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej. Do najważniejszych należą podobne formy sprawowania rządów i ustroje polityczne (monarchie absolutystyczne, choć o różnym stopniu nasilenia tegoż absolutyzmu), tradycje społeczne i po-

AFP / MARWAN NAAMAN / EAST NEWS

Emir Kataru Tamim bin Hamad Al-Thani podczas szczytu Rady Współpracy Zatoki Perskiej (GCC) w stolicy kraju Doha

lityczne wyrosłe z arabskiego trybalizmu (systemu rządów plemiennych), a przede wszystkim wspólnota wyznania, czyli konserwatywny sunnicki islam. Pod tym ostatnim względem wyjątkiem w gronie GCC od początku jej istnienia był jedynie Oman, kraj zdominowany przez ibadytyzm – trzeci, obok sunnizmu i szyizmu, odłam islamu, najmniejszy spośród nich, ale i jednocześnie najbardziej umiarkowany. W Bahrajnie z kolei sunnickie elity państwa, z rodziną królewską na czele, rządzą twardą ręką szyickim w zdecydowanej większości społeczeństwem, co od lat stanowi przyczynę wewnętrznych napięć i konfliktów w tym kraju.

Niezależnie od tych wyjątków duża część państw GCC już u progu nowej ery stosunków międzynarodowych – która nastała na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, zaraz po zakończeniu zimnej wojny i rozpadzie Związku Sowieckiego – była postrzegana jako rozsadnik islamskiego radykalizmu i ekstremizmu, a także jako ostoja tendencji i działań sprzecznych z ideą demokracji. Pierwsza wojna w Zatoce Perskiej sprawiła jednak, że te arabskie państwa urosły do rangi najważniejszych sojuszników Zachodu w staraniach o utrzymanie na Bliskim Wschodzie swoistego geopolitycznego status quo. Hasło „żeby było, jak było" stało się wówczas dominującym aksjomatem w strategii USA i Europy wobec tej części świata. Arabia Saudyjska i jej sojusznicy idealnie nadawali się do roli strażników i regionalnych wykonawców takiej polityki.

Co równie ważne, grupa państw członkowskich GCC od kilku dekad jest spajana także swoistą wspólnotą zagrożeń, szczególnie tych pochodzących ze strony szyickiego, konserwatywnego Iranu, od 1979 roku usilnie dążącego (różnymi metodami) do poniesienia ognia swej „rewolucji islamskiej" wszędzie tam, gdzie żyją społeczności szyickie. A szyici zamieszkują w zasadzie każde z państw GCC – oprócz wspomnianego Bahrajnu także Kuwejt (8–10% populacji), Arabię Saudyjską (15% ludności) oraz ZEA, Katar i Oman, gdzie stanowią po kilka procent mieszkańców. Zagrożenie ze strony Islamskiej Republiki Iranu – abstrahując od tego, jak bardzo realne i rzeczywiście groźne – wciąż znajduje się wysoko na liście priorytetów bezpieczeństwa większości państw znad Zatoki Perskiej. Większości, bo jak pokazały wydarzenia ostatnich miesięcy, w rzeczywistości część krajów GCC z czasem przyjęła nieco odmienny punkt widzenia na te sprawy. Generalnie, od obalenia w Iranie rządów szacha Rezy Pahlawiego, „nowy Iran" konsekwentnie przez niemal cztery dekady spędzał (i spędza nadal) sen z powiek władców arabskich monarchii położonych po drugiej stronie Zatoki Perskiej (nomen omen przez Arabów konsekwentnie zwanej Arabską).

Ale prócz niebezpieczeństwa irańskiego, arabskie szejkanaty i królestwa z Półwyspu Arabskiego (a przynajmniej większość z nich) uznawały – i uznają nadal – za zagrożenie dla swego istnienia, porządku publicznego, interesów strategicznych i ekonomicznych również takie wyzwania, jak istnienie Izraela i jego działania w regionie, liberalizację stosunków społecznych w wielu państwach tej części świata (opartą na wzorcach czerpanych z Zachodu) czy też niektóre z prądów radykalnego islamu politycznego. Szczególnie te o świeckiej podbudowie, powiązane ideologicznie i organizacyjnie z wyklętym w konserwatywnych wahhabickich elitach saudyjskich Bractwem Muzułmańskim, jako podważające samą istotę trwania Domu Saudów i niezbywalnych praw jego władcy – Strażnika Dwóch Świętych Meczetów – do ubiegania się o rząd dusz nad prawowiernymi wyznawcami Allaha.

WŁADCY SUROWCÓW

Oprócz oparcia wspólnoty GCC na wspólnych zagrożeniach i wyzwaniach dla bezpieczeństwa, znaczenie miało także przez całe lata w miarę zgodne postrzeganie i interpretowanie własnych szans i interesów tej grupy w regionie →

oraz poza nim. Większość członków GCC to potentaci na światowych rynkach ropy naftowej i gazu ziemnego, tworzący trzon kartelu naftowego OPEC i tym samym zdolni do dyktowania całemu światu cen tego strategicznego surowca. Ta przynależność do elitarnego grona podmiotów mogących w dowolnej chwili zatrząść ekonomicznymi posadami współczesnego świata, a tym samym wpłynąć na szereg decyzji politycznych i strategii działania nawet największych mocarstw globu – musiała mieć przemożny wpływ na sposób myślenia elit krajów GCC o współczesnej rzeczywistości międzynarodowej i jej funkcjonowaniu. I nie ma się co łudzić – musiał być to wpływ zdecydowanie niekorzystny, być może wręcz demoralizujący. Tym bardziej że stały za tym ogromne pieniądze. Bogactwo szejków znad Zatoki Perskiej obrosło już tysiącami mitów i legend, w dużym stopniu opierają się one jednak na faktach. Funkcjonowanie takich państw, jak Arabia, ZEA, Katar czy Kuwejt to od dekad olbrzymia konsumpcja i wydawanie bajońskich sum często na rzeczy być może ważne dla utrzymania władzy i jej blichtru, ale w dłuższej perspektywie niekoniecznie przydatne, a często nawet zbędne. Czy można się w takiej sytuacji dziwić, że emir Kataru nie widział nic zdrożnego w tym, żeby islamskim ekstremistom, którzy w Iraku porwali kilkudziesięciu obywateli katarskich, w tym kilku członków rodziny królewskiej, wypłacić niemal miliard (!) dolarów okupu?

W SIECI ZALEŻNOŚCI

Co zatem stało się przyczyną największego geopolitycznego trzęsienia ziemi na Bliskim Wschodzie od czasu wybuchu Arabskiej Wiosny? Oficjalnie powodem bezprecedensowego postawienia pod pręgierzem Kataru były działania władz w Dosze, sprzeczne z linią prezentowaną przez Arabię Saudyjską i pozostałe państwa GCC. Chodzi przede wszystkim o nazbyt liberalną politykę Kataru wobec Iranu, a także wspieranie wywrotowych ruchów sunnickich w regionie, w gruncie rzeczy realizujących (jak np. palestyński Hamas) interesy irańskie, a w każdym razie z pewnością antysaudyjskie. Lista zarzutów wobec Dohy jest zresztą wyjątkowo obszerna, obejmuje też m.in. wspomniane płacenie hojnych okupów islamistom, bliskie relacje z Bractwem Muzułmańskim oraz popieranie (wbrew intencjom Rijadu) powiązanych z „braćmi" ekstremistów islamskich w Syrii. Na tej liście znalazło się nawet goszczenie w Katarze i finansowanie stacji telewizyjnej Al-Dżazira, oskarżanej przez władze wielu krajów o sianie „rewolucyjnego zamętu" i nawoływanie do obalenia ich władzy.

Większość z tych oskarżeń ma z pewnością swoje większe lub mniejsze odzwierciedlenie w faktach i wydarzeniach ostatnich lat. Sprawą znaną już od dawna jest np. spolegliwa polityka Dohy wobec Iranu i utrzymywanie z Teheranem szeregu kanałów nieformalnych kontaktów, w czym w ostatnich latach bardzo pomagały m.in. szyickie władze Iraku. Bagdad nie był jednak jedynym proirańskim przyjacielem Kataru w regionie – Doha intensywnie flirtowała też z innymi regionalnymi sojusznikami Iranu: libańskim Hezbollahem i palestyńskim Hamasem. Władze katarskie nie miały też nic przeciwko bliskim kontaktom z afgańskimi talibami oraz wspomnianym Bractwem Muzułmańskim. Katar – głównie dzięki swemu położeniu i bajecznemu bogactwu, ale też kosmopolitycznemu społeczeństwu (którego większość tworzą cudzoziemcy, także ci spoza świata islamu) – najwyraźniej chciał odgrywać w subregionie Zatoki Perskiej rolę swoistego Hongkongu lub europejskiej Szwajcarii z czasów zimnej wojny. Miejsca, gdzie można załatwiać różne (także podejrzane) interesy i organizować spotkania między najbardziej nawet „egzotycznymi" partnerami. Jak skomentował to jeden z saudyjskich dyplomatów, Katarczycy od zbyt dawna „próbowali tańczyć na wielu weselach naraz", starając się żyć dobrze z każdym i ze wszystkimi. A w realiach Bliskiego Wschodu nie jest to możliwe.

Taka polityka na dłuższą metę nie mogła okazać się skuteczna, a przede wszystkim akceptowana. Zwłaszcza w czasach zaostrzającej się rywalizacji geopolitycznej w całym regionie oraz pogłębiającej się konfrontacji między dwoma wrogimi blokami: irańskim (umownie kojarzonym z szyizmem) i saudyjskim (islam sunnicki, głównie w wydaniu arabskim). Takie trudne czasy wymagają od wszystkich państw i podmiotów jasnego opowiedzenia się, po której stronie barykady chcą się znaleźć. Tu nie ma miejsca na niezaangażowanych i niezdecydowanych.

NAUKA STANIA W SZEREGU

Kryzys w GCC – bez wątpienia najpoważniejszy w jej historii i potencjalnie najgroźniejszy w skutkach – to zatem nic innego, jak próba zdyscyplinowania krnąbrnego członka rodziny i nakłonienia go do zmiany zachowania na zgodne z interesem „familii". Tak jak w przypadku większości kryzysów rodzinnych, i ten zostanie zapewne już wkrótce zażegnany. Tym bardziej, że jego przedłużanie i eskalacja nie leżą absolutnie w interesie żadnej ze stron. I nie chodzi tylko o interesy gospodarcze, choć i tu obopólne straty wynikające z blokady Kataru są liczone w miliardach dolarów dziennie. Jednak państwom uwikłanym w kryzys katarski najbardziej zagraża przegapienie naprawdę ważnych kwestii strategicznych dziejących się właśnie w regionie i dotyczących ich żywotnych interesów. Państwa Zatoki, zajęte Katarem, po prostu nie będą w stanie odpowiednio zareagować i zadziałać wobec pojawiających się lub narastających wyzwań. W pierwszej

PERRY ASTON/USAF

ILEKROĆ WYDAJE SIĘ, ŻE **ZAMĘT W TYM REGIONIE** SIĘGNĄŁ JUŻ GRANIC POLITYCZNEJ I SPOŁECZNEJ WYTRZYMAŁOŚCI JEGO PAŃSTW I NARODÓW, ZAWSZE POJAWIA SIĘ CZYNNIK, KTÓRY PRZESUWA TE GRANICE JESZCZE DALEJ

kolejności chodzi tu o gwałtownie przyspieszający proces rywalizacji mocarstw o wpływy w Syrii, gdzie wojna (a przynajmniej jej dotychczasowa aktywna forma) zdaje się już zmierzać ku końcowi, z wyraźnym wskazaniem na reżim Baszszara al-Asada i jego sojuszników. Arabia Saudyjska i jej arabscy sprzymierzeńcy z GCC, niegdyś bardzo aktywni i głęboko zaangażowani w wydarzenia w Syrii, po dwóch latach sukcesywnego wypierania ich z Lewantu dzisiaj znaleźli się faktycznie na marginesie „kwestii syryjskiej". Tak Rijad, jak i Doha (w pierwszych latach wojny syryjskiej główny sponsor rebelianckich „umiarkowanych" ugrupowań islamistycznych) mają już obecnie niewielki wpływ na to, co dzieje się na polach bitew w Syrii i w tamtejszej polityce. Dowodem na taki stan spraw było całkowite pominięcie Arabów z Zatoki w organizacji konferencji pokojowej w Astanie, gdzie zapadły kluczowe decyzje co do dalszych działań części mocarstw wobec Syrii, w tym dokonał się faktyczny podział stref wpływów w postaci wyznaczenia tzw. stref deeskalacji. Rolę patrona sunnickich ugrupowań rebelianckich skutecznie przejęła teraz Turcja, rywalizując na tym polu z Jordanią.

Innym palącym problemem państw GCC jest rosnąca szybko pozycja geopolityczna Iranu. Ta sprawa jest postrzegana jako bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa krajów znad Zatoki Perskiej i wyzwanie niecierpiące zwłoki. Problem jednak w tym, że błędna polityka ostatnich kilku lat – głównie w wydaniu Arabii Saudyjskiej, nadającej ton działaniom całej GCC – doprowadziła do sytuacji, w której Teheran skutecznie wymanewrował Arabów i przejął inicjatywę w wyścigu o strategiczny prymat w regionie Zatoki Perskiej. A dzięki bliskiemu sojuszowi z Rosją i współpracy z Turcją stał się jednym z głównych rozgrywających także w skali całego Bliskiego Wschodu. Iran uzyskał dzięki temu m.in. znaczące wpływy polityczne, militarne i ekonomiczne w Syrii, Iraku, Jemenie oraz na zdominowanych przez szyitów ulicach Bahrajnu. Rijad chyba zbyt późno się zorientował, że jego strategia i działania w regionie prowadzą ku katastrofie. Wysiłki Saudów podjęte w celu naprawy tego stanu rzeczy wydają się z jednej strony mocno spóźnione, a z drugiej nie do końca skalkulowane i chyba zbyt gwałtowne. Próba zdyscyplinowania Kataru doprowadziła do ostrego i przedłużającego się niebezpiecznie kryzysu w łonie GCC, a zmiana na stanowisku następcy tronu Królestwa Saudów wywołała ferment w rodzinie królewskiej i niezadowolenie jej koterii związanych z pozbawionym szans na tron księciem Muhammadem bin Najefem.

Region Zatoki Perskiej, tak jak cały Bliski Wschód, przeżywa ostatnio gwałtowne zmiany geopolityczne, których ostateczne rezultaty są niemożliwe do przewidzenia. To już jednak swoista reguła w tej części świata. Ilekroć bowiem wydaje się, że zamęt w regionie bliskowschodnim sięgnął granic politycznej i społecznej wytrzymałości jego państw i narodów, zawsze pojawia się czynnik, który przesuwa te granice jeszcze dalej, ku znacznie odleglejszym horyzontom niepoznanego. Tak było podczas Arabskiej Wiosny i później, gdy rewolucje w wielu miejscach tej części globu przekształciły się w krwawe konflikty domowe. Tak jest i teraz, podczas kryzysu w łonie GCC i eskalacji sytuacji wokół Syrii. To właśnie z tego powodu Bliski Wschód od zawsze jest tak kluczowym dla globalnej polityki regionem świata. ■

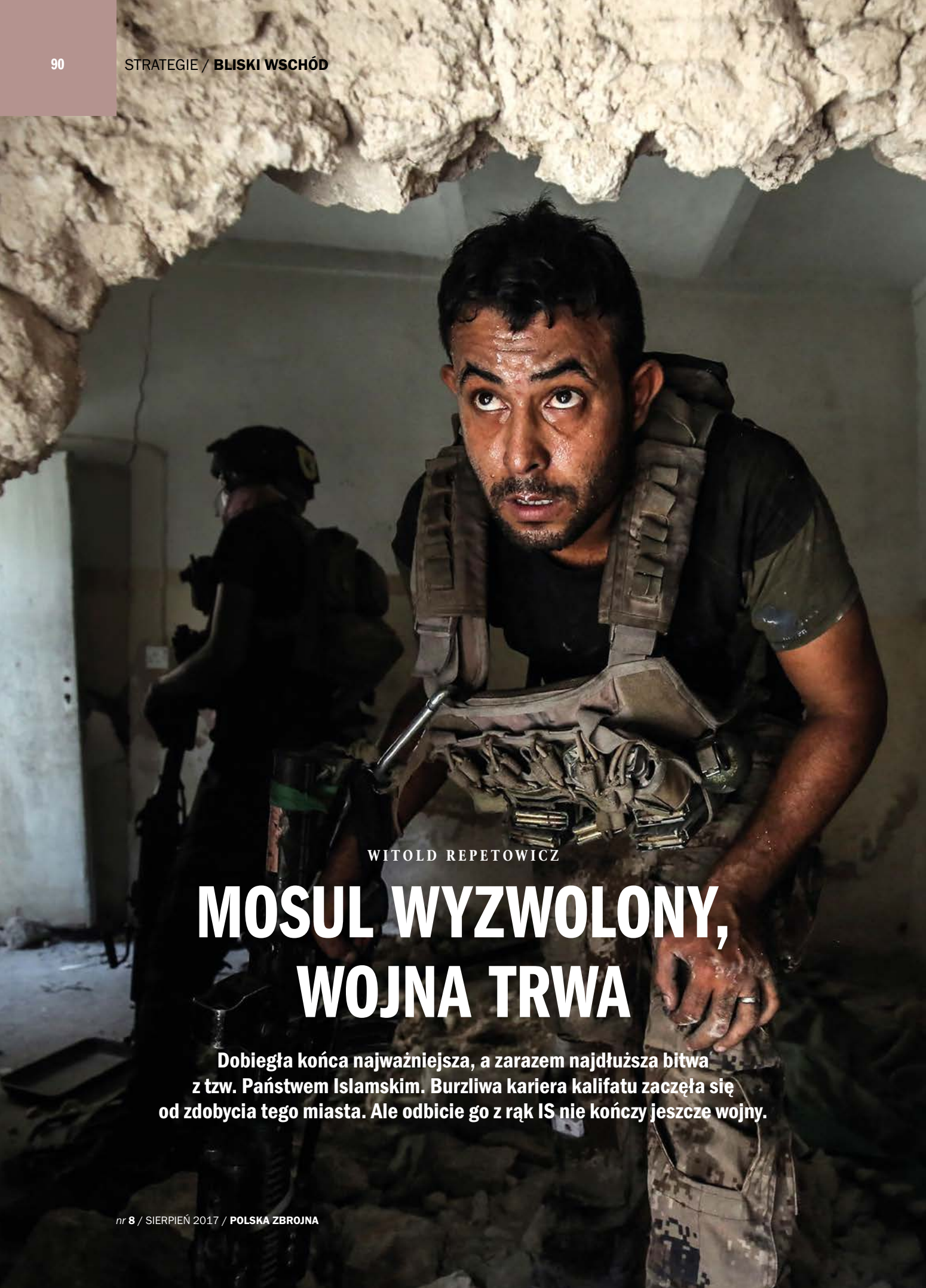

WITOLD REPETOWICZ

MOSUL WYZWOLONY, WOJNA TRWA

Dobiegła końca najważniejsza, a zarazem najdłuższa bitwa z tzw. Państwem Islamskim. Burzliwa kariera kalifatu zaczęła się od zdobycia tego miasta. Ale odbicie go z rąk IS nie kończy jeszcze wojny.

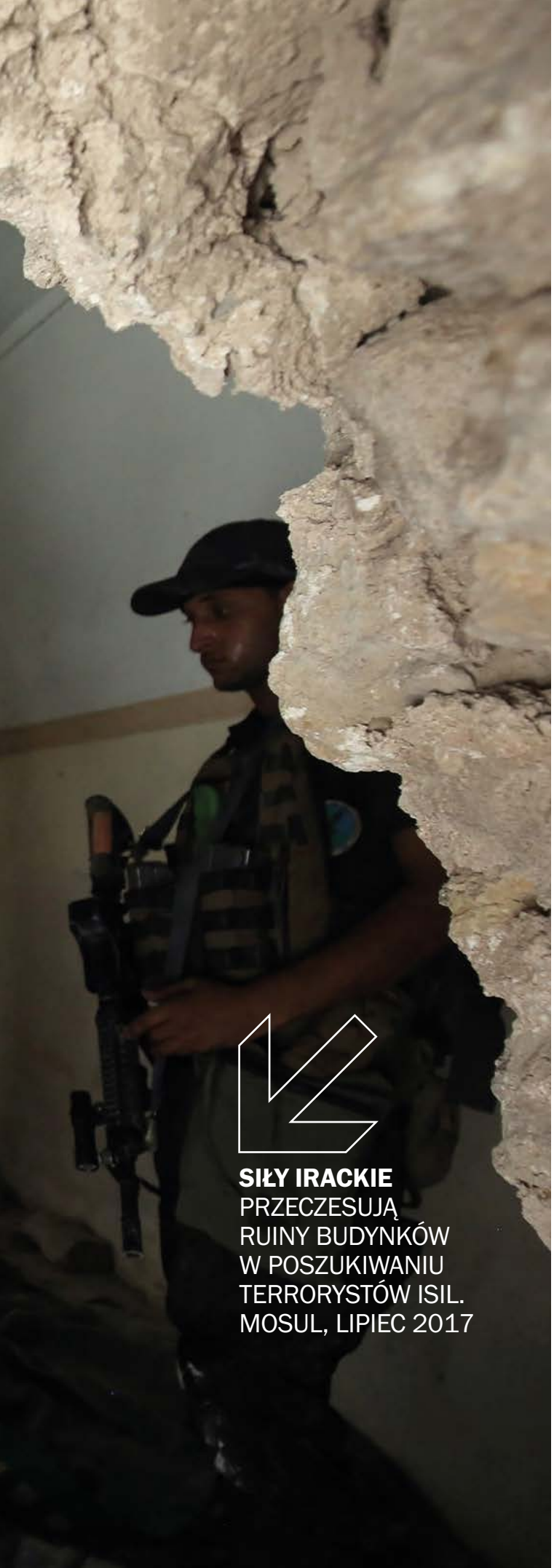

SIŁY IRACKIE PRZECZESUJĄ RUINY BUDYNKÓW W POSZUKIWANIU TERRORYSTÓW ISIL. MOSUL, LIPIEC 2017

AHMAD AL-RUBAYE/EAST NEWS

Dziesiątego czerwca minęła trzecia rocznica zdobycia Mosulu przez terrorystów ISIL, czyli Państwa Islamskiego Iraku i Lewantu, czy też Daesz (skrót od arabskiej nazwy), jak się wówczas nazywała ta organizacja. Do tego dnia ISIL było traktowane jako jedna z wielu terrorystycznych organizacji dżihadystycznych, rozłamowa frakcja Al-Kaidy i jedna z wielu sił walczących w syryjskiej wojnie domowej. Mosul nie był pierwszą zdobyczą ISIL. Ani w ogóle, ani w szczególności w Iraku. W styczniu 2014 roku organizacja przejęła wyłączną kontrolę nad syryjską Rakką, a także zdobyła Faludżę i wiele innych miast w irackiej prowincji Anbar. To była jednak zawsze kolebka Al-Kaidy, a świat przyzwyczajony do niestabilności w Iraku nie dostrzegł, że rodzi się nowa jakość na scenie globalnego dżihadu. Szybkie zdobycie Mosulu, największego po Bagdadzie, ponaddwumilionowego wówczas miasta, było jednak tak zaskakujące, że światowe media nie od razu zrozumiały, co się stało i jakie to będzie miało konsekwencje dla całego świata.

AKT I: UPADEK

To jak terrorystom ISIL udało się przejąć kontrolę nad tak dużym miastem w ciągu zaledwie sześciu dni, pozostanie na zawsze przedmiotem spekulacji. Siły irackie znajdujące się w Mosulu liczyły 60 tys. żołnierzy, podczas gdy terrorystów nie było więcej niż 1500. Dla porównania odbijanie miasta zajęło Irakijczykom ponad osiem miesięcy, mimo że i tym razem mieli druzgocącą przewagę liczebną. Faktem jest, że sunnicka ludność miasta była wówczas negatywnie nastawiona do irackiego wojska i powitała ISIL jak wybawiciela. W Mosulu znajdowały się też liczne komórki Zakonu Naqszabandi, czyli zwolenników obalonego w 2003 roku Saddama Husajna, które poparły najazd ISIL. Ale to i tak nie tłumaczy fenomenu upadku miasta. W Iraku wszyscy mówili wówczas o spisku, a wiele miesięcy później iracka komisja parlamentarna uznała za winnych tego zdarzenia ówczesnego gubernatora Mosulu Atila al-Nudżajfiego oraz premiera Nuriego al-Malikiego. Ten pierwszy uciekł z miasta, zamiast go bronić, ten drugi zaś miał, według jednej z bardziej prawdopodobnych teorii spiskowych, chcieć upadku Mosulu, by pokazać, że nie ma alternatywy dla jego rządów. Nieco ponad miesiąc wcześniej odbyły się bowiem w Iraku wybory parlamentarne, po których część partii żądała dymisji Malikiego oskarżanego o dążenie do dyktatury oraz prześladowanie Kurdów i sunnitów. Pojawienie się wroga zewnętrznego miało służyć konsolidacji wszystkich sił wokół przywódcy, czyli premiera, a mosulczykom dać lekcję, że alternatywa może być tylko gorsza. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu ta teoria miała →

OLEG ZABIELIN/FOTOLIA

OSTATNIA ROZPACZLIWA PRÓBA KONTROFENSYWY PODJĘTA PRZEZ TERRORYSTÓW DOWIODŁA, ŻE BRAK SZANS NA ZWYCIĘSTWO DLA WIELU NIE JEST POWODEM DO KAPITULACJI I NIE OSŁABIA AŻ TAK BARDZO ICH MORALE. POKAZAŁA RÓWNIEŻ STOPIEŃ INFILTRACJI UCHODŹCÓW Z MOSULU PRZEZ TERRORYSTÓW I OGROMNĄ ROLĘ SIŁ STABILIZACYJNYCH

pokrycie w rzeczywistości, zwłaszcza że ostatecznie ani Maliki, ani Nudżajfi żadnej kary nie ponieśli. Obaj stracili jednak swe stanowiska.

AKT II: NOWE RZĄDY

Większość mosulczyków rzeczywiście już po kilku miesiącach zmieniła zdanie o nowych włodarzach miasta. „Początkowo byli bardzo mili, a Baghdadi mówił, że nie mamy ich chwalić, jak robią coś dobrze, ale ganić, jak robią coś źle", mówiła na początku maja Ahlas, jedna z mieszkanek Mosulu, która dopiero co zbiegła z zachodniej części tego miasta do obozu dla uchodźców w Hamam al-Alil. Pierwsi musieli uciekać chrześcijanie, których było ponad 100 tys. Później Mosul opuściła również większość Kurdów, wreszcie do tego grona dołączyło kilkaset tysięcy Arabów-sunnitów. Znaleźli schronienie w pobliskim Regionie Kurdystanu, który był wówczas oazą spokoju w coraz bardziej płonącym Iraku. Tymczasem armia terrorystów w błyskawicznej ofensywie zmierzała na Bagdad, którego zdobyciu zapobiegło wydanie przez ajatollaha Ali as-Sistaniego fatwy wzywającej do dżihadu obronnego. Wkrótce też ISIL zmieniło nazwę na Państwo Islamskie i proklamowało kalifat z Abu Bakrem al-Baghdadim jako kalifem Ibrahimem na czele. 4 lipca nowy „kalif" poprowadził piątkowe modły w 900-letnim meczecie al-Nuri. Było to jego jedyne wystąpienie publiczne.

Zdaniem Ahlas wszystko było dobrze, dopóki mieli do czynienia z irackimi członkami Daesz. „Gdy pojawili się ci z Europy, to się zmieniło. Mówili nam, że nie jesteśmy prawdziwymi muzułmanami, a oni zostawili wszystko, by nas nawrócić na właściwą drogę, więc mamy być wdzięczni". Świat wkrótce zobaczył, jak terroryści burzą liczne mosulskie kościoły, a także meczety, które uznali za nie dość islamskie, np. słynny meczet proroka Jonasza, w którym miał on zostać pochowany. Uzbrojeni w młotki i wiertarki barbarzyńcy nie oszczędzili też mosulskiego muzeum, w którym były starożytne artefakty. Na znajdujące się we wschodnim Mosulu ruiny starożytnej asyryjskiej stolicy Niniwa ruszyły koparki i buldożery. Miasto stało się także świadkiem regularnych egzekucji, przeważnie dekapitacji. Choć od samego początku okupacji Mosulu przez Daesz istniał tam ruch oporu, przekazujący Kurdom i silom rządowym cenne informacje, to jednak znaczna część z około 600 tys. mosulczyków, którzy pozostali w mieście, w większym lub mniejszym stopniu sympatyzowała z terrorystami.

Ci zaś poniekąd hucznie uczcili trzecią rocznicę proklamowania kalifatu. 21 czerwca wysadzili bowiem słynny meczet al-Nuri. W tym czasie zakres ich kontroli skurczył się tylko do części starego miasta, w którym jednak wciąż przebywało wielu cywilów, według niektórych szacunków nawet 100 tys. „Życie irackich cywilów wciąż przebywających na terenach kontrolowanych przez terrorystów jest dla nas najważniejsze", mówił w maju w sztabie sił irackich w zachodnim Mosulu gen. Talib Szaghati Kanani, głównodowodzący irackich sił specjalnych ISOF. Właśnie to spowodowało, że bitwa trwała tak długo, choć oderwani od realiów hurraoptymiści zakładali, że potrwa miesiąc lub dwa.

AKT III: POWRÓT

Wszystko zaczęło się o świcie 1 listopada 2016 roku, gdy doborowe jednostki ISOF, czyli tzw. Złota Dywizja, zaatakowały najbardziej na wschód wysunięte dzielnice Mosulu: Gogdżali i Karama. Od początku nic nie szło zgodnie z planem i pierwsza z nich została wyzwolona dopiero po tygodniu. Później już było trochę lepiej i do końca listopada opanowano około 20 dzielnic, czyli mniej więcej połowę wschodniego Mosulu. Wtedy ofensywa utknęła i pojawiły się pogłoski, że Złota Dywizja poniosła ogromne straty, których dowództwo nie jest w stanie uzupełnić.

Tym razem mylili się jednak skrajni pesymiści i gdy pod koniec grudnia siły irackie wznowiły operację, do 18 stycznia całkowicie oczyściły wschodni Mosul z terrorystów. Co więcej, okazało się, że miasto aż tak nie ucierpiało i bardzo szybko uchodźcy z tej części mogli wracać do domów. Pod koniec maja odbyły się nawet egzaminy na znajdującym się po tej stronie rzeki Tygrys uniwersytecie mosulskim, a regularne zajęcia rozpoczną się z nowym rokiem akademickim.

Wiadomo było jednak, że zachodni Mosul będzie trudniejszy do zdobycia, gdyż to tam znajduje się gęsto zaludnione centrum miasta. Początki wydawały się najbardziej obiecujące, potem jednak było już gorzej. Atak rozpoczął się 19 lutego od południa i znów główną siłą była Złota Dywizja, której towarzyszyła inna jednostka specjalna, tj. Emergency Response Division (ERD), a także policja federalna i armia, łącznie około 60 tys. żołnierzy. Informacje na temat sił przeciwnika znacznie się różniły. Na początku maja najwyżsi dowódcy ISOF twierdzili, że w mieście pozostało około 300 irackich członków Daesz i mniej więcej tyle samo tzw. foreign fighters, czyli przeważnie Europejczyków. „Irakijczycy się nam poddają, ale tamci będą walczyć do końca, bo taką mają ideologię", mówił mi w Mosulu rzecznik ISOF Sabah Naeman.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni operacji w zachodnim Mosulu siły irackie zdobyły znajdującą się na południowych krańcach miasta bazę wojskową Ghazlani i międzynarodowe lotnisko (a w zasadzie jego ruiny), przecięły główną drogę idącą z Mosulu na zachód, a także obeszły Mosul od północy, co wkrótce umożliwiło otwarcie dwóch nowych kierunków natarcia. Na początku marca Baghdadi wezwał pozostałe w mieście siły do przygotowania się do walki partyzanckiej. Zdawało się, że koniec jest już bliski. Sam „kalif" uciekł z Mosulu pod koniec stycznia, wkrótce po tym jak szyickie oddziały Haszed Szaabi odcięły drogę z miasta do Syrii. Baghdadiemu udało się przebić w potężnej operacji, w której uczestniczyło w około 40 samochodach 300 terrorystów, 17 spośród nich wysadziło się w powietrze, by umożliwić swemu przywódcy bezpieczne dotarcie do Syrii, prawdopodobnie do miasta Al-Majadin. W czerwcu Rosjanie poinformowali o zabiciu Baghdadiego w okolicach Rakki, ale informacja ta budziła wątpliwości. 11 lipca znów pojawiły się pogłoski, tym razem nieco bardziej wiarygodne, że Baghdadi nie żyje, ale jedynym pewnym potwierdzeniem może być tylko oświadczenie samego Państwa Islamskiego, w szczególności decyzja o wyznaczeniu nowego „kalifa".

W połowie marca Irakijczycy doszli do starego miasta, ale zatrzymali się pod jego murami na ponad dwa miesiące. Mimo tak obiecującego początku, im bardziej siły irackie wchodziły w głąb miasta, tym wolniej się poruszały. Stare miasto było otoczone fortyfikacjami i tunelami, a postępy utrudniała ewakuacja cywilów, których terroryści starali się wykorzystywać jako żywe tarcze i uciekającym strzelali w plecy. Do tego doszły prawdziwe i nieprawdziwe oskarżenia wobec koalicyjnego lotnictwa o bombardowanie cywilów, a sił irackich – o bezprawne egzekucje podejrzanych o popieranie terrorystów. Ofensywa wyhamowała w szczególności po nalotach 23 marca, w których miało zginąć ponad stu mosulczyków. W maju znów postępy zaczęły być nieco większe, ale gdy pod koniec miesiąca w rękach Daesz pozostało już tylko stare miasto, ponownie posypały się oskarżenia. Propaganda Daesz, a za nią międzynarodowe media oskarżyły USA o używanie białego fosforu i powodowanie nalotami nadmiernych strat wśród ludności cywilnej. To wyhamowało operację, zwłaszcza że weszła ona w najtrudniejszą, choć końcową fazę – walk w labiryncie wąskich uliczek. Pod koniec czerwca, gdy zdawało się, że wykończenie Daesz w Mosulu to kwestia kilku dni, terroryści dokonali kontruderzenia. W święto Eid al-Fitr, kończące ramadan, zaatakowali trzy peryferyjne dzielnice zachodnie. Sukces był jednak krótkotrwały, a 28 czerwca, dokładnie w trzecią rocznicę proklamowania kalifatu, wojska irackie zdobyły ruiny meczetu al-Nuri i ogłosiły symboliczne zwycięstwo.

Choć pozostający jeszcze w Mosulu bojownicy Daesz z całą pewnością mieli świadomość, że los bitwy jest przesądzony, to walki nie ustały. Dopiero 10 lipca padły ostatnie punkty oporu. Jeszcze 7 lipca terroryści podjęli rozpaczliwą próbę kontrofensywy. Ich działania wyraźnie pokazują, że brak szans na zwycięstwo nie wszystkich członków tej organizacji skłania do skapitulowania i nie osłabia aż tak bardzo ich morale. Pokazuje również stopień infiltracji uchodźców z Mosulu przez terrorystów i ogromną rolę sił stabilizacyjnych, które są zresztą szkolone m.in. przez polski kontyngent w Bagdadzie. Trzeba też pamiętać, że w Mosulu wciąż są komórki pro-Saddamowego Zakonu Naqszabandi, którego lider, Izzat ad-Duri, wezwał do atakowania Państwa Islamskiego, a następnie, po jego zniszczeniu – sił rządowych.

DRAMAT BEZ EPILOGU

Zdobycie Mosulu nie zakończy wojny z tzw. Państwem Islamskim w Iraku. W rękach terrorystów znajdują się jeszcze turkmeńskie miasto Tel Afar wraz z otaczającymi je wioskami w prowincji Niniwa, a także część prowincji Anbar z miastami Ana, Rawa i granicznym Abu Qaim, wreszcie znany z sympatii do Saddama Husajna dystrykt Hawidża w prowincji Kirkuk. Wiele wskazuje więc na to, że walki mogą się przeciągnąć do 2018 roku. Z całą pewnością należy się też spodziewać aktywności uśpionych komórek Daesz w samym Mosulu. ■

ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

ROBERT SENDEK

Kroczek w przód, kroczek w tył

Ciągnący się od lat zatarg z Grecją o nazwę stał się dla Macedonii przeszkodą nie do pokonania na drodze do członkostwa w sojuszu północnoatlantyckim. Czy Zoran Zaev znajdzie sposób na wyjście z impasu?

Priorytetem dla Republiki Macedonii jest członkostwo w Unii Europejskiej oraz NATO. „Dla tego celu gotowi jesteśmy do niezwłocznych i rzetelnych reform", zadeklarował nowy premier Macedonii Zoran Zaev wkrótce po objęciu urzędu.

Funkcję premiera objął jako szef koalicyjnego rządu 1 czerwca, pół roku po przeprowadzonych w grudniu 2016 roku wyborach. Wprawdzie nominalnie zwyciężyła w nich rządząca w kraju od 2006 roku partia VMRO-DPMNE (Wewnętrzna Macedońska Organizacja Rewolucyjna – Demokratyczna Partia Macedońskiej Jedności Narodowej) Nikoli Gruevskiego, jednak rozmowy dotyczące ewentualnej koalicji parlamentarnej oraz ciągłe przepychanki polityczne nie doprowadziły do utworzenia rządu. Sformowanie koalicji powiodło się natomiast Zaevowi, który dogadał się z partiami albańskimi, zyskał większość w parlamencie, a potem od prezydenta Gorge Ivanova otrzymał misję utworzenia rządu.

Jak się wydaje, Zaev ma mnóstwo energii, entuzjazmu i wiary w skuteczność swych starań. Z pewnością będą mu bardzo potrzebne, ponieważ podjął się trudnego zadania. Macedonia od dłuższego czasu znajduje się w stanie niemal chronicznego kryzysu instytucjonalnego, jest mocno podzielona politycznie i etnicznie, z niepewną przyszłością, a w dodatku wchodziła w ostatnim czasie w konflikty niemal ze wszystkimi swoimi sąsiadami. Zaev zamierza uregulować stosunki zagraniczne oraz pchnąć do przodu kwestię członkostwa kraju w NATO i Unii Europejskiej. Jest to zadanie bardzo ambitne, bo rzeczy do załatwienia i rozwiązania jest wiele, możliwości zaś są raczej ograniczone. Niewykluczone jednak, że będzie mu sprzyjał klimat międzynarodowy.

We wskazanych przez premiera priorytetach znajduje się zapowiedź kierunku tak potrzebnych Macedonii przemian. Zaledwie dziesięć dni po objęciu urzędu Zaev ruszył z dyplomatyczną ofensywą, wybierając Brukselę za cel swej pierwszej zagranicznej podróży. Spotkał się tam z przedstawicielami Unii Europejskiej, Federiką Mogherini oraz Donaldem Tuskiem. Największe jednak zainteresowanie mediów macedońskich wzbudziło spotkanie Zaeva z szefem sojuszu północnoatlantyckiego, Jensem Stoltenbergiem. W siedzibie NATO premier Macedonii pogratulował Czarnogórze uzyskania w bieżącym roku pełnego członkostwa w sojuszu, po czym wyraził nadzieję, że – jak to ujął – to jego kraj będzie kolejną dobrą wiadomością, którą ogłosi NATO. W tych słowach prócz optymizmu pobrzmiewają też echa rozczarowania, gdyż dziesięć lat temu Macedonia była nieporównanie bardziej zaawansowana w rozmowach z NATO niż Czarnogóra, wydawało się nawet, że jest na dobrej drodze do tego, by zostać pełnoprawnym członkiem sojuszu. Tymczasem to Czarnogóra, która w połowie 2006 roku ogłosiła niepodległość i dopiero zaczynała swe starania o wejście do NATO,

NOWY PREMIER MACEDONII **ZORAN ZAEV** ZAMIERZA PCHNĄĆ DO PRZODU KWESTIĘ CZŁONKOSTWA KRAJU W NATO I UNII EUROPEJSKIEJ

EUROPEAN COMMISSION

Żołnierze macedońscy podczas uroczystego otwarcia ćwiczeń „Anakonda '16", które w czerwcu ubiegłego roku odbyły się na polskich poligonach.

SPÓR O NAZWĘ STAŁ SIĘ STAŁYM ELEMENTEM KRAJOBRAZU POLITYCZNEGO ZARÓWNO W SAMEJ MACEDONII, JAK I W GRECJI

dziś może się cieszyć pełnym członkostwem, Macedonia zaś ciągle czeka na swą szansę.

W POCZEKALNI DO NATO

Podczas czerwcowego spotkania w Brukseli Zaev tryskał optymizmem, powtarzając, że do osiągnięcia sukcesu potrzebna jest wytrwałość i dobra wola, niemniej jednak wydaje się, że zwiększenie szans Macedonii na wejście do NATO wcale nie będzie łatwą sprawą. Wszelkie dotychczasowe starania tego kraju rozbijają się o zdecydowane weto Grecji. Przypomnijmy: Grecy uważają, że nazwa „Macedonia" jest elementem wyłącznie greckiego dziedzictwa kulturowego i nie chcą się zgodzić na jej używanie przez kraj sąsiedni. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Macedonia budowała swą państwowość, określała nazwę, ustrój i symbole, Grecy wystąpili przeciwko młodej republice z gwałtownymi protestami. Elementem sprzeciwu była nawet ekonomiczna blokada kraju, zakończona podpisaniem w 1995 roku tymczasowego porozumienia, które doprowadziło do jedynie częściowego uregulowania sporu, bo w istocie go zamroziło i sprawiło, że w dużej mierze właściwie pozostał nierozwiązany do dzisiaj.

W ramach kompromisu ustalono wówczas, że na forum międzynarodowym do czasu wypracowania innego rozwiązania kraj ten będzie występował jako Była Jugosłowiańska Republika Macedonii (używany jest także skrótowiec utworzony od nazwy anglojęzycznej – FYROM). Z kolei Grecja zobowiązała się, że nie będzie się sprzeciwiać członkostwu Macedonii w międzynarodowych organizacjach, w których sama jest członkiem (art. 11 porozumienia). Ten właśnie punkt stał się zarzewiem kolejnego sporu. Gdy bowiem w 2008 roku podczas szczytu NATO w Bukareszcie Macedończycy wraz →

DZIESIĘĆ LAT TEMU MACEDONIA BYŁA NIEPORÓWNANIE BARDZIEJ ZAAWANSOWANA W ROZMOWACH Z NATO NIŻ CZARNOGÓRA. TYMCZASEM DZIŚ TO CZARNOGÓRA MOŻE SIĘ CIESZYĆ PEŁNYM CZŁONKOSTWEM W SOJUSZU, MACEDONIA ZAŚ CIĄGLE CZEKA NA SWĄ SZANSĘ

z Chorwatami i Albańczykami spodziewali się zaproszenia do członkostwa, Grecy postawili weto. Ówczesny rząd Nikoli Gruevskiego uznał to za złamanie tymczasowego porozumienia z 1995 roku i złożył skargę do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze. W grudniu 2011 roku Trybunał uznał racje strony macedońskiej i orzekł, że blokując członkostwo Macedonii w sojuszu, politycy greccy złamali podpisane przez siebie porozumienie. Wyrok ten nie zmienił jednak stanowiska Grecji ani urzędników natowskich, którzy od 2008 roku powtarzają, że o członkostwie Macedonii w NATO będzie można mówić dopiero wtedy, gdy obydwie zainteresowane strony osiągną porozumienie.

KLIN WBITY W DUMĘ NARODU

Podczas swego wystąpienia w Brukseli Zaev zapowiedział, że będzie się starał o jak najszybsze odmrożenie całego procesu rokowań. Argumentował przy tym, że greckie weto wywołuje frustrację ludzi, to zaś prowadzi do kryzysów politycznych oraz wzrostu niestabilności w całym regionie. Zapowiedział również, że jego kraj będzie się starał o uzyskanie zaproszenia do członkostwa pod prowizoryczną nazwą „Była Jugosłowiańska Republika Macedonii", zresztą w zgodzie z tymczasowym porozumieniem z 1995 roku, a w ciągu kolejnych dwu lat (tyle było potrzeba, aby parlamenty krajów członkowskich zaaprobowały przyjęcie Czarnogóry do sojuszu) z pewnością uda się wypracować jakieś kompromisowe rozwiązanie z Grecją. Odpowiedź Stoltenberga była kurtuazyjna – nazwał on Macedonię ważnym partnerem NATO, zaznaczył jednak, że sojusz stoi na stanowisku, iż problem powinien być rozwiązany w sposób, który byłby do przyjęcia dla obydwu zainteresowanych stron. Czyli Macedonia mogłaby dołączyć do sojuszu jako FYROM, ale tylko za wyraźną zgodą Greków.

Biorąc pod uwagę doświadczenie minionych dwudziestu kilku lat, szybkie osiągnięcie kompromisu nie wydaje się prawdopodobne. Spór o nazwę stał się stałym elementem krajobrazu politycznego zarówno w samej Macedonii, jak i w Grecji. Zbyt wiele padło w związku z tą kwestią wielkich słów i obietnic, obydwie strony dopisały do tego ogromny ładunek emocji, niestety niekoniecznie pozytywnych, a do tego zbyt mocno problem ten jest uwikłany we współczesną politykę, by dziś bez problemów udało się osiągnąć kompromis. I nawet gdyby rząd Zaeva ogłosił zmianę nazwy kraju po to, by Grecy mogli cofnąć weto, to i tak propozycja rządowa zostałaby poddana pod głosowanie w referendum powszechnym.

Politycy rządzącej partii traktują referendum w sprawie nazwy jako rzecz naturalną, tyle tylko, że wyniki głosowania wcale nie są oczywiste. Większość Macedończyków możliwą zmianę oficjalnej nazwy kraju (nawet gdyby w grę wchodziły określenia typu Republika Górnej Macedonii czy Republika Północnej Macedonii, które już się pojawiały w toku rokowań) z pewnością odczyta jako zamach na własne, subiektywne poczucie tożsamości narodowej. Wbrew zatem urzędowemu optymizmowi Zaeva przełamanie klinczu w stosunkach grecko-macedońskich raczej nie będzie łatwe.

Potwierdzają to pierwsze wypowiedzi polityków greckich. W połowie czerwca doszło w Atenach do spotkania ministrów spraw zagranicznych Grecji, Nikosa Kodziasa, i Macedonii, Nikoli Dimitrova. Wprawdzie obydwaj politycy podkreślali dobrą atmosferę podczas prowadzonych rozmów, co w przeszłości wcale nie było oczywiste, deklarowali chęć porozumienia i kontynuowania współpracy, do przełomu jednak nie doszło. Kodzias zaznaczył, że życzy sobie, by Macedonia stała się członkiem NATO i UE, powtórzył jednak oficjalne stanowisko: dopóki nie zostanie wypracowane rozwiązanie, które obydwie strony mogłyby przyjąć, obowiązujące pozostaje stanowisko – jak to ujął – wyrażone w Bukareszcie jednogłośną decyzją NATO.

Wydaje się, że większych złudzeń, przynajmniej na razie, nie ma także Matthew Nimetz, specjalny przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ, działający jako mediator w grecko-macedońskim sporze. W początkach lipca Nimetz przybył do Skopje na zaproszenie rządu macedońskiego. Po przeprowadzeniu szeregu spotkań z miejscowymi politykami, Nimetz zapowiedział, że nie należy się spodziewać w najbliższym czasie jakiegoś wielkiego przełomu, choć dostrzegł także, że atmosfera rozmów była dużo bardziej konstruktywna niż wcześniej.

Tymczasem rząd Zorana Zaeva stara się o wytworzenie pozytywnego klimatu wokół Macedonii. Służą temu rozmowy z partnerami zagranicznymi, podkreślana jest dobra wola nowego rządu. Jednym z elementów tworzenia nowej aury ma być zapowiadane podpisanie układu dobrosąsiedzkiego z Bułgarią. Z drugiej zaś strony, zwiększona aktywność Rosji na Bałkanach skłania niektórych komentatorów do wyrażenia nadziei, iż tendencje integracyjne w tym regionie dostaną nowy impuls. Czas pokaże, czy wszystko to przyniesie jakieś konkretne rezultaty. ■

RAFAŁ CIASTOŃ

Bez rozmów...

Test północnokoreańskiego międzykontynentalnego pocisku balistycznego (ICBM) z 4 lipca 2017 roku był kolejnym podbiciem stawki przez reżim w Pjongjangu. Adresatem próby był bezpośrednio Waszyngton, bo to z nim, a nie z Seulem, chciałby rozmawiać Kim Dzong Un. Media północnokoreańskie donoszą, że elementem próby było także (udane) powtórne wejście w atmosferę głowicy pocisku. Ta kluczowa przecież zdolność była bowiem (i wciąż jest) kontestowana przez południowokoreańskie i zachodnie agencje wywiadowcze. Zastępca amerykańskiego Kolegium Szefów Sztabów gen. Paul J. Selva podkreśla także, że chociaż pocisk ma (czy też może mieć) odpowiedni zasięg, jego wadą jest jednak system kontroli lotu i naprowadzania, który nie gwarantuje trafienia z jakimkolwiek przewidywalnym stopniem dokładności.

Po raz kolejny gwałtownie wzrosło w regionie napięcie, więc Korea Południowa wystąpiła z propozycją rozmów dwustronnych, które miały się odbyć w Panmundżomie 21 lipca. Jak można się było spodziewać, Północ zignorowała zaproszenie, a wypowiedź post factum ministra do spraw zjednoczenia Republiki Korei o tym, że nie ma daty granicznej, kiedy należy rozpocząć rozmowy, a ich termin zawsze można zmienić, zapewne będzie w Pjongjangu odebrana jako oznaka słabości i wcale nie przybliży dialogu.

Piastujący swój urząd od maja prezydent Moon Jae-in chciałby wyjść z inicjatywą polityki „śmiałej podróży", wzorowanej na „słonecznej polityce" poprzedników. Miałaby ona polegać na porzuceniu wszelkiej wrogiej aktywności i wznowieniu dialogu między dwoma państwami. Już samo oczekiwanie, że Północ zaprzestanie kolejnych prób balistycznych (zapominając na chwilę o programie jądrowym), wydaje się jednak nierealistyczne. Pjongjang odnotowuje niekwestionowane postępy w programie rakietowym i jest wyraźnie zdeterminowany, by w ciągu kilku lat wejść w posiadanie w pełni operacyjnych pocisków pośredniego i międzykontynentalnego zasięgu, a być może również pocisków balistycznych, najpewniej średniego zasięgu, dla okrętów podwodnych. W tym świetle również doniesienia japońskiej gazety „Asahi Shimbun" o sekretnym rozkazie Kim Dzong Una, aby rozpocząć rozmowy dyplomatyczne z USA, które miałyby prowadzić do podpisania traktatu pokojowego, wyglądają na kolejną zagrywkę na zyskanie na czasie. ■

RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA

23 września 1941 roku przeprowadzono pierwsze pokazowe ćwiczenia bojowe brygady, a 9 października została ona rozkazem Naczelnego Wodza przemianowana na 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową.

INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO W LONDYNIE / FUNDACJA OŚRODKA KARTA

PIOTR KORCZYŃSKI

LICZYLIŚMY NA PRZYBYCIE NASZEJ BRYGADY

Dlaczego zorganizowana tak wielkim nakładem sił i środków brygada spadochronowa, której celem było wsparcie powstania zbrojnego w kraju, od początku istnienia nie miała szans na jego realizację?

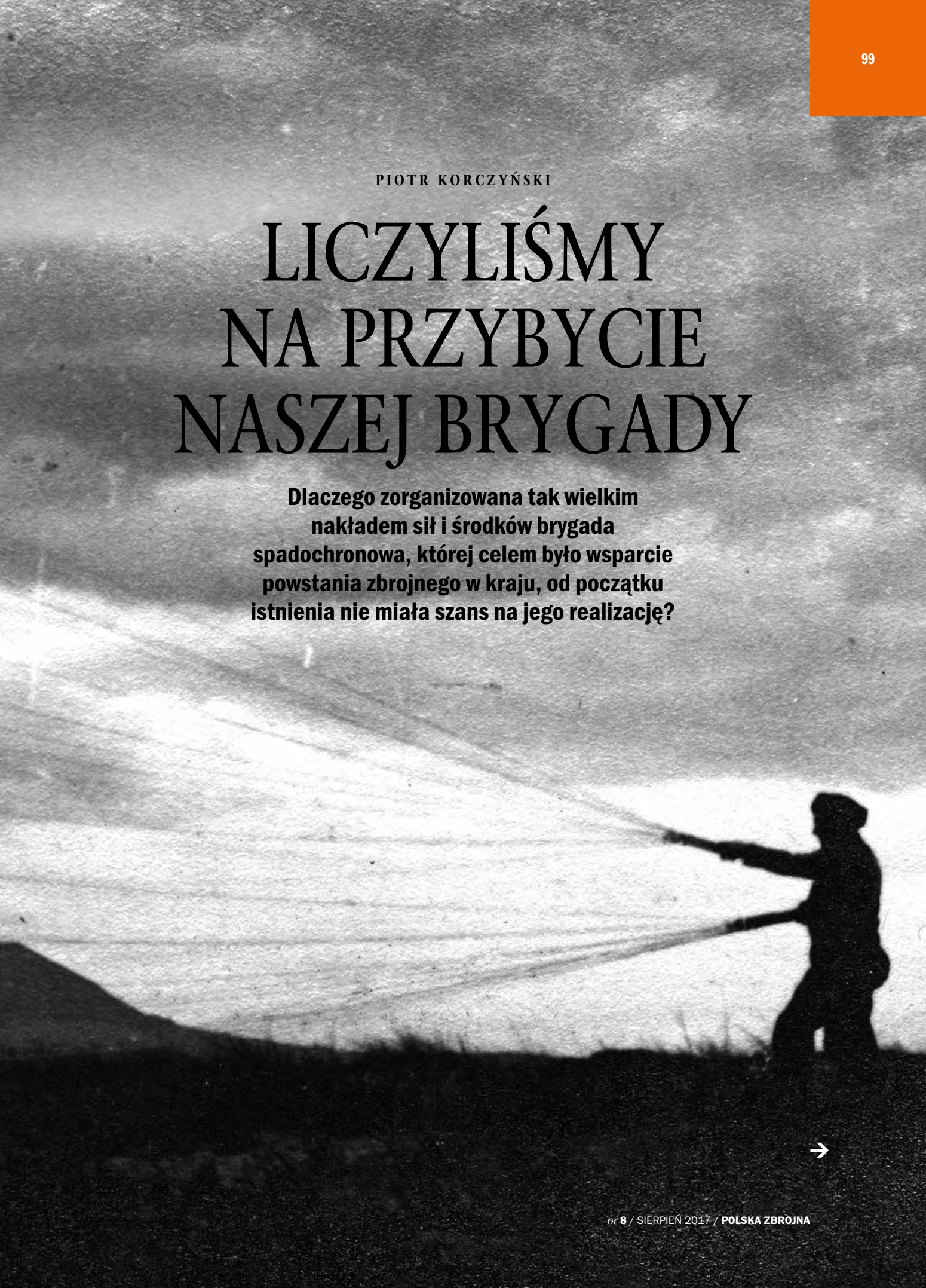

Sztab Naczelnego Wodza w Londynie 26 lipca 1944 roku dostał meldunek Komendy Głównej Armii Krajowej o decyzji rozpoczęcia w najbliższych dniach powstania w Warszawie. Dowództwo AK liczyło na pomoc, zwłaszcza oczekiwało na planowany przylot i desant 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Niestety, nikt z władz w Londynie nie powiadomił komendanta głównego AK, że to już nieaktualne, ponieważ brygada została oddana pod brytyjskie zwierzchnictwo. Jej dowódca gen. bryg. Stanisław Sosabowski na wieść o powstańczych planach postawił w stan gotowości jedną kompanię spadochronową. Liczył na to, że Anglicy pozwolą przynajmniej na ten symboliczny gest i przerzucą oddział nad Warszawę. Na próżno. 13 sierpnia rozgoryczeni żołnierze na znak protestu odmówili przyjęcia posiłku. Pierwszy raz surowy dowódca nie wyciągnął żadnych konsekwencji dyscyplinarnych – całkowicie solidaryzował się ze swymi podwładnymi. Dlaczego zorganizowana tak wielkim nakładem sił i środków brygada spadochronowa, której celem było wsparcie powstania zbrojnego w kraju, od początku swego istnienia nie miała szans na jego realizację?

WSPARCIE DLA POWSTAŃCÓW

Postulaty i plany powstania powszechnego w okupowanej Polsce zostały bardzo szybko podjęte w rządowych i wojskowych gremiach emigracyjnych. Już w pierwszej instrukcji z 4 grudnia 1939 roku powołującej Związek Walki Zbrojnej wspomniano, że ostatecznym celem podziemnej armii w Polsce ma być powstanie zbrojne na tyłach armii okupacyjnych. Wśród osób, które już wtedy zdawały sobie sprawę, że będzie to trudne, byli komendant główny ZWZ gen. broni Kazimierz Sosnkowski oraz dowódca na okupację niemiecką ZWZ gen. dyw. Stefan Rowecki. Obaj podkreślali w swych rozkazach i instrukcjach, że do zbrojnego wystąpienia trzeba się należycie przygotować. Gen. Sosnkowski m.in. napisał w instrukcji z 4 maja 1940 roku do komendanta okręgu ZWZ Wilno ppłk. Nikodema Sulika: „Wszelkie wystąpienia z bronią w ręku przeciwko okupantowi mogą mieć polityczny sens i cel jedynie w końcowym okresie wojny, gdy wojska sprzymierzone zbliżać się będą do Kraju, względnie gdy wojskowe i polityczne osłabienie okupantów postąpi tak dalece, że powstanie nasze będzie miało szanse trwałego owładnięcia Krajem”. Od razu też zaczęto się zastanawiać nad sposobem i możliwościami pomocy dla planowanego powstania ze strony polskiej armii na Zachodzie, a przede wszystkim aliantów.

Jako pierwsi z konkretnymi pomysłami pojawili się w sztabie Naczelnego Wodza dwaj kapitanowie saperów Jan Górski i Maciej Kalenkiewicz. Obaj prymusi Wyższej Szkoły Wojennej (ponadto Kalenkiewicz miał za sobą służbę w oddziale majora „Hubala”) proponowali wesprzeć przyszłe powstanie operacją powietrznodesantową. Pisali w memoriale: „Desanty powietrzne mogą być wyrzucone w chwili, gdy siły niemieckie będą związane uderzeniem Aliantów […]. Oddziały desantowe stosunkowo nieliczne (kompanie lub baony odpowiednio zmodyfikowane), wysadzone w miejscach wskazanych przez dowódców OB [organizacji bojowej] dadzą moralne poparcie powstańcom oraz, będąc oddziałami wyborowymi i zdyscyplinowanymi, zapewnią OB jedność dowodzenia powstaniem”. Ten śmiały plan został zignorowany, ale młodzi oficerowie z uporem o nim przypominali w sekretariacie sztabu, tak że w końcu zostali skierowani do pracy w biurze do spraw kraju gen. Sosnkowskiego.

INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO W LONDYNIE/ FUNDACJA OŚRODKA KARTA

Ćwiczenia bojowe 1 Brygady Spadochronowej, 1941–1942, Wielka Brytania

DOWÓDCA BRYGADY GEN. BRYG. STANISŁAW SOSABOWSKI NA WIEŚĆ O POWSTAŃCZYCH PLANACH POSTAWIŁ W STAN GOTOWOŚCI JEDNĄ KOMPANIĘ SPADOCHRONOWĄ

Również po ewakuacji polskiej armii do Wielkiej Brytanii Górski i Kalenkiewicz nie zaprzestali swych studiów nad zagadnieniami desantu powietrznego do kraju. Ich upór zaczął powoli przynosić efekty, gdyż w październiku 1940 roku zostali przeniesieni do Wydziału Studiów i Szkolenia Spadochronowego przy Oddziale III Sztabu Naczelnego Wodza. W marcu następnego roku napisali wspólnie studium „Uderzenie powierzchniowe jako nowa forma walki zaczepnej". W przekonaniu do tych koncepcji najwyższego polskiego dowództwa pomógł ambitnym oficerom… desant niemiecki na Kretę w maju 1941 roku. Ta niezwykle efektowna i propagandowo nagłośniona operacja zwróciła uwagę aliantów na potrzebę rozwoju i tworzenie w swych armiach oddziałów spadochronowych. Podobnie było też w Polskich Siłach Zbrojnych. Nagle pojawiło się zielone światło dla koncepcji Górskiego i Kalenkiewicza.

Nie zwracano przy tym uwagi, że znacznie wybiegają one w przyszłość. Kapitanowie postulowali na przykład przerzucanie drogą powietrzną całych dywizji pancernych i nakazywali konstruowanie przystosowanych do tego olbrzymich statków powietrznych, podczas gdy takich możliwości technicznych nie miały wówczas nawet najbardziej zaawansowane technologicznie armie świata. Niestety, niebranie tego pod uwagę miało się w przyszłości okrutnie zemścić na Polakach. Do planów Górskiego i Kalenkiewicza o wiele mniej entuzjastycznie niż Naczelny Wódz podchodził gen. Sosnkowski, który w Anglii stanął na czele Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza, odpowiedzialnego za sprawy krajowe. Jego oficerowie od początku preferowali pomoc dla powstania drogą morską.

Tymczasem prace nad polskimi wojskami spadochronowymi zaczęły przynosić konkretne efekty. 4 Brygada Kadrowa Strzelców rozpoczęła szkolenie spadochronowe, w którym wykorzystano doświadczenia przedwojennych polskich instruktorów. 23 września 1941 roku przeprowadzono pierwsze pokazowe ćwiczenia bojowe brygady, a 9 października została ona rozkazem Naczelnego Wodza przemianowana na 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową. Równocześnie zaczęto szkolić w niej skoczków, którzy mieli stanowić wsparcie dla Armii Krajowej (z czasem nazwano ich cichociemnymi). Jednocześnie Sikorski zastrzegł, że brygada jest przeznaczona wyłącznie do walki w kraju i nie podlega dowództwu brytyjskiemu.

Mimo tych pierwszych sukcesów w organizowaniu polskich oddziałów spadochronowych, a zatem także mimo efektywniejszej pomocy udzielanej podziemiu w kraju w postaci zrzutów wyposażenia, przede wszystkim jednak cichociemnych przeszkolonych w różnych dziedzinach walki konspiracyjnej, pozycja pionierów polskiego spadochroniarstwa na Wyspach Brytyjskich zaczęła w Sztabie NW słabnąć. Choć Sikorski nadal brał pod uwagę wielką operację powietrznodesantową jako podstawę do wsparcia

→

Po ewakuacji polskiej armii do Wielkiej Brytanii Jan Górski i Maciej Kalenkiewicz kontynuowali studia nad zagadnieniami desantu powietrznego do kraju.

powstania zbrojnego w kraju, nie zwracał już większej uwagi na kolejne projekty Górskiego i Kalenkiewicza. Może dlatego, że byli oni w gorącej wodzie kąpani i nieustannie wyrażali niezadowolenie ze zbyt powolnych prac nad rozwojem polskich wojsk spadochronowych. 28 października 1941 roku zapadła decyzja o wysłaniu kpt. Kalenkiewicza jako emisariusza do gen. dyw. Stefana Roweckiego. Został desantowany do kraju w nocy z 27 na 28 grudnia 1941 roku. Trochę dłużej w Sztabie NW pracował kpt. Górski – jako cichociemny w kraju znalazł się w marcu 1943 roku.

DYPLOMATYCZNE ZABIEGI

Tymczasem polskie władze nadal starały się zdobyć u aliantów akceptację dla powstańczych planów. Gen. Sikorski w czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych na początku 1943 roku spotkał się m.in. z szefem lotnictwa gen. Henrym Arnoldem, któremu przedstawił plany wsparcia polskiego powstania za pomocą masowych nalotów bombowych i desantów powietrznych. Amerykanin unikał jednak jakichkolwiek deklaracji w tej sprawie. Podobnie niewiele zyskał przedstawiciel polskiego dowództwa przy sztabie alianckim (Combined Chiefs of Staff – CCS) płk Leon Mitkiewicz, który z polecenia Sikorskiego starał się, by planowane powstanie w Polsce alianci oficjalnie włączyli do swoich planów strategicznych. W przygotowanym memoriale, który 2 lipca 1943 roku został złożony w CCS, zaznaczył, że jeszcze przed wybuchem powstania na tyłach wojsk niemieckich trzeba dostarczyć AK około 750 t uzbrojenia i zaopatrzenia, a następnie przerzucić na tereny już opanowane przez powstańców całość Polskich Sił Powietrznych wraz z brygadą spadochronową. Następnie przez 20 dni od rozpoczęcia powstania należało wykonywać loty z około 600 t zaopatrzenia dziennie. Resztę uzbrojenia i sprzętu dostarczono by po przeprowadzeniu desantu w rejonie Bałtyku.

23 września 1943 roku płk Mitkiewicz dostał odpowiedź na memoriał, która kończyła się konkluzją, że „Komitet Szefów Sztabów nie widzi w obecnej chwili sposobu, w jaki można by dostarczyć materiał wojenny zapotrzebowany przez Armię Krajową". Nieoficjalnie przewodniczący CCS adm. William D. Leahy dał Mitkiewiczowi jasno do zrozumienia, że alianci muszą się liczyć ze stanowiskiem sowieckiego sojusznika i obawiają się, czy dostarczona dla AK broń nie zostanie użyta do walki z Armią Czerwoną.

Mimo tej porażki polskie władze nie chciały zrezygnować z planów powietrznego wsparcia powstania w kraju. Dowództwo polskiej brygady spadochronowej optymistycznie podchodziło do przeprowadzenia większej operacji powietrznodesantowej. Sosabowski od połowy grudnia 1943 do połowy lutego 1944 roku przebywał w USA, gdzie zapoznał się z organizacją amerykańskich wojsk powietrznodesantowych. Amerykanie przekonali generała, że samoloty transportowe Douglas C-47 mogą, po zamontowaniu dodatkowych zbiorników paliwa, przewieźć spadochroniarzy do Polski i następnie wrócić do Wielkiej Brytanii bez potrzeby lądowania na sowieckich lotniskach. Po powrocie do Londynu Sosabowski zameldował o tym Naczelnemu Wodzowi, gen. broni Kazimierzowi Sosnkowskiemu.

TYLKO PONAD 300 POLSKIM SPADOCHRONIARZOM BYŁO DANE DESANTOWAĆ SIĘ DO KRAJU, GDZIE WSPIERALI DZIAŁANIA ARMII KRAJOWEJ JAKO CICHOCIEMNI

Wydawało się, że znalazło się wyjście z patowej sytuacji. W rzeczywistości taki przelot dakotami byłby możliwy, ale tylko po zapewnieniu pełnej osłony myśliwskiej i bez dopinania szybowców, do których ładowano sprzęt artyleryjski, samochody i amunicję. Bez tego brygada traciła właściwie całą swoją wartość bojową. Co gorsza,

okazało się, że zasięg dakot jest znacznie przeszacowany i nie wynosi, jak podawano, 3 tys. km, lecz jedynie dwa razy po 800 km.

BATALIA O SPADOCHRONIARZY

Zanim polscy spadochroniarze ruszyli do walki na froncie, między polskimi i brytyjskimi dowództwami doszło do prawdziwej batalii o jej przeznaczenie. Brytyjczycy swoją 1 Dywizję Powietrznodesantową organizowali równolegle z tworzeniem polskiej brygady, czyli od jesieni 1941 roku. Sosabowski już podczas pierwszego spotkania z dowódcą dywizji gen. Frederickiem „Boy" Browningiem w listopadzie 1941 roku musiał bronić się przed sugestiami wcielenia brygady w struktury brytyjskie. 17 maja 1943 roku, w czasie kolejnej wizyty u polskich spadochroniarzy, gen. Browning zaproponował Polakowi utworzenie polsko-brytyjskiej dywizji powietrznodesantowej i objęcie dowództwa. Była to oferta bez precedensu, gdyż Brytyjczycy nie mieli w zwyczaju oddawać swych żołnierzy pod bezpośrednie obce dowództwo. Ku zaskoczeniu Browninga płk Sosabowski odmówił, a swą decyzję tłumaczył przeznaczeniem brygady do walki w Polsce.

Od początku 1944 roku pełną parą ruszyły przygotowania do otwarcia drugiego frontu w Europie Zachodniej. 13 marca inspekcję polskiej brygady spadochronowej przeprowadził dowódca 21 Grupy Armii gen. Bernard Montgomery. Po wyjeździe z brygady zdecydował, że ta doborowa jednostka musi przejść pod brytyjskie dowództwo i walczyć w czasie nadchodzącej ofensywy. Memoriał w tej sprawie przesłano do Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, i premiera Stanisława Mikołajczyka. Po długich debatach Sosnkowski zgodził się przekazać zwierzchnictwo nad brygadą, ale pod kilkoma warunkami. Zaznaczył m.in., że „brygada będzie natychmiast wycofana [z frontu] i oddana do rozporządzenia Naczelnego Wodza, gdy powstanie możliwość lub prawdopodobieństwo użycia jej na terenie Polski, ocena tego momentu będzie należeć do władz polskich". Ponadto Sosnkowski zobowiązywał Brytyjczyków do „dołożenia wszelkich starań dla zapewnienia odpowiedniej liczby samolotów na przewiezienie brygady do Polski w zamian za naszą zgodę na użycie jej podczas inwazji". Marszałek Montgomery w typowy dla siebie sposób odpowiedział, że polskie władze powinny mieć większe zaufanie do brytyjskiego dowództwa i warunki odrzucił.

WIELKIE ROZCZAROWANIE

6 czerwca 1944 roku, w dniu lądowania aliantów w Normandii, gen. Sosnkowski, wobec groźby wstrzymania dostaw dla brygady, oddał ją pod brytyjskie zwierzchnictwo. Jednym z największych dramatów wynikających z tej decyzji, oprócz użycia doborowej polskiej jednostki w źle zaplanowanej operacji „Market Garden", było to, że dowództwo AK w kraju nie zostało o tej zmianie poinformowane i w planach powstania zbrojnego nadal uwzględniało wsparcie ze strony brygady.

Nadzieje związane z 1 Samodzielną Brygadą Spadochronową, która miała udzielić pomocy powstańczej Warszawie, dobitnie wyrażają słowa syna jej dowódcy, por. Stanisława Janusza Sosabowskiego „Stasinka", jednego z dowódców powstańczych: „Od pierwszego dnia walki liczyliśmy na przybycie naszej brygady i jej pomoc w nierównej walce. Nadzieję umacniały dostawy broni i zaopatrzenia, zrzucane z samolotów przylatujących z Anglii i Włoch. Osiemnastego września, wczesnym popołudniem słonecznego jesiennego dnia, usłyszeliśmy z oddali odgłos ciężkich bombowców. Nadlatywały falami nad płonące miasto. Całe niebo rozkwitło niezliczonymi spadochronami. Pomimo nieprzyjacielskiego ostrzału ludzie wybiegli na ulice, krzycząc z radości: »Przybywają! Nasi spadochroniarze przybywają!«. Potem przyszło wielkie rozczarowanie, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że to tylko ogromna dostawa broni i zaopatrzenia, w większości, niestety, zrzucona nad częścią miasta zajętego przez Niemców!". Jak pisze „Stasinek", ich nadzieje na przybycie brygady rozwiały się zupełnie, kiedy się dowiedzieli, że bierze ona udział w desancie alianckim pod Arnhem.

Tylko ponad 300 polskim spadochroniarzom było dane desantować się do kraju, gdzie wspierali działania Armii Krajowej jako cichociemni. Reszcie polskiej brygady spadochronowej przyszło walczyć pod niebem Holandii. Żołnierze czuli podwójną gorycz po klęsce operacji „Market Garden", gdyż odpowiedzialnością za niepowodzenie jej dowództwo obarczyło w znacznej mierze Sosabowskiego. Browning w raporcie do Sztabu Generalnego dopuścił się jawnego kłamstwa: „Polacy spisywali się słabo". Co więcej, pomijając hierarchię służbową, brytyjski dowódca napisał list, w którym oskarżył Sosabowskiego o „niechęć do współpracy". To był wstęp do odwołania niepokornego oficera z dowództwa brygady.

Po latach, dzięki staraniom polskich weteranów i holenderskiej społeczności, która całkiem inaczej zapamiętała walkę Polaków pod Driel niż wynikało to z raportu Browninga, oraz staraniom wielu brytyjskich towarzyszy broni polskich spadochroniarzy z 1 Dywizji Powietrznodesantowej, prawda o żołnierzach Sosabowskiego została odkłamana. ■

JAKUB NAWROCKI

Bieszczadzka twierdza

Niewielka miejscowość stała się schronieniem dla Polaków przed atakami UPA.

Położona pomiędzy Przemyślem a Sanokiem Bircza przed II wojną światową była niewielkim miasteczkiem zamieszkiwanym przez ludność polską, ukraińską i żydowską. Ziemię birczyńską zasiedlała w większości ludność ukraińska. Poparcie dla organizacji OUN-UPA było w tym rejonie tak silne, że w okolicy powstawały tzw. republiki powstańcze – stworzone przez ukraińskich nacjonalistów miniaturowe państewka, z własną administracją, sądownictwem i granicami. Pośrodku tych republik znajdowała się Bircza, do której napływali Polacy z okolicznych wsi i ludność polska zza wschodniej granicy. Na początku 1945 roku miasteczko stało się głównym celem ataku nacjonalistów ukraińskich, dążących do utworzenia własnego państwa na tych ziemiach.

NIEWIELKI GARNIZON

W Birczy do lata 1945 roku nie było garnizonu Wojska Polskiego. Obowiązki związane z bezpieczeństwem spełniały milicja i ORMO. Dopiero kiedy sytuacja w Bieszczadach zaczęła wymykać się spod kontroli komunistycznych władz państwa polskiego, frontowe jednostki wojska zostały skierowane do walki z banderowcami na południowym wschodzie Polski. Do Birczy dotarły pododdziały 9 Drezdeńskiej Dywizji Piechoty. W sierpniu 1945 roku wojsko zaczęło rozbudowę pozycji obronnych wokół miasteczka. W Birczy znalazło schronienie wielu uciekinierów z Wołynia i Galicji Zachodniej. Ich wstrząsające opowieści o mordach dokonanych przez UPA potęgowały atmosferę strachu. Mimo ogromnej pracy żołnierzy w celu przygotowania Birczy do odparcia ataku, banderowcy mieli doskonałe rozeznanie w sytuacji obronnej Polaków i gdy zebrali odpowiednio duże siły, postanowili przeprowadzić szturm na polską twierdzę.

ŁUNY NAD MIASTEM

Pierwszy atak na Birczę nastąpił w nocy z 22 na 23 października. Po stronie ukraińskiej znajdowały się sotnie „Rena", „Jara" i „Suchego" w sile około 600 ludzi. Na terenie polskiej placówki były pododdziały 28 i 30 Pułku Piechoty oraz pojedyncze elementy z 17 Dywizji Piechoty. Ich łączna siła nie przekraczała 500 żołnierzy. Datę ataku wybrano nieprzypadkowo. UPA ustaliła, że tego dnia część żołnierzy garnizonu oraz z innych jednostek ma być demobilizowana do cywila. Liczyła na to, że nastąpi rozluźnienie w szeregach obrońców. Za główny cel Ukraińcy postawili sobie rozbicie sztabu 30 Pułku Piechoty i spalenie dokumentacji miejscowej ludności ukraińskiej, przygotowanej do wysiedlenia na tereny USRR. Aby zaskoczenie było większe, banderowcy zastosowali fortel. Jedna z czot (odpowiednik plutonu) w sile około 30 ludzi, przebrana w mundury Wojska Polskiego postanowiła wkroczyć do miasteczka od północy i od wewnątrz zaatakować obronę. Podstęp się udał. Polskie czujki i punkty obserwacyjne nie wszczęły alarmu. Dopiero na wezwania do podania hasła Ukraińcy otworzyli ogień. Jednocześnie wystrzelili białe race – mające być znakiem do ataku na miasto dla innych oddziałów

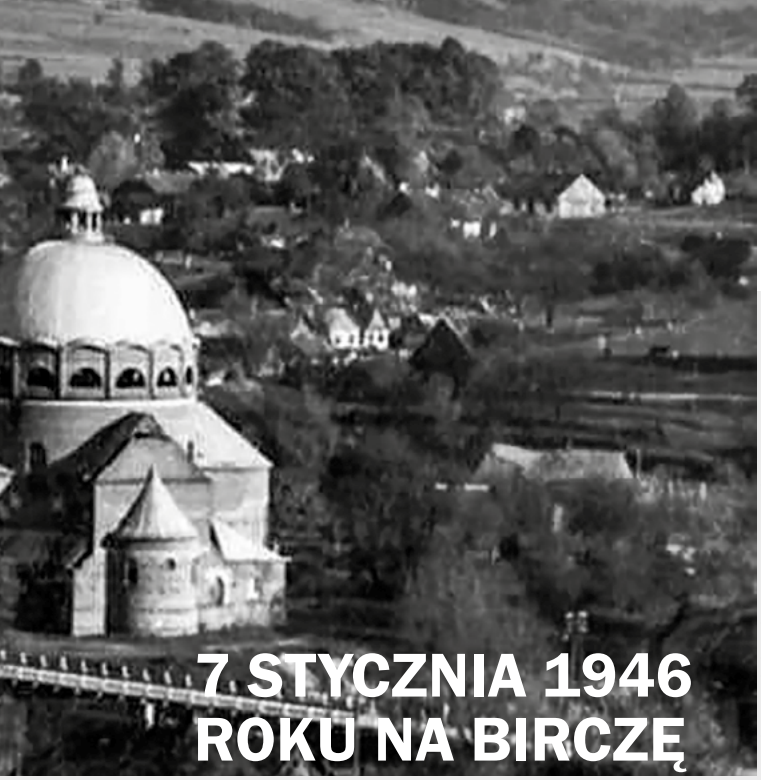

ARCH. GOKSiT W BIRCZY

7 STYCZNIA 1946 ROKU NA BIRCZĘ ZOSTAŁ PRZEPROWADZONY NAJPOTĘŻNIEJSZY ATAK. SIŁY UPA LICZYŁY OKOŁO 600 LUDZI

UPA. Banderowcy podpalili kilkanaście zabudowań i koszary wojskowe. Wycofali się po kilkugodzinnej walce, bojąc się odsieczy z Sanoka lub Przemyśla.

Drugi atak rozpoczął się 29 listopada 1945 roku po godzinie 22.00 silnym ostrzałem moździerzowym i karabinowym. Garnizon polski ciągle się zmieniał, a Ukraińcy chcieli „bojem" rozpoznać siły obrońców i jednocześnie zablokować Wojsko Polskie w miasteczku. Tej nocy banderowcy przeprowadzili skoordynowany atak na okoliczne wsie zamieszkiwane przez Polaków. Spłonęły m.in.: Stara Bircza, Boguszówka, Rudawka i Huta Brzuska.

W połowie grudnia 1945 roku został zmieniony garnizon miasteczka. Na miejsce 460 elewów Szkoły Podoficerskiej Krakowskiego Okręgu Wojskowego został wyznaczony 2 Batalion 26 Pułku Piechoty, liczący łącznie 222 żołnierzy. Gdy miejscowi zobaczyli, ilu przybyło żołnierzy na miejsce wycofującego się garnizonu, w miasteczku wybuchła panika. Tak te chwile zapamiętał porucznik Witold Grabarczyk, Wołyniak, weteran 27 Dywizji Piechoty AK, a w 26 Pułku Piechoty dowódca plutonu moździerzy: „Dla nich to była tragedia! Jak zobaczyli, że ich wojsko opuszcza ziemianki i bunkry tworzące linię obrony wokół miasteczka i staje na rynku na zbiórce, wpadli w panikę i zaczęli natychmiast szykować się do wyjazdu. Zewsząd dochodził płacz kobiet". Za kolumną elewów ustawiła się druga, uciekinierów z miasteczka, i razem odeszli do Przemyśla. W Birczy pozostał jedynie garnizon i nieliczni cywile, którzy albo nie mieli sił dalej uciekać, albo nie mieli dokąd. Nowy dowódca garnizonu mjr Leon Lubecki, wiedząc, że nie jest w stanie zabezpieczyć wszystkich placówek i bunkrów, postanowił obsadzić poszczególne odcinki obrony miasta, a w samym jej centrum ustawić moździerze i pluton fizylierów, którzy mieli interweniować w razie zagrożenia. Odział ten został skierowany w rejon Bieszczad bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej. Żołnierzom nie brakowało amunicji, ponieważ wycofujący się do Przemyśla elewi pozostawili swoim zmiennikom zapasy. Moment decydujący dla losów Birczy i jej mieszkańców nieuchronnie się zbliżał.

DECYDUJĄCE STARCIE

W styczniu 1946 roku UPA postanowiła przeprowadzić ostatni, decydujący szturm na miasto. Po raz kolejny datę ataku wybrano nieprzypadkowo – noc z 6 na 7 stycznia 1946 roku – w okresie prawosławnych i greckokatolickich świąt Bożego Narodzenia. Dowódcy okolicznych kureni i sotni liczyli na zaskoczenie Polaków, ponieważ Ukraińcy nie atakowali wojska w okresie świąt. Około godziny 2 w nocy 7 stycznia 1946 roku na Birczę został przeprowadzony najpotężniejszy atak. Siły UPA liczyły około 600 ludzi. Polscy obrońcy dopuścili na niewielką odległość od swoich pozycji nacierających Ukraińców, i dopiero wtedy otworzyli do nich ogień. Dowódca batalionu umiejętnie wykorzystywał swoje siły, przerzucając ludzi z jednego odcinka obrony na drugi. Decydujące znaczenie dla polskiego garnizonu miało wsparcie moździerzowe. Ustawione na rynku moździerze prowadziły skoordynowany, naprowadzany i przede wszystkim skuteczny ostrzał nacierających Ukraińców. Po kilkugodzinnej walce na odsiecz Birczy dotarł batalion 26 Pułku Piechoty, który przerwał pierścień oblężenia. Dopiero wtedy Ukraińcy odstąpili od ataku i zaczęli się wycofywać w góry.

Z załogi twierdzy tamtego dnia zabito jedną osobę, a kilka zostało rannych. Według danych polskich, w ataku zginęło blisko 140 (!) upowców. Sami Ukraińcy w raportach do dowództwa informowali o 23 poległych, w tym dwóch ważnych dowódcach terenowych. Przegrana nacjonalistów położyła kres utworzeniu na tzw. Zakerzoniu państwa ukraińskiego. Spokój zapanował jednak na ziemi birczyńskiej na dobre dopiero po zakończeniu operacji „Wisła" w 1947 roku. ■

CEZARY POMYKAŁO

„POLSKA ZBROJNA. HISTORIA" to kwartalnik traktujący o dziejach Wojska Polskiego i historii naszego oręża. Wydawcą jest Wojskowy Instytut Wydawniczy, a redaktorem naczelnym ANNA PUTKIEWICZ. W czerwcu 2017 roku ukazał się pierwszy numer. Pismo dostępne jest w salonach Empik oraz punktach sprzedaży Poczty Polskiej. Dystrybuowane jest także w ramach resortu obrony narodowej – do jednostek wojskowych, muzeów, uczelni wyższych i instytucji MON.

TA OPOWIEŚĆ NAPRAWDĘ WCIĄGA

Z Anną Putkiewicz

o wyjątkowym podejściu do naszej historii, które znajduje odzwierciedlenie w nowym kwartalniku, rozmawia Maciej Chilczuk.

Na rynku jest już dostępny nowy tytuł – „Polska Zbrojna. Historia", którego Pani jest inicjatorką i redaktorem naczelnym. Skąd pomysł na takie wydawnictwo?

Uważam, że żyjemy bardziej świadomie, jeśli wiemy więcej. Znajomość historii zdecydowanie poszerza horyzonty, chcielibyśmy też, by wprost przekładała się na szacunek do polskiego munduru i na coś, co pięknie nazywa się miłowaniem ojczyzny. To właściwy czas na taki tytuł. Z Ministerstwa Obrony Narodowej wciąż dociera mocny sygnał dotyczący tego, jak istotną rolę w kształtowaniu świadomości i pamięci społecznej odgrywa polityka historyczna. Aktywność ministerstwa w tej dziedzinie nie ma sobie równych w dotychczasowej historii. Ten sygnał rezonuje społecznie. Czytelnicy szukają takich treści. Popatrzmy choćby na uroczystości wojskowe, przypomnijmy sobie pogrzeb „Łupaszki". Tak wielka frekwencja nie wynika przecież z powodów towarzyskich. To potrzeba wspólnego przeżywania spraw najważniejszych, wyrażenia swojego stosunku do rodzimej historii. Na pewno pociągające jest też piękno wojskowego ceremoniału i obecność polskiego munduru. Boleję nad tym, że oficer w pełnym umundurowaniu to rzadki widok na naszych ulicach. Wystarczy przejrzeć stare albumy, by wiedzieć, o czym mówię. Dzieje orła wojskowego, tradycje munduru, tajemnice wojskowego ceremoniału – tym wszystkim zajmują się na naszych łamach specjaliści.

Co jeszcze będzie wyróżniało „Polskę Zbrojną. Historię" spośród innych dostępnych w sprzedaży tytułów?

Mocną stroną naszego magazynu jest rozbijanie stereotypowego, szkolnego podejścia do tematu. Robimy stop-klatkę i wielką panoramę oglądamy przez szkło powiększające, zatrzymując się na istotnych, ciekawych czy wyjątkowych szczegółach. Czytelnik stoi w środku tego i musi sobie poradzić z wszystkimi armiami, generałami, pułkownikami, rotmistrzami, których mu przyprowadzamy. Z szykiem bitewnym, uzbrojeniem, strategią czy geopolityką. Ma mieć z tej lektury pożytek. Zrozumieć, zapamiętać, może przeżyć, pokusić się o budowanie historii alternatywnej. Czemu nie? A później spróbować inaczej stanąć na polskiej ziemi. Jako pełnoprawny spadkobierca. Brzmi patetycznie, ale to jest właśnie nasza misja.

Na rynku wydawniczym funkcjonują znakomicie wydawane dodatki historyczne. Czy potrzebny jest kolejny?

Nie zamierzamy z nimi konkurować. „Polska Zbrojna. Historia" wypełnia lukę między zasłużoną, blisko stuletnią, stricte naukowym „Kwartalnikiem Bellona" a działami historycznymi w miesięczniku „Polska Zbrojna" i na portalu polska-zbrojna.pl. Portal powiększył swoje portfolio tematów o ten dział. Zachęcam, by tam zaglądać. Nasze wydawnictwa, w tym także popularne historyczne jednodniówki Wojskowego Instytutu Wydawniczego, zyskały nową grupę czytelników. Chcemy zagospodarować to zainteresowanie.

Do kogo zatem kierowany jest kwartalnik?

Nasz czytelnik nie ma określonego wieku ani zawodu. Ma jednak coś, co nas z nim łączy – tożsamość, ciekawość i cierpliwość. I jest wymagający. Warto się więc dla niego postarać. Duża część nakładu trafi do studentów, licealistów, kadry oficerskiej, do młodych ludzi. Z nadzieją na ich edukację i formowanie postaw. Liczę, że już po zwyczajowym przekartkowaniu czytelnik wie, że „Polska Zbrojna. Historia" nie aspiruje do bycia jedynie lekką i łatwą lekturą, ale na pewno przyjemną i gwarantuję, że wzbogacającą.

Każde pismo jest tak dobre, jak mocny jest poczet jego autorów. Kogo udało się Pani namówić do współpracy?

Magazyn nie jest tworzony siłami dziennikarzy. To rodzaj katedry historii wojskowości, ale bez mentorskiego zadęcia, bez dydaktyzmu. W poszukiwaniu autorów publikacji celujemy w środek tarczy. Jesteśmy przecież blisko źródła, mamy dostęp do kadry naukowej wyższych uczelni wojskowych. To świetni specjaliści. Współpracujemy ze znakomitymi muzealnikami – mam tu na myśli szczególnie Muzeum Wojska Polskiego, oraz z historykami z Akademii Sztuki Wojennej, Wojskowej Akademii Technicznej, polskich uniwersytetów. Oczywiście korzystamy z kompetencji historyków Instytutu Pamięci Narodowej. Podkreślam, że te osoby o uznanych nazwiskach piszą dla czytelnika, który nie zajmuje się profesjonalnie historią. Uważam, że ktoś, kto zadaje sobie trud poznawania historii swojego państwa, i wydaje na to pieniądze, powinien zostać doceniony – kompetencjami i warsztatem autorów, a także artyzmem wykonania całości.

Dużo Pani mówi o znaczeniu tradycji.

To podstawa. W międzywojniu Sztab Generalny Wojska Polskiego razem z ministerstwem wydawały ponad 200 tytułów wojskowych, np. popularny wówczas „Przegląd Kawaleryjski" czy „Przegląd Wojskowo-Techniczny" i oczywiście „Polskę Zbrojną". Były uznawane i cytowane w Europie. Jako publicyści przewijali się tam najznamienitsi wojskowi i uczeni. →

Robimy stop-klatkę i wielką panoramę dziejów polskiego oręża oglądamy przez szkło powiększające, zatrzymując się na istotnych, ciekawych czy wyjątkowych szczegółach

Dlaczego nie mogłoby tak być dzisiaj? Polacy czują głód swojej historii, choć często mają do niej stosunek ambiwalentny. Albo są rozkochani w naszym romantyzmie, który jest przemitologizowany, bo nie trzymamy znów tak bardzo głowy w chmurach, albo chcą zerwać z rzekomo destrukcyjnym, wiecznym „rozdrapywaniem ran", kontestując zasadność dochodzenia do prawdy, ot choćby w historii powojennej. Błędem, w mojej ocenie, jest odrzucanie naszej historii, bo nie jest utkana spektakularnymi podbojami, zwycięstwami. Jest w swej istocie rzeczywiście martyrologiczna i nie da się jej podrasować w Photoshopie. Ale jest nasza. Taka jaka jest. Jej wartością jest prawda. Wartością jest też męstwo naszych żołnierzy, są nią ich umiejętności wojskowe. Nigdy niekwestionowane.

Czy zaproszenie do współpracy naukowców nie spowoduje, że pismo będzie hermetyczne, napisane nieprzystępnym językiem, po prostu za trudne?

Wie Pan, kto jest w stanie zakłopotać profesora historii? Jedynie dziecko. Swoim bezkompromisowym, bezwzględnym i powtarzalnym pytaniem „dlaczego?". To jedno pytanie wciąga jak wir. I generuje najlepsze odpowiedzi. A dziecko szuka jedynie praprzyczyny zdarzeń. Okazuje się, że prostolinijna ciekawość dziecka przerasta możliwości uczonych. Bo w pewnym momencie wchodzi złożoność zmiennych, pojawia się kwestia przypadków, niuansów i niedostatków ludzkiej natury. Czegoś, co nazywa się geopolityką.

Przykładem naszego podejścia do tematu jest choćby sekwencja poświęcona Błękitnej Armii gen. Hallera i powstaniu wielkopolskiemu. Nic po łebkach. Dobór pierwszoligowych autorów i temat ukazany z kilku perspektyw. To wszystko podkreślone piękną grafiką, nieprzypadkowym doborem zdjęć. Po lekturze zaczynamy się orientować w tamtym kawałku historii, jesteśmy też przygotowani na więcej. Znamy odpowiedź na pierwsze pytanie „dlaczego?", wiemy też „kto, kiedy i gdzie". Zaczynamy rozumieć, co naprawdę tam zaszło. A przecież miały tam miejsce rzeczy kapitalne.

Większość Polaków na hasło „powstanie wielkopolskie" bez namysłu odpowiada „jedyne zwycięskie"...

Odeszliśmy od posługiwania się takimi pustymi kalkami. Wolimy pokazywać ludzi, którzy zmienili bieg zdarzeń. Nie pomnikowe symbole, lecz pełnokrwiste postacie. Na łamach „Polski Zbrojnej. Historii" widzimy ich twarze, zdjęcia, dokumenty, osobiste wspomnienia. Oto niespieszni z natury Wielkopolanie objawili swe skuteczne – ba, imponujące – oblicze, wojskowy spryt. Cała akcja mjr. Palucha przed ratuszem, ogrywanie wojskowej pruskiej administracji do końca i brawurowy atak na Ławicę. Pierwszy łup wojenny, który ustawia naszą eskadrę na lata. Miny polskich lotników na zdjęciach… Obrazy jak z kina akcji. A potem pierwsza przysięga na poznańskim rynku, polskie wojsko, po ponad 120 latach niewoli, klęczy i słucha mszy.

O czym będziemy mogli przeczytać w następnym numerze?

Drugi numer poświęcimy arcyciekawemu zagadnieniu, m.in. architekturze militarnej i obronie miast, fortów, obiektów. Rozmawiałam już z jednym z najlepszych znawców tematu w Polsce i czekam m.in. na tekst o fortyfikacjach na West Point. Chcemy przybliżyć postać Tadeusza Kościuszki z innej perspektywy. Wydaje mi się, że czasami mamy tendencję do czegoś w rodzaju „spoczciwiania" naszych bohaterów, stają się zakładnikami naszych sympatycznych skądinąd sentymentów. Myślę, że taki los spotkał m.in. właśnie Kościuszkę. Znów kalki: bohater spod Racławic, Maciejowice, kosynierzy... A przecież jego stosunek do etosu żołnierza był odrębny już podczas składania przysięgi. On pierwszy spersonalizował ten akt: „Ja, Tadeusz Kościuszko", zastawił publicznie, w imię polskiej wolności, sławę swego rodu, cześć swego nazwiska, za tym poszli jego żołnierze. Przytaczam to nie bez powodu. Tak właśnie w redakcji myślimy o pokazywaniu wojska na przestrzeni dziejów. Owszem, istotą armii jest jej karna, zdyscyplinowana masowość, ale jednocześnie przecież siłą tej „masy" jest zbiór indywidualności. I to jest właśnie najpiękniejsze w tej historii. Bądźmy jej ciekawi. ■

ROBERT SENDEK

Jugosłowiański Džejms Bond

Był agentem Abwehry, wywiadu brytyjskiego oraz emigracyjnego rządu jugosłowiańskiego w Londynie. Został uznany za jednego z najlepszych szpiegów brytyjskich II wojny światowej i odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego. Duško Popov jest jednym z pierwowzorów Jamesa Bonda.

Naprawdę nazywał się Dušan Popov. Urodził się w 1912 roku w zamożnej kupieckiej rodzinie, wywodzącej się z północnej Serbii. Zdobył doskonałe wykształcenie, w najlepszych szkołach, najpierw w jugosłowiańskim Dubrowniku, potem w Wielkiej Brytanii. Szkołę średnią ukończył we Francji, z kolei w Niemczech podjął studia prawnicze. Czas spędzony za granicą pozwolił mu na szlifowanie wyniesionej jeszcze z domu znajomości języków obcych, angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Podczas studenckich lat, z dala od domu, Popov zasmakował w życiu bon vivanta i utracjusza: wysoko sobie cenił damskie towarzystwo, biesiady przy dobrym alkoholu i taniec, uwielbiał poza tym narty, karty i szybkie samochody. W niemieckim Freiburgu, gdzie jesienią 1935 roku zaczął pisać doktorat, poznał Johanna Jebsena, podobnego sobie lekkoducha, syna niemieckich magnatów okrętowych o duńskim pochodzeniu. Znajomość ta była dla Popova decydująca. Obydwaj z Jebsenem szybko przypadli sobie do gustu, mając podobne zapatrywania na życie, politykę oraz dzieląc niechęć do zachodzących w hitlerowskich Niemczech przemian. Ich przyjaźń umocniło to, że Jebsen wyciągnął Popova z niemieckiego więzienia, gdzie ten trafił oskarżony o sympatie komunistyczne (co nie było prawdą).

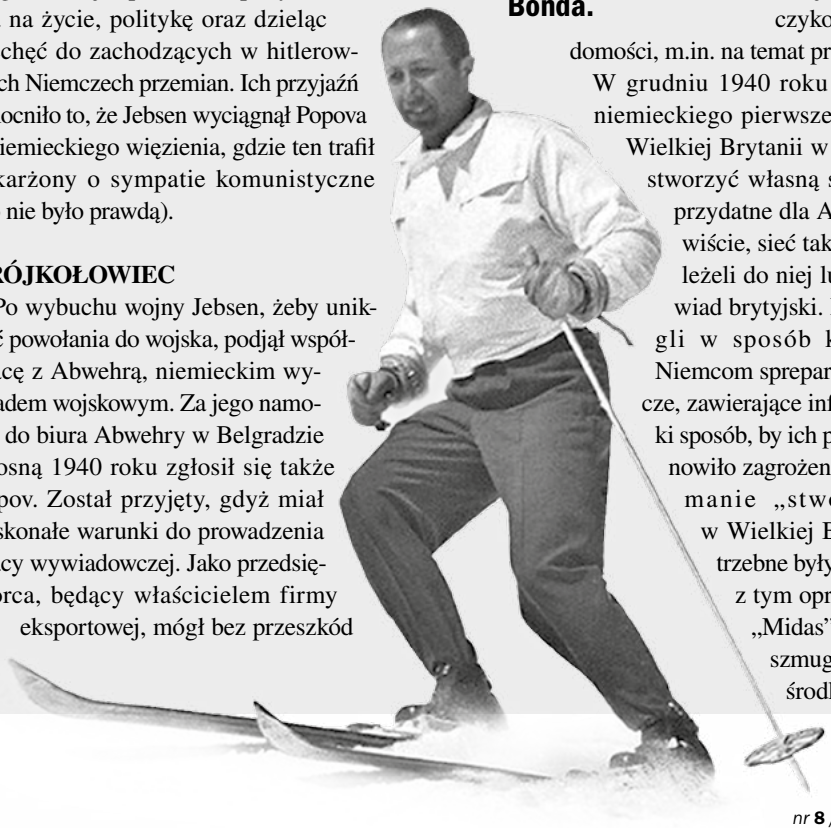

TRÓJKOŁOWIEC

Po wybuchu wojny Jebsen, żeby uniknąć powołania do wojska, podjął współpracę z Abwehrą, niemieckim wywiadem wojskowym. Za jego namową do biura Abwehry w Belgradzie wiosną 1940 roku zgłosił się także Popov. Został przyjęty, gdyż miał doskonałe warunki do prowadzenia pracy wywiadowczej. Jako przedsiębiorca, będący właścicielem firmy eksportowej, mógł bez przeszkód podróżować, a jednocześnie gromadzić informacje, znał poza tym języki i miał dostęp do dobrze poinformowanych ludzi, m.in. w Wielkiej Brytanii. Od Niemców otrzymał pseudonim operacyjny „Ivan". Niemal równocześnie Popov zgłosił się do brytyjskiej ambasady w Belgradzie, gdzie zaproponował Brytyjczykom współpracę w charakterze podwójnego agenta. Został sprawdzony, po czym przydzielono mu pseudonim „Tricycle" (Trójkołowiec). Nieco później, gdy wiosną 1941 roku Niemcy i Włochy zajęły Jugosławię, Popov zgłosił się także do urzędników jugosłowiańskiego rządu emigracyjnego w Londynie, by podjąć współpracę z jugosłowiańską agencją wywiadowczą VOA jako człowiek do zadań specjalnych. Otrzymał wtedy pseudonim „Duško", pod którym jest bardziej znany niż pod swym prawdziwym imieniem. Odwdzięczył się też Jebsenowi i zwerbował go do pracy w wywiadzie brytyjskim. Pozostali przyjaciółmi, a jednocześnie obydwaj pracowali jako podwójni agenci, dostarczając Brytyjczykom wielu interesujących wiadomości, m.in. na temat pracy Abwehry.

W grudniu 1940 roku Popov dostał od wywiadu niemieckiego pierwsze zadanie. Miał pojechać do Wielkiej Brytanii w interesach, nieoficjalnie zaś stworzyć własną sieć szpiegów, zbierających przydatne dla Abwehry informacje. Rzeczywiście, sieć taka powstała, tyle tylko, że należeli do niej ludzie podstawieni przez wywiad brytyjski. Dzięki nim Brytyjczycy mogli w sposób kontrolowany dostarczać Niemcom spreparowane materiały wywiadowcze, zawierające informacje skompilowane w taki sposób, by ich przekazanie Niemcom nie stanowiło zagrożenia dla własnych sił. Na utrzymanie „stworzonej" przez Popova w Wielkiej Brytanii siatki szpiegów potrzebne były pieniądze. Został w związku z tym opracowany plan o kryptonimie „Midas", który miał umożliwić przeszmuglowanie do Wielkiej Brytanii środków na opłacanie rzekomych

→

agentów. W rzeczywistości siatka taka nie istniała, chodziło jednak o przekonanie Niemców, że agenci są, działają i otrzymują wypłaty.

INFORMACJE, KTÓRE POPOV DOSTARCZYŁ AMERYKANOM, MOGŁY USTRZEC STANY ZJEDNOCZONE PRZED WIELKIMI STRATAMI PODCZAS JAPOŃSKIEGO ATAKU NA PEARL HARBOR W GRUDNIU 1941 ROKU. SZKODA, ŻE NIE POTRAKTOWANO ICH POWAŻNIE

PORTUGALSKIE CASINO ROYALE

Miłośnicy filmów z Jamesem Bondem zapewne doskonale pamiętają rozgrywającą się w kasynie scenę z filmu „Casino Royale". Film został oparty na wydanej w 1953 roku powieści Iana Fleminga pod tym samym tytułem, gdzie wątek ten pojawił się po raz pierwszy. Jednak pierwowzorem całej historii było wydarzenie, którego Fleming był naocznym świadkiem. Warto przypomnieć, iż podczas II wojny światowej pracował on dla wywiadu brytyjskiej marynarki wojennej. W maju 1941 roku przebywał w kurorcie Estoril w Portugalii, która jako kraj neutralny była wówczas areną rywalizacji wywiadów niemieckiego oraz brytyjskiego.

W Estoril znajdowało się lokalne biuro Abwehry. Tam przybył z Londynu także Popov z materiałami wywiadowczymi zebranymi w Wielkiej Brytanii oraz opracowanym planem „Midas". Popov przedstawił go niemieckiemu oficerowi prowadzącemu, którym był Ludovico von Karsthoff. Plan został zaakceptowany, Niemiec przekazał w ręce Popova kilkadziesiąt tysięcy dolarów na opłacenie „zwerbowanych" agentów w Wielkiej Brytanii. Zadaniem Fleminga było obserwowanie „Duška", a właściwie jego pieniędzy, chodził więc za nim jak cień.

Popov mieszkał wtedy w hotelu Palácio w Estoril, gdzie znajdowało się również kasyno (sam hotel pojawia się zresztą w filmie „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości" z 1969 roku). Trwała tam gra w bakarata. Jeden z siedzących przy stole mężczyzn chwalił się, że może grać o każde pieniądze. Wtedy, na oczach Fleminga, Popov rzucił na stół 40 tys. dolarów, astronomiczną sumę (równowartość dzisiejszych kilkuset tysięcy) i zapytał obsługę kasyna, czy gwarantuje wypłacalność swoich klientów. Kiedy krupier zaprzeczył, chełpliwy konkurent wycofał się z gry jak niepyszny. Popov blefował, obserwujący zaś całą sytuację Fleming odetchnął z ulgą.

MISJA PEARL HARBOR

W połowie sierpnia 1941 roku Popov poleciał z Lizbony do Nowego Jorku, oficjalnie jako jugosłowiański przedsiębiorca. Od wywiadu niemieckiego otrzymał misję stworzenia w Stanach Zjednoczonych, wtedy jeszcze neutralnych, sieci szpiegowskiej oraz gromadzenia informacji wywiadowczych dotyczących armii USA. Niemcy zaopatrzyli go w obszerny kwestionariusz, zawierający listę zadań do wykonania. Na prośbę wywiadu japońskiego (Japończycy przygotowywali atak na USA) Abwehra zawarła w instrukcjach dla Popova także polecenie, by w sposób szczególny interesował się amerykańskim lotnictwem oraz bazą wojenną Pearl Harbor na Hawajach. Ponieważ kwestii tej w kwestionariuszu poświęcono dużo uwagi, Popov wywnioskował, że jest przygotowywany atak lotniczy na USA w tym właśnie miejscu.

Po przybyciu do Ameryki rzucił się w wir wystawnego życia. Był to jego sprawdzony jeszcze w Londynie sposób na ściągnięcie uwagi wszelkich lekkoduchów i niebieskich ptaków oraz nawiązanie znajomości, które mógłby wykorzystać operacyjnie. Zabrał się do tego z prawdziwym rozmachem: zaraz po przylocie wynajął luksusowy apartament w hotelu tuż przy Park Avenue, kupił czerwony kabriolet ze składanym dachem, nowiutkiego Buicka, zaczął odwiedzać nocne kluby, organizował wyjazdy do kurortów na narty, wreszcie nawiązywał romanse, w tym z francuską aktorką, gwiazdą Hollywood, Simone Simon.

Brytyjczycy uprzedzili FBI, że Popov jest podwójnym agentem, który dla nich pracuje. Popov spotkał się z amerykańskimi agentami, którzy wypytywali go o szczegóły misji i przeglądali dostarczony przez niego kwestionariusz. Szczegółowo go sprawdzali, śledzili na każdym kroku, założyli też w jego apartamencie podsłuch. Jednak wystawny tryb życia młodego playboya spowodował, że Amerykanie przestali traktować go poważnie, zignorowali również informacje, które im przekazał w kwestii spodziewanego ataku powietrznego na Pearl Harbor. Uznali, że Popov jest farbowanym lisem, który próbuje wprowadzić ich w błąd i pod przykrywką pracuje wyłącznie dla siebie. Już po wojnie sprawa ta była przedmiotem kontrowersji, gdyż poważne potraktowanie informacji, które Popov dostarczył Amerykanom, mogło ustrzec ich przed wielkimi stratami podczas japońskiego ataku na Pearl Harbor w grudniu 1941 roku.

Popov pracował w USA jako agent niemiecki, powinien w związku z tym dostarczać Abwehrze informacje wywiadowcze. Jednak Amerykanie nie byli zainteresowani współpracą z kimś, kogo uważali za niegodnego zaufania, nie przekazywali mu więc żadnych spreparowanych materiałów, które mógłby wysyłać do Niemiec. O wiele bar-

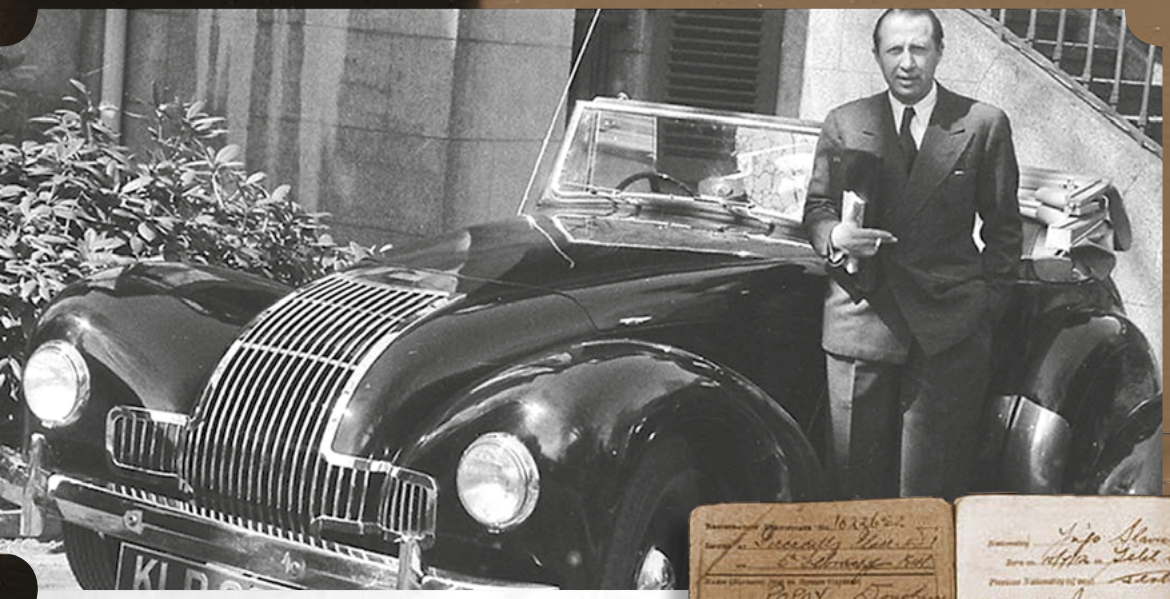

Popov i jego Allard K-1 Convertible. Koniec lat czterdziestych XX wieku.

Agent korzystał z niemieckiej techniki tzw. mikrokropek. Specjalne urządzenie pozwalało fotograficznie zmniejszyć materiały z dużą ilością informacji.

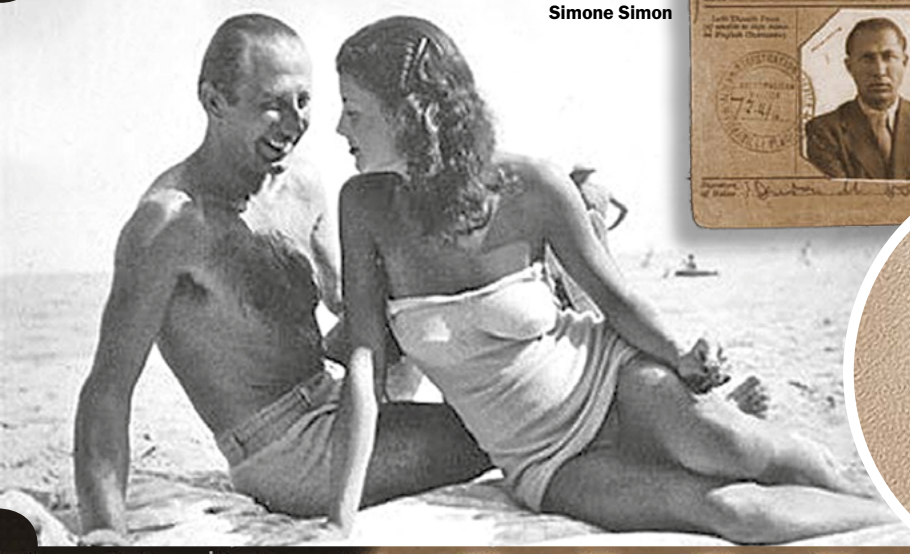

Z aktorką filmową Simone Simon

dziej interesowała ich niemiecka technika tzw. mikrokropek. Popov miał bowiem ze sobą urządzenie, które pozwalało fotograficznie zmniejszyć materiały z dużą ilością informacji (np. zapisane kartki papieru lub rysunki) do rozmiarów kropki, łatwej do ukrycia np. w liście.

PO WOJNIE

Duško Popov został uznany za jednego z najskuteczniejszych brytyjskich agentów wywiadu z czasów wojny i odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego. Kiedy zakończył pracę operacyjną, osiedlił się na południu Francji, gdzie mieszkał z żoną i dziećmi. Po latach opisał swe wspomnienia w autobiograficznej książce. Miał o czym pisać. „Spy, Counterspy", opublikowana dopiero w 1974 roku, liczy niemal 340 stron tekstu. Autorem wstępu jest Ewen Montagu, oficer brytyjskiego wywiadu morskiego, w czasie wojny służący wraz z Ianem Flemingiem. Popov zmarł w 1981 roku. ■

Rotmistrz MARIAN PODGÓRECZNY „ŻBIK” To ostatni żyjący doliniak, który pokonał cały siedmiusetkilometrowy szlak bojowy Zgrupowania Stołpeckiego u boku legendarnego dowódcy, cichociemnego mjr. Adolfa Pilcha „Góry” – „Doliny”.

PRZY „DOLINIE” WYTRWAŁEM DO KOŃCA

Z Marianem Podgóreczn ym „Żbikiem”

o rajdzie doliniaków z Kresów na Warszawę, wsparciu dla powstania i służbie kawalerzysty rozmawia Piotr Korczyński.

Kawalerzystą został Pan przez przypadek, gdy jako siedemnastoletni harcerz i konspirator w czerwcu 1944 roku dołączył wraz z kilkoma kolegami do stacjonującego w Puszczy Nalibockiej Zgrupowania Stołpeckiego. Co spowodowało, że przypiął Pan ułańskie ostrogi do butów?

Miałem przy sobie list polecający od cichociemnego por. Stanisława Wintera „Stanleya”, w którym potwierdzał on naszą działalność konspiracyjną. Dzięki tej rekomendacji por. „Góra” [Adolf Pilch] pozwolił nam wybrać, gdzie chcemy służyć. Razem z moim przyjacielem Staszkiem Myślickim „Niedźwiedziem” bez wahania wskazaliśmy kawalerię. Dowódca dywizjonu kawalerii chor. Zdzisław Nurkiewicz „Noc” spytał, czy umiemy jeździć konno. „Niedźwiedź” umiał, a moja mistyfikacja wyszła na jaw już po pierwszej próbie dosiadania wierzchowca. Mimo to obaj zostaliśmy przydzieleni do 3 szwadronu, który się dopiero organizował, a jego dowódcą był wach. pchor. Narcyz Kulikowski „Sum”. To wielkie chłopisko opiekowało się nami jak ojciec. To był wspaniały dowódca. Na razie zostaliśmy ułanami bez koni. Dostaliśmy najgorsze karabiny, jakie były na stanie szwadronu – stare i nieporęczne austriackie mannlichery M1895. Nowi koledzy pocieszali nas, że niebawem dostaniemy konie, ale lepszą broń sami będziemy musieli zdobyć na nieprzyjacielu. Większość szwadronu w tym czasie była zatem uzbrojona w sprzęt sowiecki. Każda sekcja kawaleryjska została wyposażona w jeden automat, pepeszę lub „diesiatizaradkę” [karabin dziesięciostrzałowy], jeden pistolet, najczęściej „tetetkę” lub rewolwer u dowódcy sekcji, jeden erkaem, na ogół Diegtiariowa, i cztery karabiny.

Do dziś kontrowersje budzi „pakt o nieagresji”, który „Góra” w grudniu 1943 roku był zmuszony za-

ARCH. MARIANA PODGÓRECZNEGO

Starszy ułan Marian Podgóreczny „Żbik” na swej klaczy „Katiuszy”, listopad 1944 roku.

Wszyscy w zgrupowaniu z niecierpliwością wypatrywaliśmy chwili, kiedy znowu uderzymy na Niemców

wrzeć z Niemcami, by przetrwać ciągłe ataki teoretycznie sojuszniczej partyzantki sowieckiej. Londyn i wyższe dowództwo AK nie znali sytuacji na Kresach i potępiali to posunięcie. Członkowie miejscowej konspiracji i podwładni „Góry” z oddziału, choć z ciężkim sercem, je aprobowali. Jak Pan zapamiętał tę sytuację?

Wszyscy w zgrupowaniu z niecierpliwością wypatrywaliśmy chwili, kiedy znowu uderzymy na Niemców. Nikt się z tym w oddziale nie krył. Niemieccy wojskowi i żandarmi doskonale zdawali sobie sprawę z tych nastrojów. Według niepisanej umowy musieliśmy, na prawach wzajemności, powstrzymać się od walki z nimi na terenie wokół Iwieńca. Por. „Góra” wydał jednak kategoryczny zakaz odwiedzania tej miejscowości, a Niemcy solidnie się ubezpieczyli i wybudowali wokół niej bunkry z gniazdami ciężkich karabinów maszynowych. Nasyłali nam też szpiegów, których likwidowaliśmy bez żadnego pardonu. Niechętnie też przekazywali nam broń i amunicję, do czego się zobowiązali, bo byli świadomi, że wzmacniają wroga.

Kiedy my dołączyliśmy do oddziału, ten niechciany rozejm miał się już ku końcowi. Nasz szwadron jeździł na rozpoznanie w kierunku Wołożyn, skąd miał nadejść nam z pomocą mjr Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz” ze swoimi żołnierzami. Mieliśmy się z nimi połączyć i razem uderzyć na Wilno. Oni jednak zostali rozbici przez Niemców, a major odniósł ciężkie rany. Jednocześnie ruszyła ofensywa „Bagration” i nie mogliśmy już wziąć udziału w walkach o Wilno. „Góra” wykorzystał panikę wśród Niemców po ataku Armii Czerwonej i postanowił iść na zachód, ku Warszawie. Tymczasem żandarmeria z Iwieńca, która zaprotonowała nam zawieszenie broni, ewakuowała się w obawie przed naszym atakiem.

W ten sposób zaczął się słynny rajd zgrupowania z Kresów pod Warszawę „ziemią niczyją”, między wycofującymi się wojskami niemieckimi a rozpędzonym „sowieckim walcem”. Jak to wyglądało?

Wyruszyliśmy w drogę, a nasza kolumna rozciągała się chyba na 3 km. Szliśmy lasami, polnymi drogami z dala od tych głównych, którymi przewalały się rozbite armie niemieckie. Po przejściu Niemna, razem ze Staszkiem Myśliwskim dowiedzieliśmy się, że w gospodarstwie, obok którego musiały przemaszerować nasze główne siły, jest dwóch partyzantów sowieckich. Chcieliśmy to sprawdzić. Na nasz widok Rosjanie sięgnęli po broń, ale nie zdążyli jej użyć. Myśmy mieli karabiny już gotowe do strzału, więc tylko odchyliliśmy skrzydełko bezpiecznika i zabiliśmy tych ludzi. To była chyba ostatnia walka z partyzantami sowieckimi w Puszczy Nalibockiej. Później jeszcze kilka razy dochodziło do potyczek, głównie z kolaborancką armią RONA.

Po sforsowaniu wpław Bugu zakwaterowano nas w Dzierzbach. Tam oficjalnie 15 lipca 1944 roku por. Pilch ogłosił, że zakończyliśmy walkę z partyzantką sowiecką i rozpoczynamy bój tylko z Niemcami. Oczywiście zapanował niebywały entuzjazm. Wyrzucaliśmy czapki w górę i wykrzykiwaliśmy: „Niech żyje »Góra!«”. W czasie tej uroczystości nasz dowódca, chor. Zdzisław Nurkiewicz „Nieczaj” wyciągnął z ukrycia sztandar 27 Pułku Ułanów im. Stefana Batorego i wręczył dowódcy 3 szwadronu, Narcyzowi Kulikowskiemu. Ten zaś przekazał go mnie. Zostałem

ARCH. MARIANA PODGÓRECZNEGO

Rtm Marian Podgóreczny „Żbik" i rtm Bernard Zygfryd „Sęp" przy grobie swojego dowódcy st. wachm. pchor. Narcyza Kulikowskiego „Suma", na Cmentarzu Wojennym w Budach Zosinych.

chorążym [sztandarowym] pułku i jednocześnie przeniesiono mnie z pierwszej sekcji do pocztu dowódcy 3 szwadronu jako jego łącznika. Sądzę, że to było wyróżnienie za zlikwidowanie sowieckich partyzantów.

Z Dzierzb zgrupowanie ruszyło w kierunku Warszawy. Wszędzie, gdzie się pojawialiście, w przedwojennych polskich mundurach, wzbudzaliście zdziwienie i radość wśród Polaków. Nie inaczej było pod Warszawą, ale tutaj napotkaliście też poważniejsze siły niemieckie, które wyprowadziliście w pole iście „Kmicicowym" fortelem…

Pod Warszawę dotarliśmy 25 lipca. Wyszliśmy od strony Nieporętu, korzystając z wyłomu w kolumnach wojsk niemieckich na szosie Brześć – Warszawa, maszerowaliśmy prosto do Nowego Dworu Mazowieckiego. Dotarliśmy aż do mostu na Wiśle i tam zatrzymał nas niemiecki żandarm regulujący ruchem. Zastępca „Góry", por. Franciszek Rybka „Kula", który doskonale znał niemiecki, powiedział, że jesteśmy frontową jednostką, która walczy po stronie niemieckiej przeciwko Sowietom. Niemcy nie uwierzyli i na rozmowy z naszymi przedstawicielami przybył dowódca twierdzy modlińskiej, płk Heinrich von Biber. Zażądał dokumentów potwierdzających lojalność. Tymczasem z tyłu napierały na nas już rozbite jednostki niemieckie, które także chciały przedostać się na drugi brzeg Wisły. Jednocześnie płk. von Biberowi zameldował się mjr Valdan von Jaster z prośbą, żeby ten zwolnił przejście przez most dla oddziałów niemieckich. W tym oficerze jeden z naszych podoficerów, chor. Stefan Andrzejewski „Warta", rozpoznał swojego dowódcę z okresu I wojny światowej. Zameldował mu się i powiedział, że jesteśmy oddziałem, który walczy po stronie niemieckiej, tak samo jak on w 1917 roku walczył przeciwko armii francuskiej pod rozkazami majora. Von Jaster zaczął go wypytywać o nazwiska dowódców i żołnierzy z jego jednostki. „Warta" bezbłędnie odpowiadał i wtedy o mały włos się nie uściskali. Ta zażyłość starych frontowców sprawiła, że i komendant Modlina pozwolił nam na przeprawę przez most.

Przeszliśmy wiele i jeszcze wiele niebezpieczeństw czekało nas po wojnie, bo „starzy znajomi" z Puszczy Nalibockiej plus NKWD i bezpieka tropili nas wytrwale, ale nas doliniaków nie złamał nikt

Również Komenda Główna AK została zaskoczona niespodziewanym pojawieniem się w pobliżu stolicy silnej jednostki w polskich mundurach. Na kilka dni przed wybuchem powstania garnizon warszawski AK wzmocniło 861 żołnierzy uzbrojonych w 11 cekaemów, 10 elkaemów, 31 erkaemów, 625 kabeemów, 53 peemki, 794 granaty i ponad 200 sztuk amunicji. Niebagatelna siła, którą jednak nie od razu chciano włączyć w powstańcze plany z obawy przed… reakcją Sowietów na to, że w Warszawie walczyć będzie zgrupowanie, które na Nowogródczyźnie dało im się

tak we znaki. Po wielu perturbacjach kresowi żołnierze zasilili szeregi powstańczego wojska. Jednocześnie, by zmylić „sojusznika naszych sojuszników", musieli zmienić pseudonimy. To wtedy por. „Góra" zmienił się w „Dolinę". Pan znalazł się w tej części zgrupowania, która walczyła w Puszczy Kampinoskiej. W krwawej bitwie pod Jaktorowem był Pan m.in. świadkiem śmierci swego dowódcy, wachmistrza Narcyza Kulikowskiego „Suma". Kto wtedy poprowadził żołnierzy do ataku?

Przebijaliśmy się w kierunku Żyrardowa szeroką tyralierą i nagle z bliskiej odległości uderzył w nas ogień karabinów maszynowych. Od pierwszej serii padł dowódca szwadronu. Ja biegłem obok niego, a z drugiej strony Józek Mioduszewski. Krzyczałem: „Panie wachmistrzu, panie wachmistrzu!", ale ten się nie odzywał. Dostał serią karabinu maszynowego w piersi. Zaległa cała tyraliera. Ogień nie ustawał. Rzuciliśmy granatami. Przed nami umilkł karabin maszynowy, ale nikt się nie ruszył. Byłem łącznikiem „Suma" i to ja w jego imieniu wydawałem rozkaz, więc teraz zawołałem: „Cały szwadron do ataku naprzód!". Chłopcy się zerwali i pobiegliśmy. Nieprzyjacielski karabin maszynowy naprzeciwko został zniszczony, ale inne dalej ziały ogniem. W czasie naszego kontrnatarcia szwadron się rozproszył. Przybywało rannych i zabitych. Przez całą noc staraliśmy się przedrzeć. Wreszcie około 2.00 nad ranem udało się, ale wtedy się okazało, że przy mnie zostali tylko Józek Mioduszewski, Benek Juchniewicz, Józef Bibik, Jan Dziedziejko oraz ciężko ranny dowódca 1 plutonu naszego szwadronu, plut. Bolesław Mostowski „Wierny", którego ciągnęliśmy na siłę, bo na przemian klął i prosił, żeby go zostawić. W opracowaniach historycznych najczęściej stwierdza się, że bitwa pod Jaktorowem trwała jeden dzień. W rzeczywistości rozegrała się 29 i 30 września, bo nasz spieszony szwadron walczył do 2.00–3.00 w nocy i dopiero wtedy oderwał się od nieprzyjaciela małymi grupkami. Druga z nich, która znalazła się z dowódcą 3 plutonu Antonim Burdziełowskim „Wirem", poszła wprost na Żyrardów i znalazła schronienie u jego mieszkańców. Dopiero nazajutrz ruszyła dalej śladem porucznika „Doliny". Trzecia grupka, m.in. z Bronkiem Dawidowskim, ciężko rannym dowódcą 2 plutonu, przedarła się z powrotem do Puszczy Kampinoskiej.

Z pogromu pod Jaktorowem por. „Dolina" wyprowadził 74 ludzi. Ta sztuka udała się także trzem grupkom ułanów chor. „Nieczaja", liczącym w sumie 33 żołnierzy. Wszyscy spotkali się na Kielecczyźnie w 25 Pułku Piechoty mjr. Rudolfa Majewskiego „Leśniaka" i tam walczyli do początków listopada 1944 roku. Po rozformowaniu pułku, „Dolina" i jego ludzie postanowili walczyć dalej. W sumie 60 osób, jako konny oddział, stanęło do nierównej walki z niemieckimi ekspedycjami przeciwpartyzanckimi. W tym czasie spełniło się jeszcze jedno Pańskie marzenie – wziął Pan udział w szarży kawaleryjskiej. Jak do niej doszło?

Po kilku tygodniach pościgu, 26 listopada Niemcy okrążyli nas ze wszystkich stron pod Górkami Niemojewskimi. Wtedy nastąpiła szarża. Pamiętam, że była księżycowa noc, przed nami czyste pole, bo staliśmy poza lasem. Wydawało się, że jest puste, jechaliśmy jeden za drugim, koń za koniem. A one były tak wyszkolone, że ani kopyto o kamień nawet nie stuknęło głośno. W pewnym momencie słyszymy komendę: „Halt! Halt!". Nagle „Dolina" rozkazał: „Ruszamy!". Poniósł się tętent koni. Niemcy nie strzelali, tylko wciąż krzyczeli: „Halt! Halt!". Przeskoczyliśmy przed nich. Szabel nie wyciągaliśmy, zresztą niewielu z nas je miało, oddaliśmy salwę z automatów. Przeszliśmy przez tę pozycję, strzelając na oślep. Niemcy zaczęli krzyczeć, podnosić ręce do góry, ale nie mieliśmy czasu wracać po jeńców. Jedyną potwierdzoną ofiarą szarży był koń „Doliny", który padł pod nim, jak przegalopowaliśmy już bezpiecznie przez tory kolejowe. Nasz lekarz stwierdził, że wierzchowiec dowódcy dostał zawału serca…

I tak konny oddział „Doliny" doczekał 1945 roku. 17 stycznia doliniacy wyłapywali nieopodal Kraśnicy niemieckich maruderów, uciekających przed sołdatami. Nikt z was się nie spodziewał, że to ostatni dzień istnienia oddziału…

Do wieczora rozbroiliśmy, bez jednego strzału, ponad 70 Niemców, Rosjan, Ukraińców i Kałmuków; wszystkich upchnęliśmy w oborze. Po kolacji „Dolina" zawołał nas na odprawę. Ustawiliśmy się w szeregu w jego kwaterze. „Skończyliśmy naszą wojnę", ogłosił nam dowódca. „Od dzisiaj jesteście wolni. W imieniu służby dziękuję wam za dobrą, prawdziwie żołnierską postawę w walce z nieprzyjacielem". Każdy z nas otrzymał zaświadczenie o urlopowaniu, a kilku, w tym ja, dostało jeszcze dokument poświadczający, że Komenda Główna AK przyznała nam Krzyż Walecznych. Tego momentu doczekało u boku „Doliny" 17 ludzi… Przeszliśmy wiele i jeszcze wiele niebezpieczeństw czekało po wojnie, bo „starzy znajomi" z Puszczy Nalibockiej plus NKWD i bezpieka tropili nas wytrwale. Ale doliniaków nie złamał nikt. Przy „Dolinie" wytrwałem do końca. ■

TADEUSZ WRÓBEL

NA WIELU FRONTACH

Historia amerykańskich rangersów jest dłuższa niż historia Stanów Zjednoczonych, sięga XVII wieku.

US ARMY (2)

Współcześni rangersi są elitarną formacją powietrznodesantową lekkiej piechoty wojsk lądowych Stanów Zjednoczonych, przygotowaną do prowadzenia działań specjalnych. 75 Pułk Rangersów podlega Dowództwu Operacji Specjalnych US Army. Podobne zadania wykonywały jednostki określane jako rangersi, które utworzono w koloniach brytyjskich w Ameryce Północnej. Pierwszymi ich przeciwnikami byli Francuzi i Indianie.

RANGERSI ROGERSA

Pierwsi rangersi pojawili się w Ameryce Północnej po masakrze na plantacji Berkeley. 22 marca 1622 roku Indianie zabili tam 347 osób, czyli jedną czwartą ówczesnych mieszkańców Wirginii. Wówczas uznano, że koloniom potrzebni są żołnierze obywatele znający europejskie i indiańskie metody walki.

W armii brytyjskiej pierwszą kompanię, której żołnierzy oficjalnie nazywano rangersami, utworzono w 1676 roku w czasie wojny króla Filipa, tzw. pierwszej wojny indiańskiej. Był to konflikt pomiędzy angielskimi kolonistami a plemionami indiańskimi zamieszkującymi Nową Anglię. Rdzennym mieszkańcom Ameryki Północnej przewodził wódz plemienia Wampanoagów Metacomet, znany też pod europejskim imieniem Filip. Krwawą wojnę, w której górą byli przybysze z Europy, zakończył traktat znad zatoki Casco podpisany 12 kwietnia 1678 roku. Wojna króla Filipa położyła kres pokojowej koegzystencji brytyjskich osadników i Indian.

Rangersi ponownie pojawili się podczas wojny o panowanie w Ameryce Północnej, która toczyła się między Brytyjczykami a Francuzami w latach 1754–1763, nazywanej także wojną z Francuzami i Indianami. Pierwszy oddział złożony z amerykańskich kolonistów utworzył kpt. (awansowany później na majora) Robert Rogers jeszcze przed wybuchem wojny. W odróżnieniu od reszty sił zbrojnych Korony Brytyjskiej jego ludzie nie nosili jaskrawych czerwonych mundurów, tylko zielone, w których łatwiej było ukryć się w terenie. Rogers, opracowując taktykę działań, skorzystał z doświadczeń wcześniejszych jednostek rangersów. Nowa jednostka była przeznaczona do prowadzenia rozpoznania oraz atakowania celów w głębi wrogiego terytorium. W czasie wojny siły rangersów powiększyły się do kilkunastu kompanii, liczących w szczytowym okresie od 1,2 do 1,4 tys. ludzi.

W źródłach historycznych istnieją spore rozbieżności co do efektów poszczególnych ich misji, liczby zabitych wrogów i strat własnych. Po zakończeniu wojny większość wojowników Rogersa powróciła do życia w cywilu. Jednak niebawem znowu okazali się potrzebni, gdyż w 1763 roku przeciwko Brytyjczykom wystąpili Indianie znad Wielkich Jezior. Ich przywódcą był Pontiak, wódz plemienia Ottawa. Konflikt trwał do połowy 1766 roku, gdy Pontiak poddał się Brytyjczykom.

POD NOWYM SZTANDAREM

W 1775 roku rozpoczęła się amerykańska wojna o niepodległość. Dawni żołnierze Rogersa stanęli po obu stronach barykady. Sam ich dowódca zaoferował początkowo swe usługi stojącemu na czele Armii Kontynentalnej, zbrojnego ramienia walczących z Brytyjczykami koloni-

TEDDY WADE/US ARMY

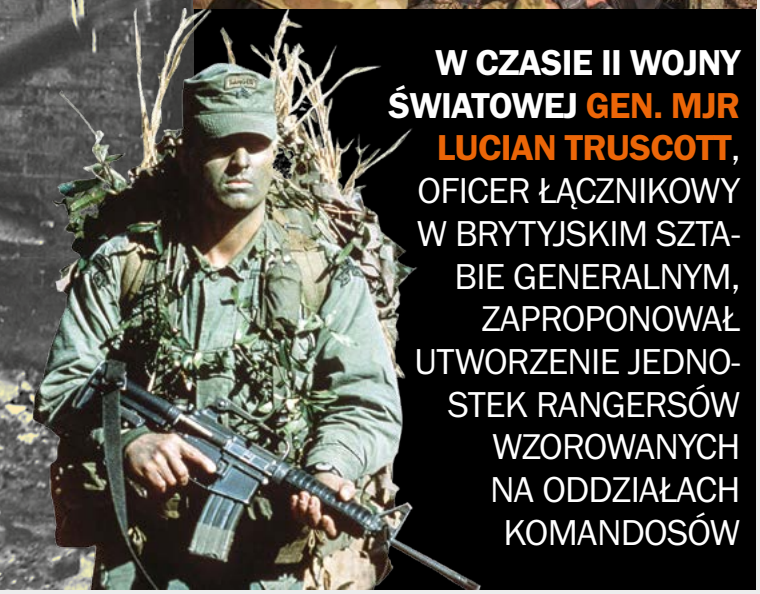

W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ GEN. MJR LUCIAN TRUSCOTT, OFICER ŁĄCZNIKOWY W BRYTYJSKIM SZTABIE GENERALNYM, ZAPROPONOWAŁ UTWORZENIE JEDNOSTEK RANGERSÓW WZOROWANYCH NA ODDZIAŁACH KOMANDOSÓW

stów, gen. George'owi Waszyngtonowi. Ten jednak nie skorzystał z oferty. Jako że Rogers długo przebywał w Anglii, Waszyngton obawiał się, że może być on brytyjskim szpiegiem. Odrzucony Rogers przedstawił ofertę współpracy Brytyjczykom. Ci wyrazili zgodę. W 1776 roku stworzył on jednostkę Queen's Rangers (później zmieniono nazwę na King's Rangers). Po stronie kolonistów natomiast walczyli Knowlton's Rangers. Jednostkę utworzył na rozkaz Waszyngtona ppłk Thomas Knowlton. Wykonywała ona raczej misje wywiadowcze niż bojowe. Amerykańscy rangersi zniknęli wraz z końcem wojny.

Ekspansja osadnicza doprowadziła do nowego konfliktu z rdzennymi mieszkańcami Ameryki. W 1811 roku plemiona algonkińskie zawiązały ligę, której przewodził wódz Tecumseh. W listopadzie 1811 roku Indianie zaatakowali oddziały amerykańskie, ale ponieśli porażkę. Tecumseh schronił się w brytyjskiej Górnej Kanadzie. Amerykanie zaczęli podejrzewać, że indiańską rewoltę wspiera Londyn, bo Brytyjczycy nie pogodzili się ze stratą znaczącej części swych północnoamerykańskich posiadłości kolonialnych.

W styczniu 1812 roku rząd USA autoryzował sformowanie sześciu kompanii rangersów, którzy tym razem byli konną piechotą przeznaczoną do ochrony zachodniej granicy. Po wybuchu wojny z Wielką Brytanią utworzono następne jednostki. W grudniu 1813 roku był tuzin kompanii. Rozformowano je w lipcu 1815 roku, kilka miesięcy po zawarciu pokoju z Brytyjczykami.

Na kartach historii Rangersi pojawili się ponownie w 1832 roku, gdy Indianie na czele z Czarnym Jastrzębiem, wodzem Sauków, przekroczyli Missisipi i weszli do stanu Illinois. Wtedy sformowano batalion jazdy rangersów, liczący sześć kompanii po stu ludzi. Ochotnicy zaciągali się z własnymi końmi i bronią. Później jednostkę rangersów przeformowano w 1 Pułk Dragonów.

Rangersi walczyli też w najkrwawszym konflikcie na kontynencie północnoamerykańskim, jakim była wojna secesyjna w latach 1861–1863. Za najsławniejszą spośród ich jednostek z tamtego okresu uchodzi ta stworzona na początku 1863 roku przez Johna S. Mosby'ego w armii Konfederacji. Najbardziej znaną jej akcją było schwytanie 9 marca 1863 roku w głębi terytorium Unii gen. bryg. Edwina H. Stoughtona. W 1862 roku w armii federalnej sformowano jednostkę Loudoun Rangers, nazywanych też Means Rangers. Pierwsza nazwa pochodziła od miejsca utworzenia, tj. hrabstwa Loudoun w Wirginii, a druga od nazwiska dowódcy, kpt. Samuela Carringtona Meansa.

RAJD PO ZWYCIĘSTWO

Po zakończeniu wojny secesyjnej jednostki rangersów zniknęły na kilkadziesiąt lat z armii amerykańskiej. Dopiero w trakcie II wojny światowej gen. mjr Lucian Truscott, który był oficerem łącznikowym w brytyjskim sztabie generalnym, zaproponował utworzenie jednostek wzorowanych na oddziałach komandosów.

1 Batalion Rangersów (1 BR) powstał 19 czerwca 1942 roku w Carrickfergus w Irlandii Północnej, a większość jego żołnierzy pochodziła z 34 Dywizji Piechoty. Pięćdziesięciu z nich wzięło udział w krwawym dla aliantów rajdzie na francuski port Dieppe 19 sierpnia 1942 roku. Tym samym byli oni pierwszymi żołnierzami USA, którzy walczyli podczas II wojny światowej na europejskiej ziemi.

Następnie rangersi wzięli udział w lądowaniu aliantów we Francuskiej Afryce Północnej, a później w walkach z wojskami niemiecko-włoskimi w Tunezji. Po ich zniszczeniu zapadła decyzja, aby 1 BR podzielić na trzy bataliony. 3 Batalion Rangersów aktywowano 25 maja 1943 roku, a 4 Batalion – 8 czerwca. Wcześniej, 1 kwietnia 1943 roku, w Camp Forrest w Tullahoma w stanie Tennessee utworzono 2 Batalion Rangersów. Tam też 1 września 1943 roku aktywowano 5 Batalion. Ostatni, 6 Batalion Rangersów, powstał latem 1944 roku (formalna zmiana nazwy nastąpiła 26 września) w Finchhaven na Nowej Gwinei.

1, 3 i 4 Batalion Rangersów walczyły na Sycylii i na Półwyspie Apenińskim. Podczas kampanii włoskiej amerykańscy rangersi ponieśli ogromne straty. W styczniu

US ARMY

MARUDERZY Z BIRMY

Jednostką rangersów był, choć nie znalazło to odzwierciedlenia w nazwie, 5307 Oddział Wydzielony (tymczasowy), przygotowany do działań w dżungli. Powstał w 1943 roku na Nowej Kaledonii. Trzytysięczny oddział, nieoficjalnie nazywany „Maruderzy Merrilla" (dowódcą był gen. bryg. Frank Merrill), wysłano na szkolenie do Indii. Większość jego żołnierzy walczyła w 1944 roku w Birmie. Ich najbardziej spektakularną akcją był atak wraz z oddziałami chińskimi na miejscowość Myitkyina. 17 maja 1944 roku siłom tym udało się zdobyć tamtejsze lotnisko, ale Japończycy utrzymali miasto. Myitkyina zajęto dopiero 3 sierpnia, po wcześniejszym przerzuceniu tam drogą lotniczą chińskiej dywizji. Do tradycji Maruderów Merrilla nawiązuje 75 Pułk Rangersów. ■

PIERWSZĄ KOMPANIĘ W ARMII BRYTYJSKIEJ, KTÓREJ ŻOŁNIERZY OFICJALNIE NAZYWANO RANGERSAMI, UTWORZONO W 1676 ROKU W CZASIE WOJNY KRÓLA FILIPA, NAZYWANEJ TEŻ PIERWSZĄ WOJNĄ INDIAŃSKĄ

1944 roku znaleźli się na przyczółku pod Anzio. Tam też duża część z nich skończyła tragicznie. 29 stycznia 1944 roku 1 i 3 Batalion Rangersów wpadły w niemiecką zasadzkę w rejonie miejscowości Cisterna. Z 767 żołnierzy 761 zginęło lub dostało się do niewoli. Duże straty poniósł wówczas też 4 Batalion, który próbował pomóc towarzyszom broni. Formalnie 1 i 3 Batalion zostały rozformowane dopiero 15 sierpnia 1944 roku, a 24 października ich los podzielił 4 Batalion.

Z kolei 2 i 5 Batalion Rangersów w czerwcu1944 roku wzięły udział w lądowaniu w Normandii. Jednym z głównych zadań żołnierzy było zdobycie klifu Point du Hoc, gdyż dowództwo alianckie sądziło, że została tam rozmieszczona niemiecka bateria ciężkiej artylerii. Kosztem dużych strat rangersi wykonali rozkaz, ale na stanowiskach nie było dział. Znaleźli je dopiero w głębi lądu i zniszczyli granatami termicznymi. Oba bataliony walczyły do końca wojny na froncie zachodnim – na terenie Francji, Belgii, Luksemburga i Niemiec. 2 Batalion zakończył swój szlak bojowy w Czechach.

6 Batalion walczył natomiast z Japończykami na Filipinach. Jego pierwszą misją było opanowanie, na trzy dni przed zaplanowanym na 20 października 1944 roku desantem, trzech wysepek u wejścia do zatoki Leyte. Po działaniach na wyspie Leyte od 10 stycznia 1945 roku rangersi operowali na Luzonie. Tam też przeprowadzili swoją najbardziej spektakularną misję. We współpracy z filipińskim ruchem oporu dokonali rajdu w głąb terytorium kontrolowanego przez Japończyków. 30 stycznia opanowali obóz jeniecki w Cabanatuan. Uwolnili z niego 512 jeńców i zabili około 200 Japończyków. Batalion do końca wojny walczył na Luzonie, skąd później przerzucono go do Japonii.

OD WOJNY DO WOJNY

Wszystkie jednostki rangersów zostały rozformowane przed końcem 1945 roku. Jednak powrócili oni po wybuchu 25 czerwca 1950 roku wojny na Półwyspie Koreańskim. Między sierpniem 1950 roku a końcem lutego 1951 roku sformowano 17 kompanii. Pomimo odniesionych sukcesów wszystkie przestały istnieć przed końcem 1951 roku. W pierwszej fazie wojny wietnamskiej rolę rangersów odgrywały patrole i kompanie dalekiego rozpoznania. Gdy w US Army tworzono nowe struktury pułkowe, wprowadzono historyczną nazwę – piętnaście kompanii w Wietnamie i Europie połączono w 75 Pułk Piechoty (Rangersów).

W ramach kolejnej reorganizacji US Army w 1974 roku utworzono 1 i 2 Batalion Rangersów. Trzeci powstał dziesięć lat później. Wtedy też utworzono dowództwo pułku, ale sam 75 Pułk Rangersów powołano w 1986 roku. W powstałej w 1987 roku Brygadzie Szkolnej Rangersów są trzy bataliony szkolne (4, 5 i 6). W latach osiemdziesiątych XX wieku rangersi brali udział w zbrojnych interwencjach amerykańskich na Grenadzie i w Panamie. W 1980 roku byli uczestnikami nieudanej próby odbicia uwięzionego przez Irańczyków personelu ambasady USA w Teheranie. Od 2001 roku uczestniczą zaś w wojnie z terroryzmem. Rangersi walczyli w Afganistanie i Iraku. ■

XXV MIĘDZYNARODOWY SALON PRZEMYSŁU OBRONNEGO

5-8.09.2017, KIELCE

ufi Member

MSPO

Partner strategiczny:
PGZ
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

WWW.MSPO.PL

Targi Kielce
exhibition & congress centre

TARGI DAJĄ **WIĘCEJ**

Sprawdź na: ■ www.targidajawiecej.pl ■ facebook.com/targidajawiecej

TADEUSZ WRÓBEL

Cudo z drewna

Brytyjski mosquito jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych samolotów bojowych z okresu II wojny światowej.

W drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku, gdy symbolem nowoczesności konstrukcji lotniczej był płatowiec wykonany z metalu, brytyjska firma De Havilland nadal projektowała samoloty budowane z drewna. Najbardziej znanym jej produktem stała się dwusilnikowa maszyna bojowa Mosquito (moskit), będąca efektem niekonwencjonalnego myślenia, do którego początkowo trudno było przekonać decydentów. Gdy to się udało i udowodniono walory mosquito w boju, zbudowano go w ponad 7 tys. egzemplarzy, w kilkudziesięciu wersjach.

WALKA Z URZĘDAMI

Na początku 1936 roku brytyjskie ministerstwo lotnictwa ogłosiło specyfikację dla nowego średniego myśliwca. W kwietniu 1938 roku firma De Havilland przedstawiła koncepcję maszyny spełniającej jej wymogi. Konstruktorzy postanowili skorzystać z rozwiązań zastosowanych w dwusilnikowym samolocie DH.88 Comet, który w 1934 roku zwyciężył w długodystansowym rajdzie Victoria Centenary Air Race, na trasie między Mildenhall w Anglii a Melbourne w Australii.

Konstruktorzy De Havillanda chcieli wyposażyć wykonany z drewna płatowiec w dwa 12-cylindrowe, widlaste, chłodzone wodą silniki Rolls-Royce Merlin. Ich propozycja nie zyskała akceptacji urzędników ministerstwa lotnictwa, którzy nie widzieli drewnianej maszyny w roli bombowca. Innym powodem odrzucenia projektu było to, że De Havilland nie wyprodukował po I wojnie światowej żadnego samolotu wojskowego.

Zbliżająca się wojna przyspieszyła proces przezbrajania Królewskich Sił Powietrznych (Royal Air Force). W tym celu należało wykorzystać potencjał produkcyjny wszystkich brytyjskich firm lotniczych. Zespół konstruktorów De Havillanda, którego szefem był Ronald E. Bishop, zaproponował dwusilnikowy bombowiec oznaczony DH.98. Prędkość maksymalna maszyny miała wynosić 655 km/h, co czyniłoby ją szybszą od myśliwca Spitfire. Samolot z dwuosobową załogą mógł przenosić 450 kg bomb, a jego zasięg miał przekraczać 2400 km. W tym projekcie był pewien szkopuł – bombowiec nie miał uzbrojenia defensywnego. Specjaliści z ministerstwa lotnictwa uznali, że Niemcy prawdopodobnie bardzo szybko będą dysponować szybszymi myśliwcami.

Niemniej jednak w 1939 roku koncepcja samolotu o drewnianej konstrukcji zyskała na atrakcyjności, bo Wielka Brytania miała ograniczone zasoby materiałów potrzebnych do budowy płatowców. Właściciel firmy Geoffrey de Havilland zdobył też wpływowego sojusznika, członka rady lotnictwa marszałka lotnictwa sir Wilfrida Freemana, z którym przyjaźnił się od czasów I wojny światowej. Dzięki jego wsparciu zaakceptowano budowę prototypu DH.98, który chciano wykorzystać jako maszynę rozpoznania fotograficznego. Potem zamówiono 49 samolotów rozpoznawczo-bombowych DH.98.

Jednak w połowie 1940 roku, po klęsce Francji, zmieniły się priorytety co do typów samolotów. Osamotniona Wielka Brytania potrzebowała więcej myśliwców, by bronić się przed hitlerowską Luftwaffe. W czerwcu 1940 ro-

DUŻĄ SŁAWĘ ZDOBYŁY **MYŚLIWSKIE WERSJE MOSQUITO**

ku DH.98 oficjalnie nazwano „mosquito”, a w następnym miesiącu zostało zmienione zamówienie z marca. Poza jednym prototypem De Havilland miał wyprodukować tylko 19 egzemplarzy DH.98 w wersji rozpoznawczej i 29 myśliwców. Gdy w końcu 1940 roku Niemcy rozpoczęli nocne naloty na Anglię, dostrzeżono możliwość wykorzystania konstrukcji firmy De Havilland w charakterze myśliwca nocnego.

29 grudnia 1940 roku zaprezentowano prototyp. Następnego dnia ministerstwo lotnictwa zamówiło kolejnych 150 egzemplarzy DH.98. Na początku 1941 roku rozpoczęły się testy. Pierwszy seryjny samolot rozpoznawczy wzbił się w powietrze 10 czerwca 1941 roku. W następnym miesiącu zmodyfikowano zamówienie sprzed roku. Część z maszyn rozpoznawczych miała być przerobiona na bombowce.

SAMOLOT WIELOFUNKCYJNY

Maszyna seryjna PR.I, oznaczona jako W4051, była wyposażona w silniki Merlin 21 o mocy 1090 kW. W porównaniu z prototypem W4050 miała większą o 50 cm rozpiętość skrzydeł. Samolot ten był bardzo podobny do wersji bombowej. Maszyna miała przeszklony nos kadłuba i komorę bombową, ale jej główną bronią były aparaty fotograficzne trzech typów. Później na maszyny zwiadowcze przebudowano też 29 bombowców wersji B.IV. Nadano im oznaczenie PR.IV. W komorach bombowych zamontowano dodatkowe zbiorniki paliwa, co zwiększyło zasięg samolotów. Po 1942 roku powstało kilka innych wersji rozpoznawczych.

Pierwszą wersją bombową mosquito budowaną w większej liczbie była B.IV, druga seria. Powstały 263 samoloty, które początkowo mogły przenosić cztery bomby ważące po 112 kg, a później większe, 225-kilogramowe. Najwięcej bombowych „moskitów”, bo aż 402, należało do wersji B.XVI. Maszyny te wyposażono w ciśnieniową kabinę. Oprócz pierwszego tuzina pozostałe miały wypukłe drzwi komory bombowej, w której mieściła się 1815-kilogramowa bomba nazywana „ciasteczko” (cookie) – pozbawiony lotek metalowy pojemnik wypełniony materiałami wybuchowymi.

Dużą sławę zdobyły myśliwskie wersje mosquito. Samoloty De Havillanda wykorzystywano do zwalczania wrogich bombowców przeprowadzających nocne naloty na Zjednoczone Królestwo. Pierwsza nocna wersja, NF.II, była uzbrojona w cztery karabiny kalibru 7,7 mm zamontowane w nosie kadłuba, cztery działka kalibru 20 mm w jego podbrzuszu oraz radar Al.IV lub Al.V. Później powstały m.in. wersje NF.XII i NF.XIII z nowym radarem Al. VIII, w których uzbrojenie ograniczono do czterech działek. Przed końcem wojny zbudowano jeszcze kilka innych odmian myśliwskich z nowszymi radarami, napędzanych różnymi wariantami silników z rodziny Merlina.

Oprócz samolotów bombowych, treningowych, myśliwskich i rozpoznawczych powstały jeszcze myśliwsko-bombowe. Najliczniej wyprodukowaną wersją mosquito była FB.II, której powstały 2584 egzemplarze. Uzbrojenie strzeleckie składało się z czterech karabinów szynowych i tyluż działek. W komorze było miejsce dla dwóch 115-kilogramowych bomb. Dwie następne można było podwiesić pod skrzydłami. Zamiast nich →

COLIN HANRAHAN/FOTOLIA, PK/DZIAŁ GRAFICZNY

MOSQUITO PB.VI, DRUGA SERIA

DŁUGOŚĆ – 12,45 m
ROZPIĘTOŚĆ SKRZYDEŁ – 16,51 m
WYSOKOŚĆ – 3,65 m
POWIERZCHNIA SKRZYDEŁ – 42,18 m²
MASA WŁASNA – 6487 kg
MASA CAŁKOWITA – 10 115 kg
NAPĘD – dwa silniki: Merlin 23 o mocy 1460 KM, Merlin 25 o mocy 1635 KM

MAKSYMALNY ZAPAS PALIWA – 3250 l
PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA – od 608 do 611 km/h
PRĘDKOŚĆ PRZELOTOWA – 476 km/h
PRĘDKOŚĆ EKONOMICZNA – 402 km/h
PUŁAP – 7900 m
ZASIĘG – 1800 km
ZAŁOGA – pilot i nawigator

UZBROJENIE – cztery działka British-Hispano kalibru 20 mm i cztery karabiny maszynowe Colt-Browning kalibru 7,7 mm oraz cztery bomby 113 lub 227 kg; alternatywnie dwie bomby i osiem niekierowanych pocisków rakietowych RP-3

FB.II mógł zabrać osiem 27-kilogramowych niekierowanych pocisków rakietowych. Na bazie FB.VI powstał wariant FB.XVIII dla Dowództwa Obrony Wybrzeża RAF uzbrojony w armatę kalibru 57 mm.

W latach 1941–1950 wyprodukowano, według różnych publikacji, 7757 lub 7781 samolotów Mosquito w ponad 40 wersjach. Przy czym w trakcie wojny powstało około 6,7 tys. egzemplarzy. Od lipca 1941 roku budowano „moskity" w Kanadzie – było ich 1005 lub 1034. W Australii zaś skonstruowano ich 209 lub 212.

Dziesięć samolotów Mosquito PR.I przekazano do 1 Jednostki Fotograficznego Rozpoznania RAF w bazie Benson. Pierwsze misje przeprowadzono 17 września 1941 roku nad południową Francją. Duży zasięg tych maszyn pozwolił im dotrzeć do Norwegii i Czechosłowacji. 8 marca 1943 roku mosquito PR.VIII przeprowadził pierwszą misję rozpoznawczą nad Berlinem. 2 czerwca inny „moskit" wykonał zdjęcia centrum badawczego w Peenemünde. Samoloty wersji PR.IX, mające mocniejsze silniki i więcej paliwa w zbiornikach, pojawiały się m.in. nad Wiedniem i Budapesztem. Od wiosny 1943 roku rozpoznawcze „moskity" operowały na Dalekim Wschodzie.

15 listopada 1941 roku pierwsze bombowce B.IV trafiły do 105 Dywizjonu RAF. W maju 1942 roku rozpoczęły się dostawy maszyn B.IV serii drugiej. 31 maja 1942 roku samolotów użyto w pierwszym w historii RAF-u „rajdzie tysiąca bombowców", którego celem była Kolonia. Od 1942 roku bombowe „moskity" odgrywały rolę samolotów naprowadzających podczas nalotów czterosilnikowe bombowce.

19 września 1942 roku B.IV dokonały pierwszego ataku na Berlin, a 25 września przeprowadziły pierwsze precyzyjne uderzenie, którego celem była kwatera Gestapo w Oslo. Podczas walk w Ardenach w grudniu 1944 roku zrzucały z małej wysokości „ciasteczka" na tunele kolejowe.

Na początku 1942 roku pierwsze z 494 wyprodukowanych mosquito NF.II przekazano do 151 i 157 Dywizjonu RAF, gdzie zastąpiły maszyny Bristol Beaufighter. Polski 307 Dywizjon Myśliwski Nocny „Lwowskich Puchaczy" otrzymał pierwsze „moskity" 21 grudnia 1942 roku.

Od lata 1944 roku nocne myśliwce rzucono do zwalczania latających bomb V-1. „Moskity" zestrzeliły ich ponad 400.

Myśliwsko-bombowe FB.VI jako pierwszy otrzymał w maju 1943 roku 418 Dywizjon RAF, a w lipcu – 605 Dywizjon. Samolotów tych zaczęto używać do precyzyjnych uderzeń na niemieckie cele w okupowanej Europie. Jedną z bardziej znanych misji jest przeprowadzony 18 lutego 1944 roku atak na więzienie w Amiens we Francji, z którego zbiegło około 250 uwięzionych. Jednym z celów „moskitów" były siedziby Gestapo. 11 kwietnia 1944 roku bomby zrucone z tych samolotów spadły na budynek policji politycznej w Hadze w Holandii, a 31 października w Aarhus w Danii. 21 marca 1945 roku zaatakowano kwaterę gestapowców w Kopenhadze. ■

KRZYSZTOF KUBIAK

Desperacki opór

Historia wojen obfituje w wydarzenia, kiedy to na skutek splotu różnorodnych okoliczności strona słabsza musiała przyjąć bitwę i bronić się przed wielokroć silniejszym przeciwnikiem. Na ogół zamierzano w ten sposób osiągnąć konkretne korzyści, na przykład poprzez spowolnienie wroga zyskać czas, aby dostać wsparcie od innych elementów własnej armii. Tak działo się choćby podczas obrony przez Spartan przesmyku termopilskiego w 480 roku p.n.e., choć pozbawiona już swego militarnego wymiaru bitwa stała się jednym z najważniejszych toposów europejskiej tradycji militarnej. Niekiedy jednak w pozornie niedającej nadziei na ocalenie pozycji stawały i podejmowały desperacką walkę nie wydzielone intencjonalnie oddziały, ale przypadkowe, liczące kilku walczących, grupki. To, że w kilku przypadkach owe akty straceńczego oporu zakończyły się pełnym lub częściowym sukcesem, można uznać za jeszcze jeden dowód na to, że wojna – konfrontacja militarna jest fenomenem zbyt złożonym, by udało się ją opisać za pomocą matematycznych formuł wprowadzonych do systemów obliczeniowych najpotężniejszych nawet komputerów.

Jeden z takich epizodów rozegrał się 28 stycznia 1904 roku, kiedy plemię Ondonga zaatakowało namibijski Fort Namutoni obsadzony przez zaledwie siedmiu niemieckich żołnierzy, w tym dwóch farmerów z lokalnej samoobrony. Do walki z nimi ruszyło około 600 wojowników uzbrojonych w połowie w nowoczesne karabiny Martini-Henry, w niczym nieustępujące niemieckim mauserom model 71 i 88, z których strzelali obrońcy. Niemcy zajęli stanowiska i mimo niewielkiego zapasu amunicji ostrzeliwali się na tyle skutecznie, że atakujący odstąpili. Szczególnie przydatne okazały się starsze, jednostrzałowe mausery kalibru 11 mm (za 12 lat, w czasie irlandzkiego powstania wielkanocnego miały się stać postrachem brytyjskich piechurów). Korzystając z nadarzającej się okazji, pięciu żołnierzy z formacji regularnej, prowadzonych przez dwóch ochotników z samoobrony, wymknęło się z fortu. Cała grupa maszerowała przez 40 km (atakujący zagarnęli konie oraz bydło zgromadzone przed wałami fortu i zapewne tym, na równi z celnym ogniem obrońców, tłumaczyć należy rezygnację ze szturmu), aż dotarła do farmy Sandhup, gdzie napotkała nadciągające własne oddziały.

Ponad sto lat później podobne, ale zwieńczone mniej szczęśliwym finałem, wydarzenia rozegrały się w libijskim Bengazi. 11 września 2012 roku około 300–350 bojówkarzy z islamistycznej, salafickiej milicji Ansaral-Sharia zaatakowało budynki tymczasowej amerykańskiej placówki dyplomatycznej. Prócz lokalnych sił bezpieczeństwa, które w momencie próby okazały się całkowicie nielojalne, strzegło jej tylko sześciu „pracowników kontraktowych", czyli byłych żołnierzy elitarnych formacji specjalnych zatrudnionych przez CIA. Amerykanie przez całą noc odpierali zmasowane ataki i zdołali utrzymać jeden z budynków konsulatu do świtu, kiedy to odblokowani zostali (wraz z pracownikami Departamentu Stanu) przez inną grupę kontraktorów, współdziałających tym razem z siłami libijskimi. Jednakże w wyniku zaskoczenia wywołanego pierwszym atakiem, w którym zginęło dwóch obrońców, nie zdołano z głównego gmachu poselstwa ewakuować ambasadora i informatyka. Obaj schronili się w tzw. cytadeli, którą opuścili po podpaleniu budynku przez atakujących. Dyplomata był już wówczas prawdopodobnie zatruty dymem. J. Christopher Stevens był pierwszym amerykańskim ambasadorem poległym na placówce od 1979 roku, kiedy to w Kabulu został zabity Adolph Dubs. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

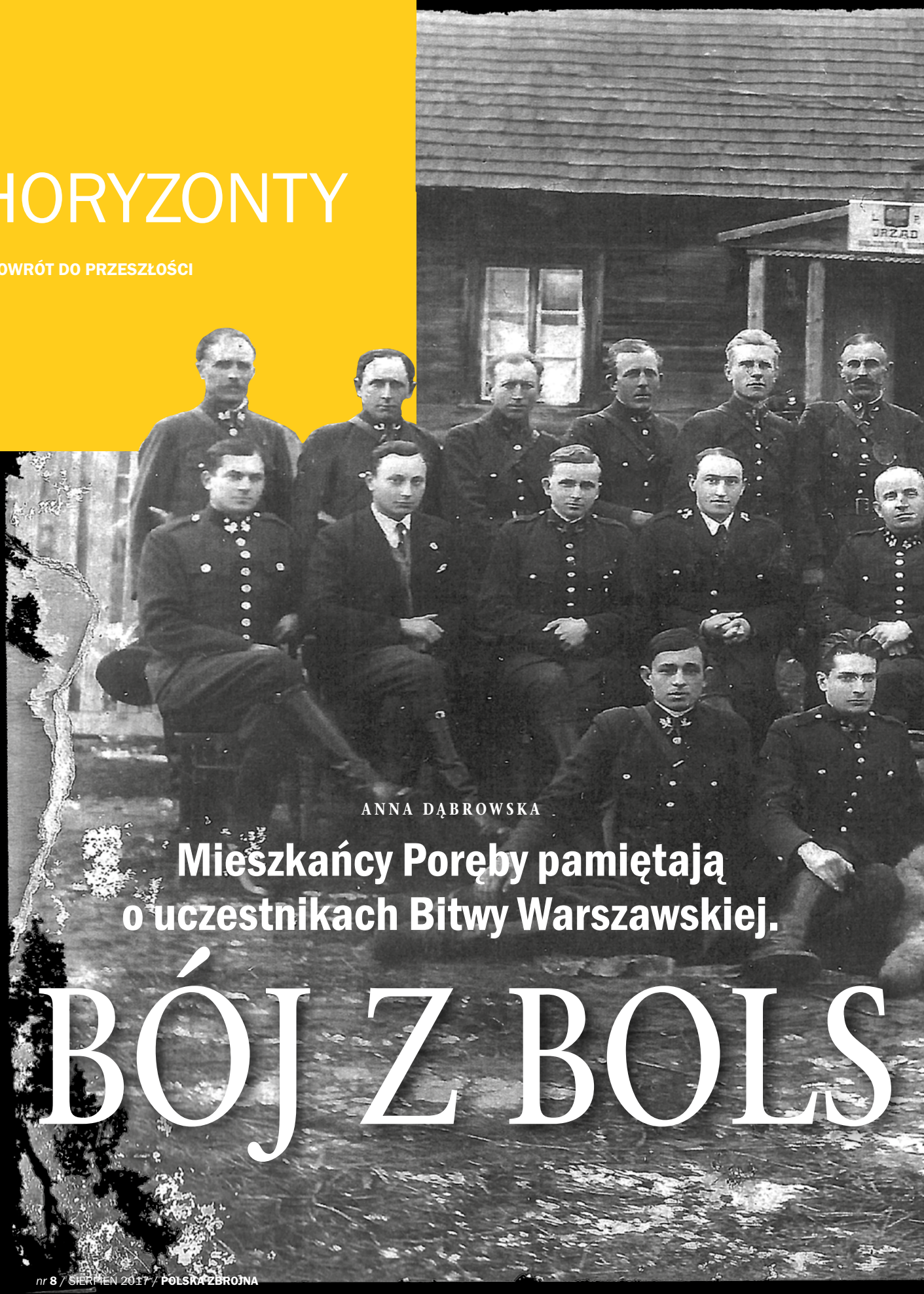

ANNA DĄBROWSKA

Mieszkańcy Poręby pamiętają o uczestnikach Bitwy Warszawskiej.

BÓJ Z BOLS

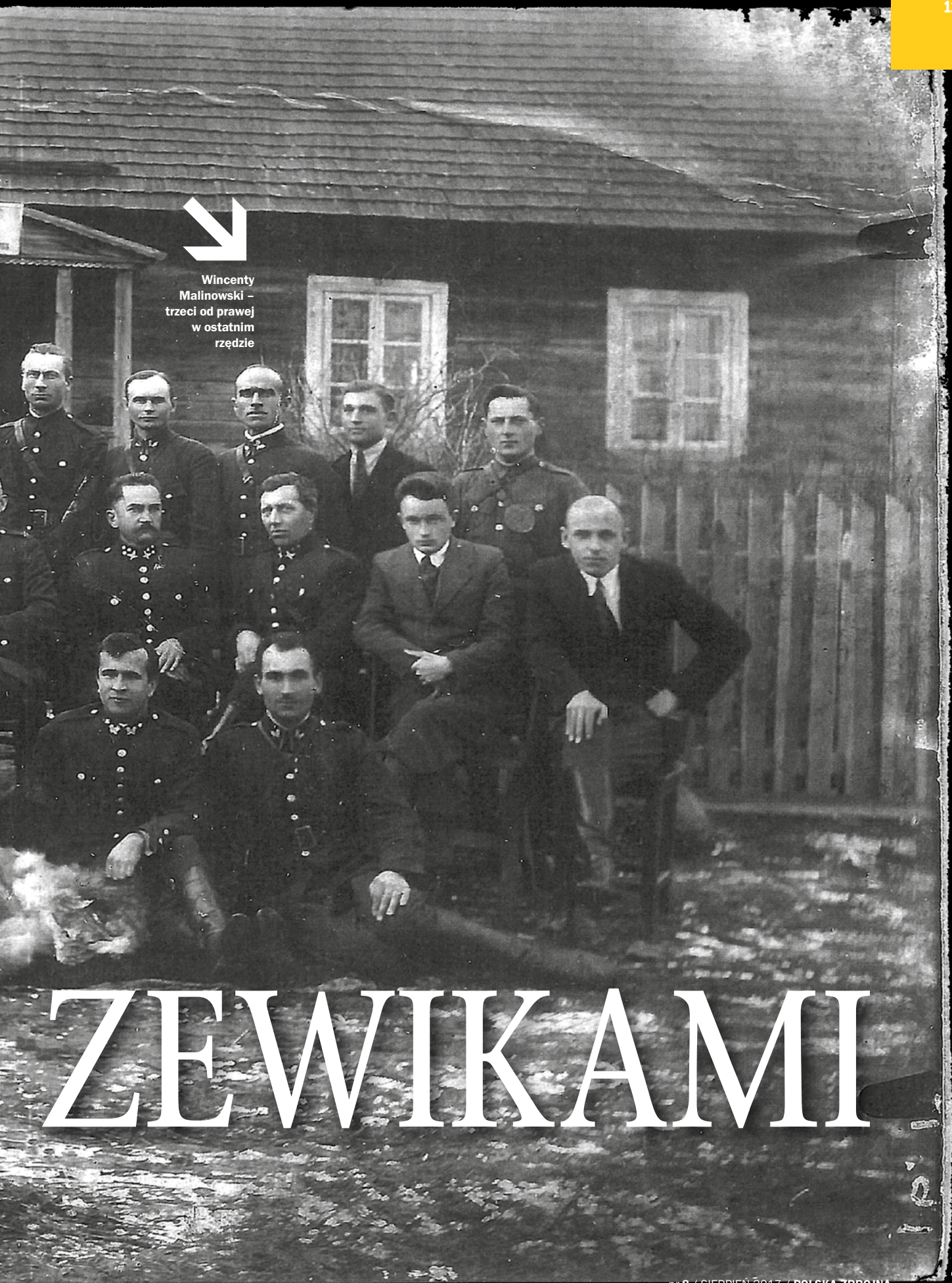

Wincenty Malinowski – trzeci od prawej w ostatnim rzędzie

ZEWIKAMI

ARCHIWUM PRYWATNE

To była jedna z najważniejszych polskich batalii i nasze spektakularne zwycięstwo, dlatego chcemy godnie upamiętnić naszych przodków, którzy walczyli w Bitwie Warszawskiej", mówi kmdr por. Jan Puścian, prezes Okręgu Miasta Stołecznego Warszawy Związku Oficerów Rezerwy RP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

STRACH PRZED SOWIETAMI

Wojna polsko-bolszewicka rozpoczęła się 14 lutego 1919 roku, a celem Armii Czerwonej było nie tylko pokonanie odradzającej się po 123-letniej niewoli Polski, ale też rozszerzenie komunistycznej rewolucji w całej Europie. Sowieckie siły parły na zachód, a latem 1920 roku przeszło 100-tysięczna armia gen. Michaiła Tuchaczewskiego zbliżyła się do Warszawy.

Bolszewicy szli też przez tereny leżące między Puszczą Białą a Bugiem i 4 sierpnia zajęli Ostrów Mazowiecką. Następnego dnia wieczorem 10 Dywizja Piechoty gen. Lucjana Żeligowskiego obsadziła linię Brańszczyk – Poręba – Nowa Wieś, aby opóźnić marsz Armii Czerwonej. Udało się i polskie siły opuściły Brańszczyk dopiero nocą z 9 na 10 sierpnia.

Tego samego dnia po południu w okolicznych miejscowościach pokazała się sowiecka piechota. „Świadomość śmiertelnego zagrożenia była powszechna, ludzie bali się bolszewików", mówi Józef Bireta z Budykierza. Potwierdza to Sławomir Gałązka, przewodniczący Rady Gminy Poręba. „Mój dziadek Franciszek Sowa opowiadał, że w 1920 roku bolszewicy mordowali, gwałcili, palili i kradli, co się dało, strach padł na ludzi".

Rankiem 12 sierpnia wojska Frontu Zachodniego stanęły na przedpolach Warszawy, a następnego dnia rozpoczęły atak na miasto. Rosyjskie dywizje przełamały polską obronę, zdobyły Radzymin, skierowały się na Pragę, Nieporęt i Jabłonnę. Rozpoczęła się Bitwa Warszawska.

Polskie dowództwo pod wodzą Józefa Piłsudskiego postanowiło bronić miasta. W szeregi polskiej armii wstępowały tysiące ochotników chcących walczyć, także z okolic Puszczy Białej: Poręby, Udrzynka, Budykierza... „Tutejsze tradycje walki o wolność są długie, z tych stron wywodził się ruch patriotyczny już w czasach powstania styczniowego", podkreśla kmdr Puścian.

Jednym z ochotników był jego ojciec Mikołaj. W 1918 roku pochodzący z miejscowości Poręba Średnia chłopak, jako 16-latek zgłosił się do wojska. „Rozpoczął służbę w korpusie piechoty w garnizonie Komorowo, ukończył potem szkołę podoficerską i służył jako kapral lub plutonowy, brał też udział w Bitwie Warszawskiej i niemeńskiej", opowiada oficer.

Dziadek Sławomira Gałązki był za młody, aby walczyć. „W 1920 roku miał 14 lat, ale chciał pomagać. Kiedy wójt wezwał mieszkańców, aby organizowali podwody, zgłosił się i transportował dla żołnierzy żywność, broń, przewoził ludzi", wspomina przewodniczący rady gminy.

MATKA BOSKA NAD WISŁĄ

Zgodnie z planem bitwy część polskich wojsk związała główne siły bolszewickie na przedpolach Warszawy, a grupa manewrowa złożona z pięciu dywizji piechoty oraz brygady kawalerii wyprowadziła znad Wieprza uderzenie oskrzydlające oddziały przeciwnika. 16 sierpnia Polacy zaatakowali tyły wojsk bolszewickich, przełamali ich obronę i zepchnęli Sowietów do defensywy.

„Walczyły nie tylko armaty, karabiny i bagnety, ale też serca i morale żołnierzy", zapisał we wspomnieniach gen. Żeligowski. Podwarszawski Radzymin kilkanaście razy przechodził z rąk do rąk. W końcu Polacy odzyskali utracone pozycje, a 19 sierpnia przeszli do kontrofensywy

MICHAŁ NIWICZ (2)

Józef Bireta ze zdjęciem swojego ojca Stanisława

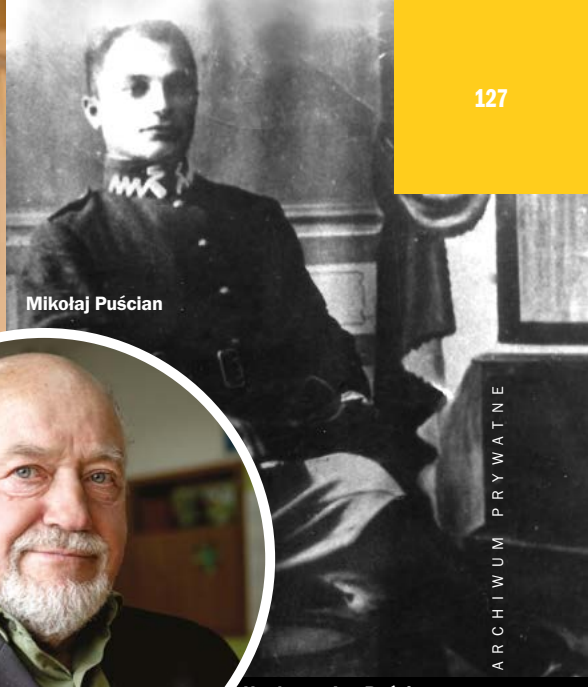

Mikołaj Puścian

ARCHIWUM PRYWATNE

Kmdr por. Jan Puścian

i rozpoczęli pościg za wycofującym się w popłochu przeciwnikiem.

„Ojciec opowiadał, że Matka Boska ukazała się im na Wiśle zwiastując zwycięstwo", wspomina Józef Bireta. Jego ojciec Stanisław miał wówczas 26 lat i walczył w bitwie jako poborowy. W czasie odwrotu bolszewików pod Działdowem został ranny w kolano pociskiem z karabinu maszynowego. „Niewiele brakowało, żeby zginął. Dopadło go dwóch Sowietów i jeden chciał rannego dobić bagnetem. Na szczęście drugi stwierdził, że i tak umrze, więc go zostawili". Ojciec pana Józefa nosił ten odłamek w kolanie wiele lat, pokazywał go rodzinie i sąsiadom.

Ranny w bitwie był też Aleksander Sitek, dziadek Mirosława Jachima z Poręby. „Walczył jako 20-letni strzelec pod Nasielskiem, dostał rykoszetem w kark, do końca życia miał tam ślad po ranie", mówi pan Mirosław. Jego dziadek musiał też zasłużyć się podczas walki, bo za udział w Bitwie Warszawskiej został odznaczony Krzyżem Walecznych. „Niestety nie wiem, czym się wsławił, dziadek zmarł, zanim zacząłem się interesować naszą historią", stwierdza Jachim.

Za walkę odznaczony został także 21-letni Wincenty Malinowski. „To był dziadek mojej żony. W 1918 roku został powołany do wojska, służył w Twierdzy Modlin. Podczas wojny polsko-bolszewickiej walczył m.in. w oddziałach gen. Józefa Hallera", opowiada Walerian Żyndul, członek zarządu warszawskiego okręgu Związku Oficerów Rezerwy RP i naczelnik Wydziału Logistyki w Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych. Jak dodaje, Wincenty Malinowski w ramach wyróżnienia otrzymał od państwa gajówkę w miejscowości Borsuki oraz odznaczenie, którego baretkę nosił na mundurze leśnika. „Niestety nie wiemy, co to było za odznaczenie", stwierdza Żyndul.

W SZEREGI POLSKIEJ ARMII WSTĘPOWAŁY TYSIĄCE CHCĄCYCH WALCZYĆ OCHOTNIKÓW, TAKŻE Z OKOLIC PUSZCZY BIAŁEJ

Pan Walerian podkreśla też, że choć od zwycięskiej batalii minęło już prawie sto lat, trzeba o niej pamiętać. „To jeden z najważniejszych epizodów historii naszego państwa, zwycięstwo w 1920 roku pozwoliło nam zachować niepodległość i umocniło nasze granice", mówi. Jednocześnie bitwa zdecydowała o losach Europy, zatrzymując marsz rewolucji bolszewickiej.

„Dlatego Edgar D'Abernon, szef misji alianckiej w Warszawie w 1920 roku, określił bitwę jako 18. najważniejszą batalię w dziejach świata, a dla upamiętnienia polskiego zwycięstwa w 1923 roku minister spraw wojskowych gen. Stanisław Szeptycki ustanowił 15 sierpnia Świętem Żołnierza", dodaje kmdr Puścian.

TABLICA PAMIĘCI

Po wojnie walczący wrócili do swoich domów. „Ojciec zajął się gospodarką, dożył 96 lat i został pochowany w Porębie na cmentarzu parafialnym", mówi pan Józef. Spoczywa tam zmarły w 1989 roku dziadek Mirosława Jachima. Wincenty Malinowski pracował natomiast w leśnictwie, a po II wojnie gospodarował na kilku hektarach, które dostał koło Gietrzwałdu. Zmarł w 1984 roku w Olsztynku.

„Mój tata po 1920 roku służył, pilnując granicy z Rosją w mieście Nowa Wilejka. Pamiętam z jego opowieści, jakim szacunkiem darzył swoich dowódców i marszałka Piłsudskiego. Moje dziecinne pytania, ilu przeciwników pokonał na polu walki, wzbudzały w nim jednak tylko smutne milczenie", opowiada kmdr Puścian. Dziś niestety nie żyje już żaden z uczestników tej batalii, nie zachowało

WALCZYŁY NIE TYLKO ARMATY, KARABINY I BAGNETY, ALE TEŻ SERCA I MORALE ŻOŁNIERZY

Walerian Żyndul

Sławomir Gałązka

ARCHIWUM PRYWATNE

DZIŚ NIE ŻYJE JUŻ ŻADEN Z UCZESTNIKÓW TEJ BATALII, NIE ZACHOWAŁO SIĘ TEŻ WIELE PAMIĄTEK PO TAMTYCH CZASACH

się też wiele pamiątek z tamtego okresu. Większość przepadła podczas II wojny światowej. „Dom rodzinny został zniszczony w czasie nalotów i żadne dokumenty nie ocalały, mamy tylko jedną fotografię ojca z okresu służby wojskowej”, pokazuje oficer.

Dokumenty rodziny Malinowskich także zniszczyli Niemcy, reszta spłonęła po wojnie w pożarze leśniczówki. „Zostało tylko zbiorowe zdjęcie z okresu międzywojennego ze spotkania w Dyrekcji Lasów Państwowych w Siedlcach”, mówi pan Walerian. Również pan Józef ma po ojcu tylko jedną fotografię, którą umieścił na pomniku na jego grobie.

„Dlatego trzeba, aby ostatnie pokolenie tych, którzy pamiętają relacje swoich bliskich – uczestników walk – przekazało je potomnym”, zaznacza Sławomir Gałązka. Niestety, jak dodaje, po II wojnie pamięć o zwycięstwie w 1920 roku była wymazywana. „Teraz wreszcie nadszedł czas, aby nasi przodkowie doczekali się godnego upamiętnienia, dlatego odsłaniamy poświęconą im tablicę koło kościoła w Porębie”, mówi kmdr Puścian.

Jak opowiada, inicjatywa upamiętnienia zrodziła się podczas wyjazdu na Litwę, gdzie związek od wielu lat pomaga Polakom. W zeszłym roku, po drodze do Wilna zorganizowano podróż szlakiem bitwy niemeńskiej. „Była to nie mniej ważna batalia niż Bitwa Warszawska. Nad Wisłą Polacy powstrzymali armię sowiecką, ale jej nie rozbili”, tłumaczy oficer. Wojska gen. Tuchaczewskiego wycofały się nad Niemen, gdzie uzupełniły rezerwy i przygotowały się do kolejnej ofensywy.

Bitwa rozpoczęła się 20 września. Polskie siły zaatakowały armię bolszewicką i wyparły ją z naszych ziem, niwecząc bolszewickie plany zawładnięcia Polską i przypieczętowując nasze zwycięstwo w wojnie. Potwierdził to traktat pokojowy zawarty 18 marca 1921 roku, który wytyczył granicę i przez 18 lat regulował stosunki polsko-sowieckie.

„Jadąc w 2016 roku przez Sokółkę, Sejny, Berżniki, oglądaliśmy cmentarze i pomniki poświęcone uczestnikom bitwy i postanowiliśmy upamiętnić także naszych bohaterów”, tłumaczy kmdr Puścian. Uroczystości w Porębie 15 sierpnia to dobra okazja do odsłonięcia tablicy upamiętniającej osoby związane z parafią, które walczyły w bitwie.

Na tablicy znajduje się cytat z „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego” Adama Mickiewicza: „O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej, o broń i orły narodowe, o grób dla kości naszych w ziemi naszej, prosimy Cię Panie” oraz napis: „obrońcom ojczyzny, weteranom wojny polsko-bolszewickiej 1919–1920 z parafii Poręba”. Mirosława Jachima cieszy ta inicjatywa: „Mój dziadek, gdyby jej dożył, byłby zadowolony”. ■

Pod patronatem
Szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego

XIII LUBLINIEC – KOKOTEK BIEG KATORŻNIKA

KATUJE, UPADLA I MIESZA Z BŁOTEM

12 SIERPNIA 2017

Wojskowy Klub Biegacza META Lubliniec 1995

JWK

XIII BIEG KATORŻNIKA: 10^{00} 11^{00} 12^{00} 14^{00} 15^{00}

XI GALERNIK TEAM: 13^{00}

VII BIEG VIP I DZIENNIKARZY: 11^{30}

BIEG MIKRO, MINI, MAŁEGO, DZIADKA I BABCI: 10^{10} 10^{25} 10^{40}

Zadanie zlecone i dofinansowane ze środków

Burmistrz Miasta Lubliniec

Wojsko Polskie
Ministerstwo Obrony Narodowej

WF i S

Ministerstwo Sportu i Turystyki

Sponsorzy

HAIX

Odlewnia Żeliwa TERLECKI

Kasy Państwowe

COMFORTEL

DGT

Partnerzy

Bakoma

Primavera

HIS1

KOSPAN nowe oblicze drewna

URBANEK

EJOT

Patronat medialny

TVP3 Katowice

Polska Zbrojna

Super Express

Maratony Polskie.pl

Gwarek

Polskie Radio Katowice

Oficjalny Serwis Foto

FotoMaraton.pl

KONKURS „POLSKI ŻOŁNIERZ – ETOS I DUMA”
ZOSTAŁ ROZSTRZYGNIĘTY!

Redakcja „Polski Zbrojnej” pierwsze miejsce przyznała Bartłomiejowi Czerkowskiemu za tekst o Janie Karskim. Miejsce drugie należy do Beaty Dagmary Kopcińskiej, która napisała o Hieronimie Dekutowskim „Zaporze”. Trzecią nagrodę przyznaliśmy st. kpr. pchor. Adamowi Wańkowskiemu, który w krótkiej formie uzasadnił wybór swego bohatera, cichociemnego Aleksandra Tarnawskiego „Upłaza”. Komisja zdecydowała również o przyznaniu wyróżnienia dla por. Macieja Zyska, autora tekstu o znakomitym pilocie Eugeniuszu Horbaczewskim. ■

BARTŁOMIEJ CZERKOWSKI

Pana misja nie była daremna

Jak ktoś może nie podziwiać tego wielkiego Polaka – wielkiego w każdym sensie tego słowa – który ośmielił się zdemaskować i potępić antysemityzm, dominujący w różnych szowinistycznych grupach polskiego podziemia – tego żarliwego katolika, który ryzykował życiem, by ratować Żydów skazanych na zagładę w obozach śmierci założonych przez Niemców w jego kraju? Przejęty ich tragedią, przestał myśleć o czymkolwiek innym. Mówił o niej każdemu, kogo spotkał podczas swoich podróży […]. Potem zamilkł. Zrozumiał, że jego słowa padały w próżnię. Ludzie byli zajęci innymi sprawami, przywódcy stawiali sobie inne cele”. To słowa Eliego Wiesela, amerykańskiego pisarza i dziennikarza pochodzenia węgiersko-żydowskiego, laureata Pokojowej Nagrody Nobla, o jednym z największych Polaków, którego dokonania wciąż zdają się zapominane i niedoceniane. To słowa o Janie Kozielawskim, znanym bardziej jako Jan Karski.

Lekturze jego biografii czy też oglądaniu filmów o jego życiu zawsze towarzyszyło mi poczucie mojej małości w stosunku do człowieka tak wielkiego formatu. Historia Jana Karskiego zdecydowanie zasługuje zarówno na szacunek, jak i lepsze poznanie, zwłaszcza przez osoby młode.

Jan Karski był nietypowym żołnierzem, bo żołnierzem dyplomatą, który przypuszczalnie nie wystrzelił ani jednego naboju podczas wojny. Tuż przed wybuchem II wojny światowej rozpoczął karierę dyplomatyczną w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie mógł wykorzystywać swoje ponadprzeciętne talenty, takie jak fotograficzna pamięć i znajomość języków obcych. Po wkroczeniu Rosjan na tereny Polski w 1939 roku wraz z innymi polskimi oficerami dostał się do sowieckiej niewoli, z której jednak udało mu się uciec, kiedy to większość jego towarzyszy broni zamordowano w Katyniu. Po dotarciu do stolicy Karski przyłączył się do ruchu oporu i został tajnym kurierem Polskiego Państwa Podziemnego. Jego talenty znakomicie się przydały w misjach do polskiego rządu na uchodźstwie we Francji i Wielkiej Brytanii – cytował z pamięci tajne rozkazy i instrukcje. W ten sposób przyczyniał się do tworzenia podwalin tajnego Polskiego Państwa Podziemnego, a także skutecznego funkcjonowania tej organizacji polityczno-wojskowej, która nie miała odpowiednika w żadnym innym kraju. Podczas jednej z misji został pojmany przez Gestapo i torturowany. Szczęśliwie odbili go żołnierze Armii Krajowej, w której kontynuował działalność emisariusza.

POLSKI ŻOŁNIERZ – ETOS I DUMA
Polska Zbrojna
KONKURS LITERACKI

Podczas ostatniej misji został wprowadzony do warszawskiego getta, by stać się świadkiem okrutnego losu narodu żydowskiego. Przebrany za ukraińskiego żołnierza miał możliwość zobaczyć w Izbicy, jak maltretowano i rozstrzeliwano Żydów z transportu do obozów zagłady w Sobiborze i na Majdanku. Po tych doświadczeniach Karski podjął się karkołomnej misji przekazania sojusznikom z Europy Zachodniej i Stanom Zjednoczonym informacji o dziejącej się tragedii Shoah. Osobiście dostarczył im dokładne raporty na ten temat oraz jako naoczny świadek wystosował apel do ówczesnego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Anthony'ego Edena o podjęcie działań mających na celu powstrzymanie Holokaustu. W 1943 roku Karski spotkał się nawet z prezydentem Stanów Zjednoczonych Franklinem Delano Rooseveltem. Niestety, dramatyczny apel nie przyniósł spodziewanych rezultatów, a tak bardzo oczekiwana interwencja państw alianckich nie doszła do skutku.

Można zatem sobie zadać pytanie, czy mimo tych porażek jego życie naprawdę stanowi wspaniałe świadectwo, które powinno być przykładem dla dzisiejszego świata. Śmiem twierdzić, że historia Jana Karskiego jest zdecydowanie czymś więcej... Jego życie to przykład heroicznej odwagi, niezachwianej determinacji oraz szlachetnego humanizmu, które charakteryzowały tę piękną, a zarazem tragiczną postać.

Jan Karski podczas II wojny światowej jako żołnierz podejmował ofiarne wysiłki emisariusza tylko po to, aby przekazać słowa prawdy, której nikt nie chciał słuchać. Paradoksalnie miał przeświadczenie, że jego misja nie została ukończona, gdyż jego świadectwo zostało przyjęte z niedowierzaniem przez możnych ówczesnego świata, którzy po prostu nie byli w stanie zaakceptować istnienia okrutnej prawdy.

Chociaż nie udało mu się powstrzymać tragedii Holokaustu, jego spuścizna powinna stanowić ważną refleksję dla dzisiejszego świata i być elementem etosu polskiego żołnierza. Jego doświadczenia powinny być przykładem bohaterstwa, a także odpowiedzialności za życie ludzkie, które wymaga natychmiastowego ratunku. Karski rzucił na szalę wszystko, co miał. Wierność swoim ideałom przypłacił więzieniem i torturami. Taka postawa powinna być dla współczesnego pokolenia żołnierzy przykładem prawdziwej szlachetności ducha, powinna stanowić symbol wszystkich cnót, które chcemy widzieć w dzisiejszym świecie, a przede wszystkim w życiu ludzi młodego pokolenia.

Jak już wspomniałem, prawdopodobnie Jan Karski w czasie wojny nie oddał ani jednego strzału, zaprzeczając tezie, że w tak tragicznych okolicznościach odwaga musi się równać z krwawym odwetem i nadużywaniem siły. Dzisiaj już wiemy, jak wiele – mimo braku aktywności bojowej – Jan Karski zrobił dla państwa podziemnego i dla narodu polskiego. Heroicznie walczył o ratunek dla zdradzonej Polski, okupowanej i katowanej przez Hitlera, dla której alianci układali scenariusz zależności od Stalina. Poświęcił życie, żeby przekazać rozpaczliwy apel o powstrzymanie planowanego mordu na narodzie żydowskim. Ten apel Jana Karskiego pozostawiony bez odpowiedzi powinien stanowić refleksję dla dzisiejszego świata, przypominając jego przedstawicielom o odpowiedzialności za ochronę każdego życia ludzkiego. Daremne świadectwo Jana Karskiego powinno dzisiaj stanowić przestrogę przed unikaniem przeciwstawienia się złu oraz niesprawiedliwości na świecie, przed obojętnością wobec najbardziej niewygodnej prawdy oraz zapomnieniem o piekle hitlerowskiej zbrodni.

Wartość dzieła i świadectwa Jana Karskiego zasługuje na pamięć i szacunek całego świata. Żałował, że nikogo nie uratował, a jego świadectwo nikomu nie pomogło. Nie miał racji… Jan Karski jest heroicznym emisariuszem prawdy, do której dążył przez całe życie, nawet wtedy gdy jako profesor Georgetown University w Waszyngtonie przypominał swoim studentom, by zawsze dążyli do prawdy i pamiętali o tym, że każdy człowiek ma wolny wybór – może wybrać albo dobro, albo zło... Pana misja nie była daremna, a pana słowa nie pójdą na marne, panie Karski!

Elie Wiesel zakończył przytoczone przeze mnie na początku słowa następującym wywodem: „Jego świadectwo wydało jednak owoce. Dzięki niemu wiemy, że jednostka, jeśli tego pragnie, ma szansę wpłynąć na bieg historii. […] Dzięki niemu następne pokolenia będą mogły uwierzyć w ludzkość". ■

BARTŁOMIEJ CZERKOWSKI jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie.

DOMINIK SIERZPUTOWSKI
JACEK ŻUREK

ŻOŁNIERSKA NUTA

To była ulubiona pieśń Józefa Piłsudskiego.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Dziesięć lat temu, 15 sierpnia 2007 roku, z inicjatywy ówczesnego ministra obrony narodowej Aleksandra Szczygły ustanowiono pierwszą pieśń reprezentacyjną Wojska Polskiego dla Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej. Stała się nią współczesna wersja piosenki „Legiony to żołnierska nuta...", znana też jako „Marsz Pierwszej Brygady".

DWIE PIEŚNI

Ustalenie pochodzenia i daty powstania wykonywanej dziś melodii nastręcza wiele kłopotów. Istnieje kilka wersji opisów odnoszących się do genezy pieśni bliskiej sercu każdego żołnierza. Po analizie dostępnych materiałów źródłowych należy stwierdzić, że w Legionach funkcjonowały dwa utwory, które w późniejszych wspomnieniach uczestników tamtych chwil były ze sobą mylone: melodia zaczynająca się od słów „Legiony to są Termopile..." oraz znana nam obecnie melodia do słów „Legiony to żołnierska nuta...". Pierwsza z piosenek stanowiła pierwowzór literacki drugiej, oba zaś teksty zostały dopasowane do utworów rosyjskich, granych przez orkiestry pułkowe. „Legiony to są Termopile..." powiązano z muzyką marsza „Dni naszej żizni" (Dni naszego życia), którą skomponował Lew Izaakowicz Czernecki.

Zastanawiające jest, że w popularnym śpiewniku wojskowym, wydanym w 1919 roku przez Bogusława Szula, nie zamieszczono melodii ani słów znanego nam dzisiaj „Marsza Pierwszej Brygady", co świadczy o jego mniejszej popularności w tamtych latach. Piosenka „Legiony to są Termopile...", znana następnie pod tytułem „Legiony to zwycięska nuta", była bardzo bliska żołnierskim sercom. Z niewiadomych przyczyn nie została jednak dostatecznie spopularyzowana, aby przetrwać w zbiorowej pamięci do naszych czasów. Jako domniemanego autora tego utworu wskazuje się lwowskiego legionistę Juliana Ludwika Hawalewicza, który zginął w 1915 roku w bitwie pod lubelskim Jastkowem.

Nasuwa się zatem pytanie o genezę melodii „Marsza Pierwszej Brygady". Otóż inspiracją muzyczną dla legionistów stał się utwór „Pieried razłukoj" (Przed rozłąką). Kompozytorem tego rosyjskiego marsza, który powstał zapewne przed wojną, jest M.D. Tomnikowski. Pierwszym legionowym wykonaw-

LEGIONY TO ZWYCIĘSKA NUTA

Legiony to są Termopile,
Legiony to z za świata zew,
Zejdzie słońce, choćby na mogile,
Gdy za Polskę swą przelejem krew.
Pal djabli nasze życie!
Obaczym się w błękicie,
Kto w drodze padł, o Polsce będzie śnił.
Więc naprzód legioniści!
Zwycięstwo Bóg nam ziści
I legnie wróg, co krzywdą naszą żył.

Legiony to zwycięska nuta,
Legiony to zwycięski śpiew,
Odtąd Polska już nie będzie skuta,
Kiedy za nią swą przelejem krew.

Pal djabli...

„Ciesz się bracie szwoleżerze, / masz protekcję w Belwederze" (żurawiejka, czyli specjalna przyśpiewka 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego). Trębacze pułkowi z oddziału przybocznego prezydenta Rzeczypospolitej, zdjęcie zrobione po roku 1926. Rodowód pułku sięgał pieszego patrolu ułanów porucznika Władysława Beliny-Prażmowskiego, który przekroczył granicę Galicji z Królestwem Polskim na początku sierpnia 1914 roku, nie wiedząc jeszcze, że rozpoczyna nową historię polskich Legionów.

cą obu utworów była orkiestra kieleckiej straży ogniowej, która w 1914 roku przyłączyła się do oddziałów strzeleckich Józefa Piłsudskiego.

Ta piosenka, choć słabo znana w czasie wojny, zrobiła oszałamiającą karierę. Jak twierdził Wacław Jędrzejewicz, „Piłsudski uważał ją za pieśń Pierwszej Brygady, ale Brygada właściwie jej nie śpiewała. Myśmy śpiewali »Kiedym maszerował« albo »W dzień sierpniowy i ponury z Cytadeli idą z góry szeregami polskie dzieci«, piosenki wcześniejsze. Potem się dopiero śpiewało »Pierwszą Brygadę« na specjalne życzenie Piłsudskiego, który bardzo lubił tę pieśń i śpiewał ją sam, choć głosu nie miał za grosz". Jeszcze za życia Piłsudskiego piosenka stała się rodzajem nowego hymnu, obok „Mazurka Dąbrowskiego" i „Boże, coś Polskę".

SPÓR O AUTORSTWO

Tekst piosenki „Legiony to żołnierska nuta…" był bezlitośnie wykpiwany jako grafomański, przede wszystkim przez krytykę literacką ze środowisk opozycyjnych wobec piłsudczyków. Ci zaś podnosili go do rangi arcydzieł literatury polskiej, zalecając jako obowiązkową lekturę szkolną. Nie można tego powiedzieć o pierwowzorze literackim utworu – „Legiony to są Termopile…". Przyznać jednocześnie należy, że pojawiające się wątpliwości i brak wyjaśnienia wszystkich faktów nie deprecjonują znaczenia „Marsza Pierwszej Brygady". Nazwa i pochodzenie mają tu drugorzędne znaczenie, najważniejsze jest przesłanie, które on niesie. Ten utwór jest świadectwem ideowego czynu, bohaterstwa i w końcu dowodem na to, że muzyka nie ma obywatelstwa, jest ponadnarodowa i jeśli znajduje oddźwięk w duszy człowieka i jest wykonywana z pasją, staje się jego własną.

MARSZ PIERWSZEJ BRYGADY

Legiony to żołnierska nuta,
Legiony to ofiarny stos,
Legiony to żołnierska buta,
Legiony to straceńców los.

My, Pierwsza Brygada,
Strzelecka gromada,
Na stos – rzuciliśmy swój życia los,
Na stos, na stos.

Mówili, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć to móc!
Laliśmy krew osamotnieni,
A z nami był nasz drogi Wódz!

My, Pierwsza...

Nie chcemy dziś od was uznania,
Ni waszych mów, ni waszych łez.
Skończyły się dni kołatania
Do waszych dusz, do waszych serc!

My, Pierwsza...

Do autorstwa zasadniczej części „Marsza Pierwszej Brygady", liczącego w sumie 11 zwrotek, przyznało się w 1924 roku dwóch autorów – legionistów: Tadeusz Biernacki i Andrzej Hałaciński, który zginął w Katyniu w 1940 roku. Tekst miał powstać w 1917 roku po „kryzysie przysięgowym", w którego wyniku rozwiązano Legiony Polskie. Spór pozostał nierozstrzygnięty, choć w 1939 roku uznano polubownie, że trzy strofy są autorstwa Hałacińskiego, a sześć – Biernackiego. Dziś uznaje się za autora raczej tego pierwszego, choć historycy wskazują, na podstawie przedwojennych wspomnień, na anonimowego autora legionistę, który mógł ułożyć pierwotne słowa w 1915 roku. Od 1939 roku piosenka była zakazana pod obiema okupacjami, niemiecką i rosyjską. Renesans zaczęła przeżywać od końca lat siedemdziesiątych, oczywiście w „drugim obiegu". Wznowiona w 1981 roku „kadrówka" – coroczny marsz szlakiem „pierwszej kompanii kadrowej" polskich strzelców – była okazją do publicznego śpiewania tej pieśni. Od końca 1989 roku grają ją orkiestry i śpiewają chóry wojskowe. ■

MAGDALENA MIERNICKA

DŻENTELMENI W MUNDURACH

Są wśród nich osoby, których dziadkowie, pradziadkowie byli kawalerzystami, niektórzy interesują się historią, a jeszcze inni – po prostu uwielbiają jeździć konno.

MICHAŁ NIWICZ

Umiejętność brawurowej jazdy konnej, władania bronią białą i strzelania, a także nienaganne maniery – to cechy przedwojennych kawalerzystów. Chociaż ostatnie oddziały walczące konno zostały rozformowane kilkadziesiąt lat temu, to wartości, które reprezentowali kawalerzyści, nadal funkcjonują w społeczeństwie. A to wszystko za sprawą ludzi, którzy kultywują tradycje tych żołnierzy i przywracają o nich pamięć. Wśród takich osób są ochotnicy ze Szwadronu Honorowego 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich im. płk. Jana Kozietulskiego.

PRÓBA SZWOLEŻERA

Historia szwadronu, który dziś można podziwiać na defiladach, rekonstrukcjach, a także podczas kawaleryjskich zawodów sportowych, oficjalnie zaczęła się 9 grudnia 2003 roku. Wówczas założyciel, Piotr Szakacz, dziś rotmistrz, po długiej rozmowie z rtm. Jerzym Staniszkisem, weteranem 3 Pułku Szwoleżerów, otrzymał przyzwolenie na podjęcie inicjatywy.

Tak naprawdę jednak ta historia zaczęła się dużo wcześniej. „Jako dziecko jeździłem na obozy konne. Na którymś z nich zobaczyłem, jak trenują kawalerzyści. Ich lance, proporce, mundury zrobiły na mnie duże wrażenie. Wtedy postanowiłem zostać jednym z nich”, wspomina rtm. Szakacz. Kilkanaście lat później trafił do ochotniczego 1 Pułku Szwoleżerów, którym dowodził rtm. Robert Woronowicz. Rok później zdecydował o utworzeniu swojego oddziału. Postanowił, że będzie dziedziczył tradycje 3 Pułku Szwoleżerów. „Żartowaliśmy później, że historia zatoczyła koło. Przedwojenny 3 Pułk Szwoleżerów powstał bowiem z 201 Ochotniczego Pułku Szwoleżerów, który z kolei stworzono z ochotników 1 Pułku Szwoleżerów”.

Dziś szwadron, którym dowodzi rotmistrz, tworzy 30 osób. Wśród nich są uczniowie, studenci, informatycy, historycy, doktor nauk ścisłych, a nawet… weterynarz. Ile osób, tyle powodów do działania. „Są wśród nas osoby, których dziadkowie, pradziadkowie byli kawalerzystami, niektórzy interesują się historią, a jeszcze inni – po prostu uwielbiają jeździć konno”, mówi szwoleżer Konrad Opałko, uczeń liceum. „Ja sam zdecydowałem się wstąpić w szeregi szwadronu, bo widziałem tu możliwość połączenia moich pasji – jazdy konnej, strzelectwa oraz zamiłowania do militariów. I rzeczywiście wszystkie je tu realizuję i dzięki temu przeżywam fantastyczną przygodę”, podkreśla.

Niełatwo jednak jest zostać kawalerzystą w szwadronie honorowym. Zanim ochotnik będzie paradował konno na defiladzie, czeka go „próba na szwoleżera”. Jest to rodzaj egzaminu, który trwa rok. Przez ten czas każdy kandydat →

Wszyscy szwoleżerowie noszą mundury oficerskie. Do tego skórzany pas i rękawiczki – zgodnie z przedwojenną tradycją oraz regulaminem wyszkolenia i umundurowania kawalerii sporządzonym przez Ministerstwo Spraw Wojskowych w latach trzydziestych XX wieku.

MICHAŁ NIWICZ (2)

musi regularnie uczęszczać na treningi, ukończyć podstawowy kurs jeździecki, poznać budowę siodła, ogłowia, lancy, szabli, wiedzieć, jak oddawać honory starszym stopniem, a przede wszystkim – wykazać się znajomością historii 3 Pułku Szwoleżerów.

Chociaż wymagania, które trzeba spełnić, są wysokie, Szakacz zapewnia, że jeśli ktoś naprawdę chce zostać kawalerzystą, szwoleżerowie zrobią wszystko, aby mu w tym pomóc. „Kiedy ja zaczynałem swoją przygodę z jeździectwem, obowiązywała taka zasada, że aby dosiąść wierzchowca, trzeba było na to zapracować – posprzątać stajnie czy oporządzić konia. My robimy tak samo. Jeśli ktoś nie umie jeździć konno, to go nauczymy. Musi tylko nas przekonać, że warto w niego zainwestować", mówi Szakacz i dodaje: „Na defiladzie wszystko wygląda pięknie, ale samo przygotowanie do niej jest bardzo pracochłonne. Wymaga wielu treningów okupionych potem, krwią i zakwasami. Ale ci, którzy wytrzymają, zostają z nami. Wówczas wiemy, że są godni tego, aby nosić barwy pułkowe".

NAJWAŻNIEJSZY JEST KOŃ

„Przed wojną mówiło się, że kiedy piechur ma przerwę, rzuca plecak i odpoczywa; szwoleżer natomiast, zanim utnie sobie drzemkę, najpierw oporządza konia, choćby sam nie wiem jak był wyczerpany. Wiedział, że koń jest najważniejszy. Bez niego po prostu nie ma kawalerzysty", wyjaśnia rotmistrz.

Kawalerzyści z Honorowego Szwadronu 3 Pułku Szwoleżerów mają do dyspozycji 23 wierzchowce. A te, podobnie jak przed wojną, są starannie selekcjonowane. Nie chodzi tu o rasę, lecz o to, by dobrze się prezentowały i były w stanie sprostać kawaleryjskim wymaganiom. A te wcale nie są małe. Konie muszą być gniade. Dużą wagę przywiązuje się też do ich szkolenia. „Strzały czy poruszanie się w szykach, to wszystko jest dla zwierząt bardzo stresujące. Kiedy idą obok siebie, odległość między nimi wynosi zaledwie 25 cm, a kiedy jeden za drugim – 75 cm. Musimy długo pracować nad tym, aby się do tego przyzwyczaiły", mówi Opałko. „To bardzo ważne, bo w czasie uroczystości stoimy w szyku. Salwa honorowa nie może spłoszyć konia, bo natychmiast w jego ślad poszłyby pozostałe. Właśnie po tym, jak zachowują się w takich sytuacjach zwierzęta, poznaje się, czy oddział kawalerii jest dobrze wyszkolony", dodaje.

Dlatego szwoleżerowie regularnie trenują. Na początku ograniczają się do musztry i nauki prowadzenia konia jedną ręką. Tak aby później umieć w czasie jazdy posługiwać się bronią – szablą, lancą lub bronią palną. Jazda na bojowo to jednak sztuka, którą opanowali nieliczni. „Aby kawalerzysta mógł oddać celny strzał, koń musi iść pewnym tempem i nie bać się tego, że wokół niego włada się bronią czy strzela", podkreśla szwoleżer. „Kawalerzysta podczas wykonywania takich manewrów musi odpowiednio balansować ciałem, a pamiętajmy, że prowadzi konia tylko jedną ręką, dlatego to wcale nie jest takie łatwe".

PRZEDWOJENNE TRADYCJE

Wszyscy szwoleżerowie noszą mundury oficerskie. Do tego skórzany pas i rękawiczki – zgodnie z przedwojenną tradycją oraz regulaminem wyszkolenia i umundurowania kawalerii sporządzonym przez Ministerstwo Spraw Wojskowych w latach trzydziestych XX wieku. Dzięki porozumieniu, które szwadron podpisał z Ministerstwem Obrony Narodowej, kawalerzyści ochotnicy mogą też nosić na mundurach, tak jak żołnierze zawodowi, oznaczenia stopni. „Żołnierze mają jednak oznaczenia czarne lub srebrne, a my posługujemy się takimi w kolorze starego złota", mówi Opałko. „Zanim dystynkcja pojawi się na naramiennikach, trzeba ją jednak zdobyć. Podobnie jest z wszystkimi odznakami, medalami, które przypinamy do mundurów. To jest właśnie to, co odróżnia nas od rekonstruktorów. Oni po prostu kupują mundur, a stopień jest kwestią umowną. U nas na każde odznaczenie trzeba zasłużyć".

RANDKA Z UŁAŃSKĄ FANTAZJĄ

Kawalerzyści dzięki temu, że podpisali porozumienie z MON-em, mogą nosić mundury publicznie i z tego przywileju chętnie korzystają. „Zdarza się nam, że w pełnym umundurowaniu spacerujemy ulicami Warszawy. Kiedyś nawet jako pomocnicy Świętego Mikołaja, rozdawaliśmy prezenty w Centrum Zdrowia Dziecka. Zawsze

3 PUŁK SZWOLEŻERÓW MAZOWIECKICH IM. PŁK. JANA KOZIETULSKIEGO

Należał do najmłodszych pułków międzywojennej kawalerii. Powstał latem 1920 roku jako 201 Ochotniczy Pułk Szwoleżerów, aby wesprzeć polskie oddziały w walce z bolszewikami. Od 1922 roku miejscem jego stacjonowania były Suwałki. Podczas kampanii wrześniowej szwoleżerowie organizowali tzw. wypad na Prusy, a najsłynniejszą walkę stoczyli pod Olszewem. Wówczas kawalerzyści napotkali na drodze niemiecki oddział pancerny. Batalia, do której doszło w nocy z 13 na 14 września, nie została rozstrzygnięta, ale po obu stronach zginęło wielu żołnierzy. Bitwa pod Kockiem była ich ostatnią potyczką, bo kilka dni później pułk rozwiązano. ■

wtedy wzbudzamy duże zainteresowanie, bo chyba to jest już wpisane w Polską tradycję, że konie i ich jeźdźcy są traktowani w naszym kraju bardzo poważnie", mówi Opałko. „Oczywiście nie jesteśmy szaleńcami i zdajemy sobie sprawę, że żyjemy już w zupełnie innych czasach. Takie prezentowanie munduru traktujemy jednak jako kultywowanie kawaleryjskich tradycji. Tym bardziej że kiedy pokazujemy się w mundurze publicznie, dbamy o to, aby nasz wygląd i zachowanie jak najbardziej odpowiadały temu, jak wyglądało to przed wojną".

Jako przykład przytacza historię podwójnej randki, podczas której szwoleżerowie zabrali swoje partnerki do teatru. „Teatr czy opera to było kiedyś miejsce, gdzie spotykała się śmietanka towarzyska. Jeśli uroczystość odbywała się po godzinie 18.00, buty z ostrogami zamieniano na sztyblety z okuwkami. Wieczorem nie noszono też skórzanych rękawiczek, tylko materiałowe białe. Tak właśnie prezentowali się nasi koledzy podczas tego wieczoru", mówi Opałko. „Oczywiście nie zapomnieli też o szablach. A te przy takich okazjach przypina się na rapciach, a nie na żabce. Wówczas partnerkę prowadzi się po prawej stronie, bo lewa jest zarezerwowana dla szabli", opowiada. „Zanim kawalerzysta uda się do loży, musi zostawić czapkę, płaszcz i szablę w szatni. Oczywiście najpierw musi wytłumaczyć osobie, która tam pracuje, o co chodzi", śmieje się szwoleżer.

POWINNOŚĆ I PRZYGODA

Dlaczego szwoleżerowie robią to wszystko? „Oprócz tego, że jesteśmy zafascynowani kawalerią, zależało nam, aby tradycje tych fantastycznych oddziałów nie zaginęły. Bardzo nas cieszy, że zaczynają je kultywować także jednostki wojskowe.

W armii tradycje 3 Pułku Szwoleżerów dziedziczy 1 Batalion Zmechanizowany 15 Brygady Zmechanizowanej. Żołnierze, chociaż na co dzień korzystają z zupełnie innego wyposażenia, znają historię, śpiewają żurawiejki, a nawet wznoszą toast za zdrowie konia", mówi Szakacz. W maju 2017 roku batalion zyskał replikę przedwojennego sztandaru. Nie udałoby się to bez wsparcia gen. bryg. Jarosława Gromadzińskiego, dowódcy 15 Brygady Zmechanizowanej, jak zapewniają szwoleżerowie.

„Przekazujemy też młodym ludziom ponadczasowe wartości. Praca z koniem wymaga dużej odpowiedzialności, a kontakt z weteranami – odpowiedniego zachowania. Mimo to w tym wszystkim jest także miejsce na pasję, energiczne treningi, a także fantastyczne znajomości", dodaje Szakacz. ■

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (3)

PIOTR ZARZYCKI

Ostatni sprawdzian

Tego co dzieje się w głowach uczestników Selekcji, nie przekaże żaden dziennikarz ani obiektyw kamery. Pięciodniową nieustanną presję i walkę z samym sobą potrafią wytrzymać tylko nieliczni. Po 20 latach impreza w takiej formule przechodzi do historii.

Gdy kolejne pompki odbierają chęć do życia, a mózg marzy o choćby chwili odpoczynku, prawdziwe problemy dopiero się zaczynają. „Powtarzamy wiersz!”, krzyczy mjr rez. Arkadiusz Kups, a uczestnicy zgodnie recytują „Bóstwo tajemnicze” Adama Asnyka. Nie wszyscy dają radę i muszą się pożegnać z grą. „Startuję szósty raz, więc wiedziałam czego się spodziewać. Niestety zawsze miałam problem z powtarzaniem tekstów do zapamiętania i znów to zawiodło”, mówi Ela… numer 99. Na Selekcji nie ma prywatności i personaliów – zostają w depozycie razem z kluczami i dokumentami.

Dwudziesta edycja tej już kultowej gry terenowej tradycyjnie rozpoczęła się preselekcją. W odróżnieniu od poprzednich lat, uczestnicy nie zostali zaproszeni na obiekty Wojskowej Akademii Technicznej, lecz bezpośrednio na stację w Prostyni. Początkowy sprawdzian odbyli już na poligonie drawskim. Złożyło się na niego osiem ćwiczeń fizycznych wykonywanych przez minutę każde oraz test z historii Polski, w tym roku przygotowany przez redakcję „Polski Zbrojnej”. Zaskoczeniem było dopuszczenie do właściwej gry wszystkich zawodników, którzy podeszli do testów. „Chcieliśmy dać szanse każdemu, kto podjął wyzwanie. Niektórzy przyjechali tu z drugiego końca Polski”, wyjaśnia mjr Kups. W tym momencie skończyły się uprzejmości.

Kolejne dni to ogromny wysiłek fizyczny, deficyt snu, posiłki, których porę dyktują instruktorzy, i niekończące się sprawdziany. Wszystko to w pośpiechu, pod presją. By ukończyć grę, trzeba wykazać się nieprzeciętną sprawnością fizyczną, ale najważniejsza jest psychika. Ideą Selekcji od zawsze było wyłonienie kompleksowo przygotowanych ludzi, którzy po odpowiednim przeszkoleniu będą zdolni do służby nawet w najbardziej elitarnych jednostkach wojskowych.

Motywacje uczestników Selekcji są różne. Przyjeżdżają sprawdzić swoje możliwości, doznać ekstremalnych wrażeń, poznać własne granice, przeżyć przygodę życia. „Żaden plan treningowy i nawet perfekcyjna autodyscyplina nie dadzą szansy sprawdzenia siebie w takich warunkach jak tutaj. To doskonałe narzędzie do poznania swojego organizmu”, tłumaczy „Barry”, instruktor, który Selekcje współtworzy od 13 lat. Uczestnicy zainteresowani karierą w służbach mundurowych korzystali z tej

DO LEGENDY PRZEJDĄ GODZINY SPĘDZONE W WODZIE, DZIESIĄTKI KILOMETRÓW MARSZU, SETKI POMPEK Z UNIESIONĄ NOGĄ WYKONYWANYCH NA POMOŚCIE ORAZ BRAK USTALONEGO Z GÓRY SCENARIUSZA GRY

możliwości i traktowali grę jako przygotowanie do właściwych testów. Zresztą wielu później podążyło tą drogą. „Z perspektywy czasu okazuje się, że dziesiątki ludzi, którzy skończyli Selekcję, są dzisiaj w armii. Służą m.in. w GROM-ie, Formozie, Lublińcu. Niejednokrotnie to już doświadczeni oficerowie", wylicza mjr Kups. To niewątpliwy sukces, ale sam zwraca uwagę na nie do końca wykorzystane możliwości, które stwarzała gra: „Porażką tej imprezy jest brak oficjalnej ścieżki dla zwycięzców. Przez 20 lat sygnalizowałem, że co roku są tu ludzie godni uwagi, ale nie udało się wypracować systemu, który pozwalałby wojsku w pełni wykorzystać ten potencjał".

SUKCESY I PORAŻKI

Pomysł na imprezę narodził się w redakcji „Żołnierza Polskiego". Inicjatorem był Piotr Bernabiuk, przez lata dziennikarz także „Polski Zbrojnej". „Studiowałem wówczas w Akademii Obrony Narodowej i nie wiedziałem, jak się potoczą moje losy w armii. Spotkaliśmy się z Bernabą, który przedstawił pomysł i zapytał, czy bym się tego podjął", wspomina mjr Kups. „Żeby pokazać drogę, którą przeszliśmy, powiem tylko, że na pierwszej Selekcji mieliśmy 50-litrowy gumowy zbiornik na wodę, trzy skrzynki chleba z wojskowej piekarni i skrzynkę zgrzewek z tuszonką, czyli smalcu z kulką mięsa, z których po otwarciu w upalny dzień zostawało samo mięso", dodaje z uśmiechem.

Od tamtej pory zmieniło się wszystko. Ostatnie Selekcje to już ogromna operacja logistyczna. Na tegoroczną edycję organizatorzy przywieźli 2,5 t wody, codziennie dostarczano też 60 bochenków chleba. Nie zabrakło tradycyjnego strzelania, skoków do jeziora ze śmigłowca Mi-17 czy zadań z wykorzystaniem KTO Rosomak. Przez 24 godziny na dobę 30 instruktorów czuwało nad sprawnym i bezpiecznym przebiegiem imprezy. Tutaj pojęcia „dzień" i „noc" dawno straciły swoje znaczenie.

Przez lata zmieniali się także uczestnicy. Powstało forum, na którym wymieniali się doświadczeniami, wzrosła świadomość kompleksowego treningu oraz odpowiedniego odżywiania. Ale też trudno nie zauważyć, że społeczeństwo się zmienia i coraz niższy odsetek młodych lu- →

Zapamiętywanie przedmiotów na stole, czyli kolejne testy psychologiczne.

Główny organizator, mjr rez. Arkadiusz Kups, gratuluje zwycięzcom.

Ostatnią już, XX Selekcję ukończyli Anna Paulina Kurdyk (jako dziewiąta kobieta w historii), Wojciech Galas, Dariusz Główka, Piotr Henel, Emil Juźków, Dariusz Płaza i Kamil Pomorski.

dzi jest zdolny do takich poświęceń. „Nie ma się co oszukiwać, nasze pokolenie ciężko było ściągnąć do domu, a największą karą był zakaz wyjścia na dwór. Dziś jest odwrotnie, w modzie są zwolnienia z WF-u, i to jest widoczne na imprezie, która wymaga doskonałego przygotowania", wyjaśnia „Barry". Oczywiście nie zmienia to faktu, że na XX Selekcji pojawiło się wiele osób w świetnej kondycji, jednak obecna formuła imprezy się wyczerpała. Na popularności zyskują kilkugodzinne biegi przeszkodowe, które w porównaniu z grą na poligonie drawskim są niewinnym spacerkiem.

To też podkreśla wyjątkowość Selekcji na tle innych zawodów. Podobnie jak fakt, że start we wszystkich edycjach był bezpłatny, a jedyną nagrodą za ukończenie sprawdzianu jest możliwość zachowania opaski z numerem oraz tabliczka z własnym nazwiskiem, zwana po prostu deską. Oba przedmioty przez lata wśród miłośników mocnych przeżyć urosły do rangi symbolu.

JAK W RODZINIE

Impreza dochowała się wielu tradycji. Do legendy przejdą godziny spędzone w wodzie, dziesiątki kilometrów marszu, setki pompek z uniesioną nogą wykonywanych na pomoście oraz brak ustalonego z góry scenariusza gry. Wymownym obrazkiem jest też

Skok z Mi-17 do jeziora to zadanie przyciągające wielu uczestników. Szansę na wykonanie tego zadania mają jednak tylko najlepsi.

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (3)

Z PERSPEKTYWY CZASU OKAZUJE SIĘ, ŻE DZIESIĄTKI LUDZI, KTÓRZY SKOŃCZYLI SELEKCJĘ, SĄ DZISIAJ W ARMII. SŁUŻĄ M.IN. W GROM-IE, FORMOZIE, LUBLIŃCU. NIEJEDNOKROTNIE TO JUŻ DOŚWIADCZENI OFICEROWIE

coroczne zakończenie, podczas którego to zwycięzcy są gośćmi instruktorów. Ci, którzy przeszli Selekcję w kolejnych latach, byli zapraszani w charakterze organizatorów. Dzięki temu możemy mówić o trzech pokoleniach instruktorów, wśród nich byli żołnierze 56 Kompanii Specjalnej, osoby ze środowiska Combat 56, lekarze, paramedycy, trenerzy, a także dzisiejsi żołnierze zawodowi.

Ostatnią już, XX Selekcję ukończyli Anna Paulina Kurdyk (jako dziewiąta kobieta w historii), Wojciech Galas, Dariusz Główka, Piotr Henel, Emil Juźków, Dariusz Płaza i Kamil Pomorski. Gra terenowa w obecnej formule przechodzi do historii. Fani krańcowego wysiłku tracą wyjątkową imprezę, armia zaś miejsce, w którym można znaleźć gotowych kandydatów do służby. ■

Panu kmdr. ppor. Mariuszowi Siedleckiemu
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Matki
składa dowódca Centrum Operacji Morskich –
Komponentu Morskiego
wraz z podległą kadrą i pracownikami
resortu obrony narodowej.

Pani Alicji Materek
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Matki
składa dowódca Centrum Operacji Morskich –
Komponentu Morskiego
wraz z podległą kadrą i pracownikami
resortu obrony narodowej.

Panu płk. pil. Wiesławowi Franczakowi,
zastępcy dowódcy 1 Brygady Lotnictwa
Wojsk Lądowych,
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składa Dowództwo 1 Brygady Lotnictwa
Wojsk Lądowych.

Panu mł. chor. Mariuszowi Mariańskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składa Dowództwo 1 Brygady Lotnictwa
Wojsk Lądowych.

Panu st. kpr. Przemysławowi Gargol
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Taty
składają koledzy i koleżanki
z 1 Wojskowego Szpitala Polowego w Bydgoszczy.

Panu kmdr. ppor. Radosławowi Piochowi
oraz Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczersze kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
3 Flotylli Okrętów.

„Na zawsze w naszej pamięci…”.
Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
Rodzinie
śp. st. chor. w st. spocz. Karola Jankowskiego
składają żołnierze, słuchacze i pracownicy
Wielkopolskiej Szkoły Podoficerskiej
Wojsk Lądowych
im. gen. bryg. F. S. Włada w Poznaniu.

Głębokie wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Matki
Panu st. chor. sztab. Adamowi Szczepaniukowi
oraz Rodzinie
składają polscy żołnierze i pracownicy wojska
z SHAPE.

Pani Iwonie Paluch
wyrazy szczerego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach z powodu śmierci
Taty
składają kadra kierownicza, żołnierze i pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Rzeszowie.

Panu ppłk. Robertowi Sęderowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci
Brata
składa dyrektor departamentu
wraz z podległą kadrą i pracownikami
Departamentu Strategii
i Planowania Obronnego MON.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213, 261 845 230, 261 840 227

Panu mjr. Jarosławowi Grygorukowi
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci
Mamy
składają komendant, żołnierze i pracownicy
25 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Białymstoku.

Panu mjr. Jarosławowi Ślepowrońskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Córki
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu ppłk. Markowi Górskiemu,
dowódcy 2 Batalionu Inżynieryjnego,
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają dowództwo, żołnierze zawodowi
i pracownicy resortu obrony narodowej
5 Pułku w Szczecinie.

Panu ppłk. Krzysztofowi Szulińskiemu
wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze i pracownicy
1 Regionalnej Bazy Logistycznej.

Panu płk. Dariuszowi Chodynie
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu płk. Lesławowi Kuczy
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Matki
składają kierownictwo, kadra i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

CENTRUM WETERANA
DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

Pamiętamy

st. chor. Łukasz Sroczyński
3 sierpnia 2013 roku,
PKW Afganistan

st. kpr. Dariusz Tylenda
6 sierpnia 2010 roku,
PKW Afganistan

sierż. Wiktor Lenczewski
8 sierpnia 1992 roku, UNDOF Syria

kpt. Daniel Ambroziński
10 sierpnia 2009 roku,
PKW Afganistan

st. kpr. / szer. Marek Dziak
11 sierpnia 1994 roku,
UNPROFOR Jugosławia

plut. / kpr. Jerzy Abram
14 sierpnia 2000 roku, KFOR Kosowo

por. Łukasz Kurowski
14 sierpnia 2007 roku, PKW Afganistan

sierż. Szymon Sitarczuk
18 sierpnia 2011 roku,
PKW Afganistan

kpr. Sylwester Kutrzyk
19 sierpnia 2004 roku, PKW Irak

kpr. Grzegorz Rusinek
19 sierpnia 2004 roku, PKW Irak

plut. Waldemar Sujdak
20 sierpnia 2008 roku,
PKW Afganistan

kpr. Paweł Szwed
20 sierpnia 2008 roku,
PKW Afganistan

kpr. Paweł Brodzikowski
20 sierpnia 2008 roku,
PKW Afganistan

kpr. Krystian Andrzejczak
21 sierpnia 2004 roku, PKW Irak

st. chor. szt. Mirosław Łucki
24 sierpnia 2013 roku,
PKW Afganistan

WYZNANIA TYRANA

KSIĄŻKA

Towarzyszu Stalinie, jak żyć?

Wywiad, którego nie było, czyli szczera spowiedź dyktatora.

Podobno dobrze czytają się tylko te dzieła, w których jest dużo seksu i przekleństw". Można by dodać, że jeszcze lepiej przy kielichu dobrego gruzińskiego wina, a najlepiej dwóch, trzech… I to dopiero byłaby pełna fraza, jaką mógłby wygłosić Józef Stalin. Książka, z której pochodzi ten cytat, faktycznie reklamowana jako „ociekająca seksem i alkoholem", jest świetna, ale wcale nie ze względu na opisy orgii, szczegółów z intymnego życia tyrana, alkoholowych ekscesów czy dosadny język. Raczej dlatego, że pokazuje z jednej strony brutalnie logiczny, a z drugiej niewiarygodnie pokrętny sposób myślenia Stalina. Jaki bowiem człowiek skazuje z premedytacją na głód tysiące ludzi czy mordujący współpracowników lub najbliższych? Chyba tylko taki, który na pytanie o dramatyczne warunki w łagrach, odpowiada, że nic na to nie poradzi, a byłoby tam jeszcze gorzej, gdyby nie on. A o masowych gwałtach wypowiada się jako o „narodowej tradycji".

Taki portret Józefa Stalina wyszedł spod pióra Christophera Machta. Ten niemiecki pisarz w najnowszej książce wykorzystał sprawdzony zabieg. Kilka lat temu opublikował bowiem „wywiad" z innym dyktatorem. Adolf Hitler miał odsłonić swoje prawdziwe oblicze w rozmowie z pewnym… Żydem. Tym razem Józef Stalin wyspowiadał się przed „starym bolszewikiem". Walentin Mongołow to komunista z przekonania, który za swoje oddanie partii zapłacił wieloletnim pobytem w łagrze i utratą najbliższych. Rzekomo został wezwany przez wodza, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Miał powstać dokument pokazujący wielkość Stalina, na tyle jednak kontrowersyjny, że Józef Wissarionowicz publikację zaplanował na wiele lat po swojej śmierci.

Taka formuła wymyślonego wywiadu dała Chrisopherowi Machtowi ogromne możliwości – powstała bardzo dynamiczna opowieść o życiu psychopa-

Christopher Macht, „Spowiedź Stalina. Szczera rozmowa ze starym bolszewikiem", Bellona, 2017

POD NASZYM PATRONATEM

Opowieść snajpera

Wspomnienia byłego oficera wojsk specjalnych to gotowa recepta na sukces.

Krew snajperów" to kolejna część wspomnień ppłk. rez. Karola K. Soyki, który służył w GROM-ie przez 20 lat, opisująca działania snajperów tej elitarnej jednostki. Podobnie jak jego poprzednia publikacja, czyli „Cel za horyzontem", została napisana we współpracy z Krzysztofem Kotowskim, dziennikarzem, scenarzystą, autorem m.in. thrillerów psychologicznych i książek z gatunku political fiction. Książka przedstawia prawdziwe wydarzenia, w których uczestniczył autor lub jego koledzy. Jak zaznacza były gromowiec, zmiana nazwisk, pseudonimów i niektórych szczegółów akcji pozwoliła na ujawnienie większej liczby faktów. Dzięki temu czytelnik może poznać liczne anegdoty dotyczące służby snajpera.

Książka jest napisana lekkim, przystępnym językiem, co w połączeniu z objętością niespełna dwustu stron sprawia, że można ją przeczytać w kilka godzin. Nie będzie to czas zmarnowany. Płynna narracja i przedstawione fakty potrafią wciągnąć, szczególnie osoby zainteresowane tematem. ■

PIOTR ZARZYCKI

Karol K. Soyka, Krzysztof Kotowski, „Krew snajperów", Czarne, 2017

tycznego przywódcy i dramacie ludzi żyjących pod jego rządami, którą czyta się jednym tchem. Pojawiły się jednak zarzuty wobec autora, że nie trzyma się ściśle faktów i manipuluje historią, żeby pokazać bardziej ludzką twarz potwora. Nie zgadzam się z tym, wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że z tej niby błahej rozmowy z „wujaszkiem" wyłania się psychopatyczna natura Józefa Stalina. Co do faktów natomiast, to autor rzeczywiście bawi się tu historią, a lektura wymaga wiedzy o tamtej rzeczywistości.

Mam zupełnie inny zarzut do tej książki – żeby bardziej przypominała autentyczną rozmowę, niektóre pytania musiałyby inaczej brzmieć, bo nie były to ostatnie słowa, jakie Mongołow wypowiedział przed rozstrzelaniem. I wcale nie dodają tu autentyczności ani pogróżki Stalina padające w odpowiedzi, ani opisy tego, jak to Mongołow zsikał się ze strachu przed rozmówcą, ani serie kolejnych pompatycznych pytań, które z pewnością Stalin faktycznie chciałby usłyszeć, takich jak „towarzyszu Stalinie, jak żyć?". ■

ANETA WIŚNIEWSKA

KSIĄŻKA

Apokalipsa w Warszawie

Nie wiadomo, kto wykonał ostateczny ruch, ale czarne chmury nad Polską zbierały się już długo. W końcu na Warszawę spadły bomby, które zniszczyły wszystko, co składało się z materii organicznej. Ludzie, zwierzęta, rośliny na powierzchni ziemi przestali istnieć. Ocaleli tylko ci, którzy przebywali w metrze.

Dwadzieścia lat później długie tunele warszawskiego metra zamieszkują mikrospołeczności skupione wokół poszczególnych stacji. Funkcjonują właściwie oddzielnie, oprócz dwóch, które sprzymierzyły się ze sobą: Ratusza i Politechniki. Pewnego dnia mieszkańcy Ratusza odbierają sygnał dający nadzieję, że jeszcze tli się życie poza tunelami. Zwołują radę mieszkańców wszystkich stacji i wybierają tych, którzy wyruszą w podróż, aby odnaleźć ślady ocalałych.

Wyprawa opisana przez Chmielewskiego na początku przypomina trochę pokręconą drużynę pierścienia. Każdy z jej członków ma swój cel, niezależny od pozostałych, każdy może okazać się kimś innym, niż się wydaje. Sama książka jest brutalna. Bohaterowie bez przerwy klną i się tłuką. Nawet w obliczu zagrożenia nie zawsze są zdolni do ludzkich odruchów. Można odnieść wrażenie, że 20 lat pod ziemią wyostrzyło w nich instynkt samozachowawczy, a zredukowało empatię. Tak jakby cywilizacja zaliczyła wielkie bum! I cofnęła się w czasie do epoki jaskiniowców.

Postapokaliptyczna wizja Warszawy opisana przez Chmielewskiego jest niezwykle plastyczna. Opustoszałe, choć niezniszczone miasto, pokryte szarym śniegiem i lodem łatwo sobie zwizualizować. Szczególnie że wielu czytelnikom miejsca opisywane przez autora są mniej lub bardziej znane. To oczywiście ciekawy bonus, ale i bez niego świat stworzony przez Chmielewskiego wciąga. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Artur Chmielewski, „Achromatopsja", Insignis, 2017

WYSTAWA

MODA NA KOŚCIUSZKĘ

Józef Świętorzecki w liście pisanym w 1793 roku z Dubna do Ignacego Potockiego wspomniał o modzie na wizerunki Tadeusza Kościuszki: „wszystkie domy ozdobione są jego kopersztychami i portretami. Wszyscy prawie siluetki jego albo w tabakierkach, albo w pierścionkach noszą". Podobno powstało aż 27 tys. podobizn tego wybitnego Polaka. Na wystawie „Twarze bohatera" z oczywistych względów zaprezentowano wybrane wizerunki Kościuszki. Zarówno powszechnie znane z podręczników do historii podstawowe typy ikonograficzne stworzone przez Josefa Grassiego, Edme'a Quenedeya i Antoniego Oleszczyńskiego, powielane i trawestowane w XVIII wieku i w następnych stuleciach, jak i portrety naczelnika mniej utrwalone w masowej świadomości.

W tym przypadku kryterium wyboru była nie tyle wartość artystyczna eksponatów (około 150), ile próba unaocznienia ówczesnego kultu Tadeusza Kościuszki, wyrażającego się m.in. masową produkcją podobizn wodza powstania. Wystawę można oglądać do 15 października 2017 roku w Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach krakowskiego Muzeum Narodowego. ■

ANDRZEJ FĄFARA

Kłopotliwe powstanie

Polityka jest dziedziną bezwzględną, co jeszcze można od biedy zaakceptować, ale czy powinna być dziedziną bezduszną, wręcz okrutną? Rozmawiałem w ostatnich latach z wieloma powstańcami warszawskimi, którzy różnią się między sobą opiniami na temat sensowności swojego zrywu, ale są zgodni w twierdzeniu, że powstanie wykończyli politycy. Bezdusznością i okrucieństwem właśnie. I nie chodzi im o podejście Józefa Wissarionowicza Stalina, po którym raczej nie spodziewali się pomocy. Przypomnę, że 1 sierpnia 1944 roku wojska radzieckie znajdowały się kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Polska stolica, wedle pierwotnych planów Armii Czerwonej, miała być wyzwolona w połowie sierpnia. Po wybuchu powstania natarcie dziwnym trafem zostało spowolnione. Oddziały radzieckie weszły na Pragę 10 września i tam się zatrzymały, oglądając z bliska płonącą lewobrzeżną część miasta. Stalin w pewnym momencie nawet trochę udawał, że pomaga, ale nie miało to oczywiście żadnego wpływu na przebieg powstańczych walk.

Realnej pomocy można się było spodziewać ze strony Zachodu. Tymczasem dla polityków brytyjskich i amerykańskich powstanie w Warszawie okazało się wydarzeniem nad wyraz kłopotliwym, od którego próbowali się odciąć na wszelkie dyplomatyczne sposoby. Pierwszy wykręt: nie zostali odpowiednio wcześnie powiadomieni o planowanym powstaniu. Owszem, polski ambasador Edward Raczyński spotkał się w tej sprawie z brytyjskim ministrem Anthonym Edenem dopiero pod koniec lipca, ale czy po tym terminie rzeczywiście nie dało się podjąć jakichkolwiek działań? Czy z powodu tegoż opóźnienia prośba o skierowanie do Warszawy 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej oraz polskich dywizjonów lotniczych stała się nierealna? Wszak powstanie trwało do 3 października.

Drugi wykręt: wojska alianckie musiałyby ewentualnie podjąć działania na terenach radzieckiej strefy operacyjnej. Czyli co? Armia Czerwona, która nie kwapiła się strzelać do Niemców walczących z powstańcami, strzelałaby do Brytyjczyków, którzy znaleźliby się w lewobrzeżnej Warszawie? Sowieci niszczyliby samoloty Royal Air Force bombardujące niemieckie cele? Trudno poważnie traktować tę argumentację.

Jedno jest pewne: wszystkie karty w sprawie powstania rozdawał Stalin. Zachód nie był w stanie mrugnąć okiem bez akceptacji Józefa Wissarionowicza. Gdy polski rząd w Londynie zwrócił się do Brytyjczyków z prośbą o uznanie praw kombatanckich żołnierzy Armii Krajowej, nasi sojusznicy odparli, że zrobią to, jeśli to samo uczyni Związek Radziecki.

W takich oto okolicznościach w ciągu dwóch miesięcy śmierć poniosło w Warszawie około 200 tys. osób, a miasto zostało doszczętnie zburzone. Jak to było u jego ekscelencji Ignacego Krasickiego? „Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły, wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły”. ■

ŚCIŚLE TAJNE

RZECZ O WOJSKOWYCH SŁUŻBACH SPECJALNYCH

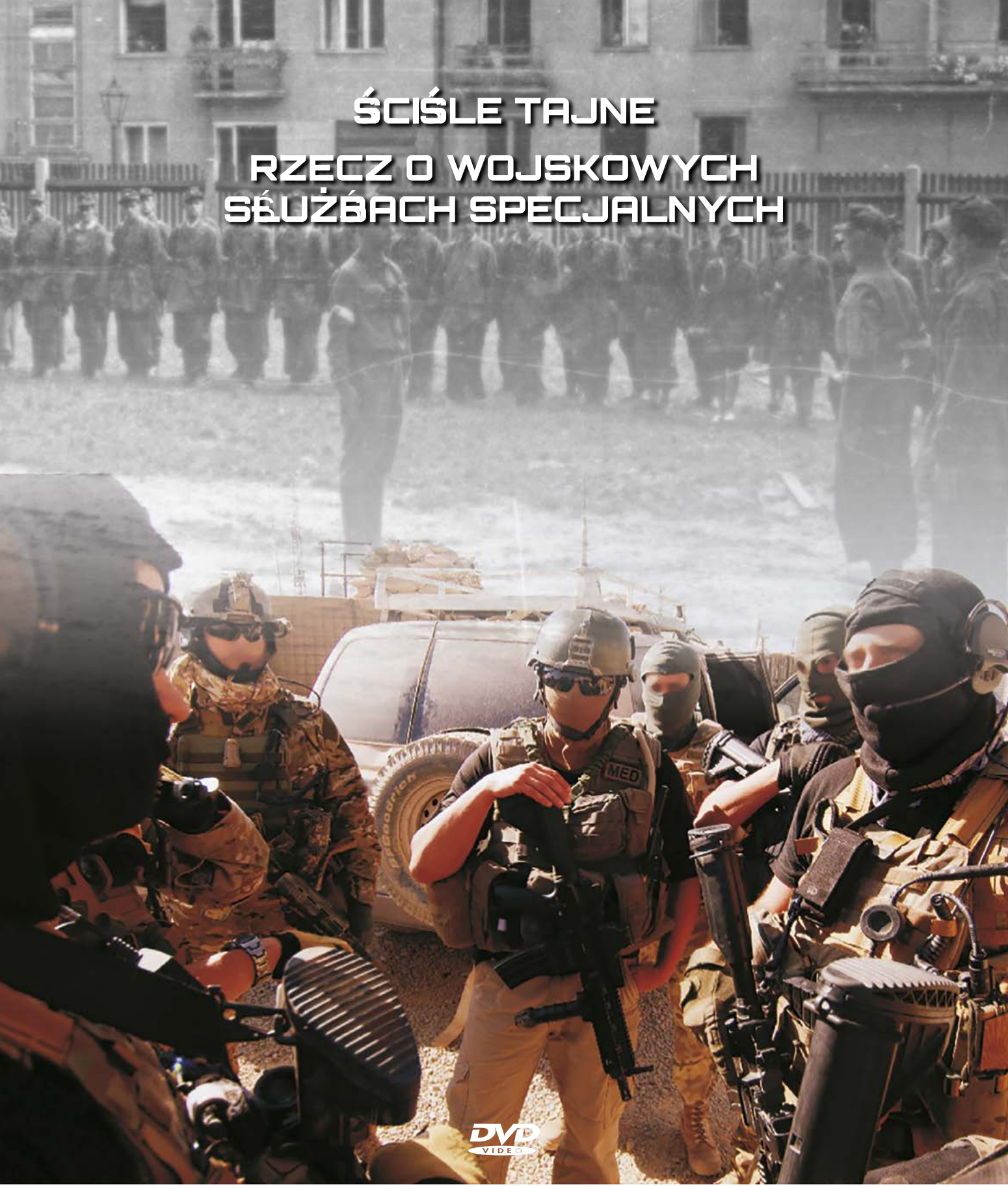

DVD VIDEO

Polska Zbrojna

Centralna Biblioteka Wojskowa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

SŁUŻBA KONTRWYWIADU WOJSKOWEGO

VIA VERITATIS

WZKart.

PRODUKCJA VIA VERITATIS DLA TVP S.A. 2016

200 stron fotografii lotniczych

zespołów akrobacyjnych z całego świata

Obejrzyj fragment albumu

Jedyny taki album w Polsce

zamów u nas ↙

BIBLIOTEKA POLSKI ZBROJNEJ

sekretariat@zbrojni.pl tel.: (48) 261 845 365, (48) 261 840 400